

Krzysztof Kotowski

Japońskie cięcie

2003

trident

Wydanie polskie

Data wydania:

2003

Projekt okładki:

Zbigniew Mielnik

Ilustracje na okładce:

CORBIS

Wydawca:

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 867-47-08, 867-81-40; fax 867-37-74
rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

ISBN 83-7301-460-8

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

ROZDZIAŁ 1

Pan Czesio z pewnością nie miał zbyt inteligentnej miny. Jego wylupiaсте oczy spoglądały ze strachem w kierunku butelek z wódką, a zęby szczękały za zaciśniętymi ustami, jakby od kilku godzin stał na mrozie. Ręce, które trzymał na blacie, pociły się niemiłosiernie, ale bał się sięgnąć po chusteczkę.

Pan Czesio był człowiekiem dość otyłym i nie lubił zbyt ciasno zapinać paska. Teraz jednak, w tej dość stresującej chwili, poczuł, że spodnie zsuwają mu się coraz bardziej, co zwiększyło jeszcze jego przerażenie, bo odwrócony był, nie da się ukryć, tyłem do sali.

Lokal zwany przez okolicznych pijaczków pieśczołliwie U Kotka – którego zresztą był właścicielem – o tej porze zwykle świecił pustkami. Obecnie nie było tu nikogo prócz niego i faceta o twarzy wymuskanego gogusia, w okrutnie niemodnym już garniturze.

Goguś stał spokojnie tuż obok, trzymając pistolet wycelowany niestety w jego głowę.

– Zrozumiałeś pytanie? – spytał beznamiętnie.

– Tak, tak, jasne, oczywiście, bez wątpienia – dukał pan Czesio najszybciej jak potrafił, z lękiem oczekując na rozwój wypadków.

– No więc?

– Ja jej nie widziałem... może kto inny. Zwykle jestem na zapleczu i...

– Spodnie opadły ci już do pół dupy, a wciąż kręcisz. – Mina Gogusia nie wróżyła nic dobrego.

– Nie kłamię... aaaa, właśnie coś sobie przypomniałem!

– Zamieniam się w słuch. – Goguś zajrzał panu Czesiowi głęboko w oczy.

– Mógłby pan jeszcze... tak trochę dokładniej ją opisać? – wyjąkał barman, czyniąc pewne starania, aby na jego twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech.

– Wysoka blondynka, szafirowy pierścioneł, niebieska sukienka, długie włosy...

– Aaaaa, ta pani. Noooo... była tu, ale chyba nie sama... – Pot z jego twarzy ściekał już strumyczkami.

Goguś zacisnął zęby i pewnie chwycił pistolet.

– Długo tu byli?

– Godzinę, może trochę dłużej.

– Znasz tego faceta?

– To taki lekarz. Wpada tu czasem i podrywa laski... to znaczy, towarzyszy różnym paniom.

– Czy oni...?

– Bardzo kulturalnie się zachowywali – odparł szybko Czesio, zażegnując w zarodku niebezpieczeństwo. – Szczególnie ta pani. On wpada tu częściej.

– Wiem, łajzo, że wpada. Dlatego tu jestem!

– Może piwko? – Panu Czesiowi udało się wreszcie uśmiechnąć.

– Whisky z colą. – Goguś opuścił pistolet.

Barman podciągnął spodnie i podreptał do półki, aby zdjąć z niej butelki. Nalał szybko do szklanki trochę szkockiej, po czym profesjonalnie odmierzył tyle coli, ile trzeba. Kłopotliwy gość stał chwilę bezradnie przy barze, a następnie schował broń, wziął szklankę i wypił jednym haustem jej zawartość.

– Popraweczka? – jęknął nieśmiało pan Czesio.

– Nie wiem. – Goguś wyraźnie robił się coraz smutniejszy.

– No to popraweczka.

Nie żałował whisky, mając nadzieję, że uspokoi faceta przynajmniej na pewien czas. Obserwował teraz uważnie, jak tamten ponownie wychyla drinka, stawia cicho szklankę na blacie i niczym zahipnotyzowany odwraca się, by ruszyć do wyjścia. Przez chwilę krokom Gogusia towarzyszyła niemal absolutna cisza. Pan Czesio pełnym przerażenia wzrokiem pożegnał go, a następnie opadł ciężko na najbliższe krzesło. Siedział tak jakiś czas, patrząc zamyślony w dal jak żołnierz w radzieckim filmie wojennym, aż wreszcie wolno i dostojnie wycedził: – Kurrrrwa!

Doktor Robert Czechowicz nie bez zdziwienia stwierdził, że zginęły mu majtki. Jeszcze raz uważnie przyjrzał się Jolce leżącej wciąż w łóżku i z jej zalotnego uśmiechu słusznie odczytał, kto za tym stoi.

– Nie wygłupiaj się, spóźnię się do roboty. Oddawaj gacie! – zarządził nie znoszącym sprzeciwu tonem.

Dziewczyna podniosła się wolno, nie spuszczać z niego wzroku. Jej nagość miło kontrastowała ze skromnym wyposażeniem kawalerki Czechowicza. Bałaganiarstwo Roberta nie przeszkadzało jego przyjaciółce, dawało za to doskonałą pożywkę dla kpin i żartów. Najwyżej trzydziestometrowe mieszkanko pełne było ciśniętych pod ściany książek, papierów niewiadomego pochodzenia, nierzadko ubrań wyrzuconych z szafy przy okazji szukania czegoś potrzebnego, a nawet butelek po coli, sokach owocowych i... wódeczce. Dość dużo miejsca zajmowały co prawda półki na książki niemal całkowicie wypełniające dłuższą ścianę

naprzeciwko okien, ale nawet tam trudno było o porządek, szczególnie że nie były pełne. Szafa tuż przy wejściu do przedpokoju była oczywiście otwarta, dzięki czemu Jola mogła bez problemu skontrolować jej zawartość.

Podeszła teraz do niego wolno, jakby każdy krok wymagał przemyślenia, i delikatnie zakryła mu oczy dłonią, uśmiechając się zalotnie.

– A ty jesteś chirurg miękki – błyskawicznie zjechała palcami w dół ciała Roberta – czy twardy?

Czechowicz drgnął.

– Sytuacja staje się coraz bardziej niebezpieczna – mruknął, czując z niepokojem, co Jolka wyprawia palcami.

– Niebezpieczeństwo to twój żywioł – powiedziała z ironią.

– Nie żartuj. – Robertowi nadludzkim wysiłkiem udało się wyrwać z jej uścisku, co było niestety trochę bolesne. – Ten twój mafioso biega za mną po całym mieście.

– Spokojnie, jest niegroźny. Ma tylko romantyczne usposobienie. Dam sobie z nim radę.

– Dziś rano wystraszył podobno pana Czesia z Kotka. Witek mi mówił przez telefon. Machał skurwiel spluwą tak, że biedak mało nie padł trupem na sam jego widok.

– Mówiłam ci, że ma romantyczne usposobienie. W końcu ma zostać moim mężem.

– Po co to robisz? Przecież i tak nigdy za niego nie wyjdiesz.

– Nigdy nie mów „nigdy”. Świat pełen jest niespodzianek.

– Jolka, to jest bandyta. Powinien siedzieć w pudle. – Czechowicz zanurkował pod łóżko w poszukiwaniu majtek.

– Przesadzasz. To ty powinieneś siedzieć za te setki złamanych serc niewieścich...

– Setki. – Robert popukał się w czoło rozdrażniony przedłużającymi się poszukiwaniami.

– Mogłabyś mi pomóc?!

– Są w przedpokoju. – Parsknęła śmiechem, opadając na łóżko.

Czechowicz pobiegł w kierunku drzwi wejściowych. Slipki wraz z koszulką i spodniami leżały na podłodze.

– Jasna cholera, spóźnię się! Która godzina?! – krzyknął do dziewczyny.

– Trochę po siódmej. O której masz być w szpitalu?

– O wpół do ósmej. Mam dziś noc, a nie spałem ani chwili.

– Prześpisz się na dyżurze.

– Zwariowałaś?! Przecież dzisiaj sobota. Wypadków wystarczy do rana.

Widząc, że Robert jest naprawdę zaniepokojony, Jolka szybko sięgnęła po sukienkę i buty.

– Podrzucić cię?

– Nie, pojedę swoim. Jesteś gotowa?

– Sekunda, pójde tylko po torebkę do łazienki.

Przerażenie w oczach pacjenta nie gasło. Młoda pielęgniarka starała się go uspokoić na

wszelkie możliwe sposoby, ale kiedy sama poczuła, że wpada w panikę, zawołała pospiesznie Czechowicza.

– Panie doktorze, mam tu pogarszający się stan!

– Co masz? – skrzywił się Robert, ale na szczęście nikt nie usłyszał jego uwagi. – Jeszcze chwilę! – krzyknął w kierunku pielęgniarki, ale tak, by nie przestraszyć starszej kobiety, nad którą się właśnie pochylał. – Proszę się nie martwić – zwrócił się teraz do niej. – Niczego groźnego u pani nie widzę i myślę, że to dzisiejszy upał spowodował chwilowe omdlenie. Na wszelki wypadek chciałbym jednak zatrzymać panią na obserwacji, zgoda?

– Ale ja się dobrze czuję, panie doktorze...

– Wierzę, ale jest już noc. Ochłodziło się i stąd lepsze samopoczucie. EKG jest w porządku, ja na razie, jak mówiłem, też niczego złego nie widzę, ale chciałbym panią poobserwować dwa, trzy dni. Boli panią czasem głowa? – Raz jeszcze zajrzał pacjentce w oczy, zwracając szczególną uwagę na reakcje źrenic.

– Oj, panie, ciągle!

– Bierze pani jakieś proszki?

– A ten łapap, czy jak on tam... córka mi daje.

– I przechodzi?

– Przechodzi, przechodzi, panie doktorze.

– No to dobrze. Proszę tu chwilę poczekać, zaraz doktor Sawicki się panią zajmie. Spotkamy się później, dobrze?

– Dobrze, dobrze, panie doktorze, ale ja się dobrze czuję...

Robert przebiegł wzrokiem po sali przyjęć. Zaczynał się robić coraz większy ruch. Drzwi na korytarz już się właściwie nie zamykały, a lekarze i pielęgniarki nie mieli nawet chwili, by usiąść. Nie spodziewał się, że ta noc będzie aż tak ciężka. Teraz stało się jasne, że do drugiej, trzeciej może zapomnieć o odpoczynku. Zwykle właśnie dopiero o tej porze, po pierwszej „fali”, na pewien czas wszystko się uspokajało, by nad ranem znowu wrócić do stanu z późnego wieczoru.

Czechowicz nabrał głęboko powietrza i zmrużył lekko oczy, jakby to miało pomóc mu sprawniej podsumować sytuację. Na pierwszym stole przytomny pacjent, 45 lat. Silne, piekące bóle zamostkowe, niepokój. Na drugim postrzelony chłopak, przed chwilą przywieziony, obok przerażona młodziutka pielęgniarka. Na trzecim facet po wypadku motocyklowym, chyba złamana noga, ale ogólny stan dobry.

Do sali pospiesznym krokiem wszedł młody, zdolny i, jak twierdziła większość pielęgniarek, diabelnie przystojny neurolog Marek Sawicki w towarzystwie doświadczonego kardiologa Stefana Koucha, faceta „przy kości”, ale jak na swój wiek i wagę wyjątkowo energicznego i ruchliwego.

Podeszli do Roberta, uważnie obserwując salę.

– Kobieta po omdleniu, sześćdziesiąt siedem lat – zaczął Czechowicz, nie czekając na

pytania. – Chyba w porządku, ale myślę, że trzeba ją jeszcze trochę poobserwować. Obiecałem, że zajmiesz się nią, Marek.

– Jasne. A ten, przy którym stoi Zozuń? – Sawicki przełknął resztki kanapki.

– Serducho, to dla Stefana. Niech Zozuń wraca na górę. Kouch bez słowa ruszył w kierunku łóżka, na którym leżał pacjent z bólami zamostkowymi.

– Pani Aniu! – rzucił szybko Robert do przechodzącej pielęgniarki.

– Tak, panie doktorze?

– Proszę wziąć pacjenta z „trójki” na pierwsze piętro i zawołać doktora Bażyńskiego.

– Przepraszam, panie doktorze – pielęgniarka nieśmiało rozejrzała się po sali – ale doktor Bażyński jest u nas na stażu...

– Pani Aniu – Czechowicz zatrzymał na niej wzrok lekko zniecierpliwiony jej wątpliwościami – skończył studia, więc chyba da sobie radę ze złamaniem kości strzałkowej, prawda?

– Tak, oczywiście. – Kobieta spuściła wzrok i potulnie podreptała do motocyklisty.

Robert wyjrzał jeszcze na korytarz, upewniając się, czy nie ma nikogo nowego, po czym szybko podszedł do „dwójki”.

Pacjent miał najwyżej 20 lat. Wyglądał na stałego bywalca siłowni, nosił krótko ostrzyżone włosy i tatuaż na przedramieniu, przedstawiający dziwaczny miecz rodem z powieści Sapkowskiego. Krew na jego koszuli zaczynała zasychać, co dawało pewną nadzieję, że pielęgniarka zdołała przynajmniej częściowo zatamować krwotok. Przerazony chłopak patrzył błagalnie na Roberta szeroko otwartymi oczami, nie zwracając uwagi na wysiłki młodej kobiety w białym fartuchu, która opatrywała jego ranę.

Czechowicz sięgnął po słuchawki i wytarł końcówkę o fartuch.

– Proszę mu to założyć. – Wskazał maskę tlenową.

Chłopak jednak wyrwał się pielęgniarce.

– Ja nie wiem, skąd on się wziął i dlaczego strzelał! – wybełkotał do Czechowicza.

– Ty też miałeś broń – odpowiedział spokojnie lekarz, nie przestając go osłuchiwać.

– Wrobili mnie, to nie ja! – zacharczał chłopak.

– To nie moja sprawa, opowiedz to gliniarzom.

– Ale niech pan mi uwierzy!

– Posłuchaj! – uciął zdecydowanie Robert. – Staram się ci pomóc. Nie jestem policjantem ani prokuratorem, tylko lekarzem. Jeśli nie przestaniesz się wiercić, będę cię musiał przywiązać. Brałeś coś ostatnio?

– Czy ja umieram?!

– Nie umierasz, ale bardzo utrudniasz mi pracę. Paliłeś coś? Brałeś amfę, jakieś spidy?

– Nie dzisiaj.

– Na pewno?

– Jak mamę kocham!

– Biedna ta twoja matka – mruknął Czechowicz do siebie. – Kaśka, jesteś gdzieś?! – krzyknął w głąb sali.

– Tu.

Wyłoniła się doświadczona pielęgniarka.

– Chodź do mnie!

– Lecę!

– Masz cukrzycę, epilepsję... to znaczy, padaczkę? – spytał znowu chłopaka.

– Nie!

– Ty! – rzucił do przerażonej dziewczyny usiłującej założyć rannemu maskę. – Zadzwoń na blok i powiedz, żeby przygotowali zestaw podstawowy.

– Co jest? – spytała Kaśka, która dopiero co do nich podbiegła.

– Nie słyszę oddechu po prawej – rzekł cicho do niej. – Rura do klatki, zdjęcie i na blok.

– Dobra.

– I podaj mu dychę valium.

Młoda dziewczyna wciąż szarpała się z maską.

– Jeszcze tu jesteś? – spytał spokojnie Robert.

– Próbuję...

– Miałas spróbować zadzwonić.

– Przepraszam... – Pielęgniarka wybuchnęła płaczem i pobiegła do telefonu.

– Miej trochę serca – mruknęła Kaśka, sięgając po ampułkę. – Ona jest tu dopiero trzy dni.

– Nic jej nie będzie, szybciej okrzepnie – odparł, zręcznie nakładając pacjentowi maskę tlenową.

– Zabieram go – oznajmiła pielęgniarka, łapiąc uchwyt łóżka.

Robert ponownie rozejrzał się po sali. Sytuacja wyglądała na opanowaną. „Jedynka” pojechała na trzecie piętro, „trójka” na chirurgię. Kaśka wyprowadzała właśnie „dwójkę”, aby zawieźć ją na blok operacyjny. Sawicki zabrał na oddział kobietę po omdleniu. Sala z wolna pustoszała. Zapowiadała się chwila przerwy.

Przy telefonie stała wciąż zapłakana pielęgniarka, patrząc ze strachem na Czechowicza. Robert odetchnął głęboko i podszedł do niej.

– Jak masz na imię? – spytał z uśmiechem.

– Magda – odparła hardo.

– Posłuchaj, Magdo. Właśnie się dowiedziałem, że jesteś u nas od niedawna.

– Trzy dni. – Dziewczyna otarła oczy chusteczką.

– To, że masz jeszcze małe kłopoty z opanowaniem się, nie stanowi problemu. To normalne. Każdy z nas to przeszedł. Gorzej, że nie potrafisz tego ukryć przed pacjentami.

– Nie musiał pan tak się do mnie odzywać. – Zacisnęła mocno usta.

Robert milczał przez chwilę, przyglądając się jej uważnie. Była szczupła, niska, nie miała

więcej niż 20 lat. Niemodna blond grzywka co chwila opadała jej na oczy, więc niemal bez przerwy ją odgarniała. Z pewnością jej uroda nie zwałała z nóg, ale miała sympatyczną, miłą twarz.

– Wyobraź sobie taką sytuację. – Czechowicz zdecydował się na krótki wykład. – Jesteś w szpitalu, leżysz na łóżku. Dwadzieścia minut wcześniej ktoś wpakował w ciebie dwie kule. Nad tobą stoi osoba, która teoretycznie ma ratować ci życie. A ona jest przerażona i wrzeszczy na całe gardło, że twój stan się pogarsza. Co czujesz?

Dziewczyna spuściła wzrok.

– Każdy się boi – kontynuował Robert – ale mówiąc z lekka pretensjonalnie, my tu ratujemy ludziom życie i nie możemy – ujął pielęgniarkę za podbródek, aby spojrzeć jej głęboko w oczy – okazywać lęku, który mógłby zaszkodzić pacjentom.

– Ja nie wiem, czy potrafię...

– Ja też nie wiem, ale jednego jestem pewien: opanowanie to tylko kwestia dyscypliny i treningu.

Nieśmiały uśmiech dziewczyny zachęcił Roberta do snucia kombatanczkich wspomnień.

– Kiedy piętnaście lat temu przyszedłem do tego szpitala byłem chyba bardziej przerażony niż ty. Aż któregoś dnia opieprzył mnie jeden doświadczony lekarz, tak że o mało nie poderżnąłem sobie żył skalpelem.

Dziewczyna podniosła zdecydowanie wzrok. Przyglądała się Czechowiczowi uważnie, ale z lekkim niedowierzaniem.

– Wkurzyłem się, i o to chodziło – ciągnął Robert jak gdyby nigdy nic. – Od tamtej pory to była kwestia nie tylko bezpieczeństwa pacjentów czy profesjonalizmu, ale także ambicji. Teraz dobiegam czterdziestki i wiem, że było mi to potrzebne.

Magda poważnie pokiwała głową.

– Masz ochotę na kawę?

– Mhmm.

– To idź do mojego gabinetu, zaraz tam przyjdę.

Pielęgniarka raz jeszcze otarła oczy chusteczką i wyszła z sali.

Kiedy Robert odwrócił się, zobaczył przed sobą skrzywionego Koucha.

– Dlaczego zawsze opowiadasz świeżakom tę głupią historyjkę?

– Nastrajam ich – oznajmił Czechowicz.

– Tymi wymysłami?

– Nieważne, czy to prawda. Ważne, rozumiesz, że w pewnym momencie taki świeżak zaczyna czuć...

– Mógłbyś przestać? – zachnął się kardiolog. – Weź jakiegoś draga, zjedz kanapkę, napisz wiersz o pięknie istnienia, ale miej litość. Dziś jest ciężka noc, daj ludziom żyć. – Kouch pokręcił głową i poczłapał do wyjścia.

– Co z pacjentem? – Czechowicz zatrzymał go w drzwiach.

– Wieńcowa, ale nie ma zawału. Przyjąłem go. Kto operuje tego podziurawionego?

– Czarek.

– A ty?

– Będę tutaj. Nie sądzę, żeby to był koniec.

Jakby na potwierdzenie jego słów do sali zajrzała zaniepokojona kobieta. Szukała wzrokiem lekarza.

– W czym mogę pomóc? – spytał Robert.

– Mój mąż... – Przerwała, szukając słowa.

– Proszę wejść.

– Idę na górę – rzucił Kouch i machnął ręką do Czechowicza. W drzwiach minął się z łyśawym mężczyzną w średnim wieku. Jego żona trzymała go mocno za rękę.

Sala wyglądała jak pobojuwisko, lecz przez chwilę oprócz nich jakimś cudem nikogo w niej nie było. Resztki opatrunków, gazy, fragmenty gipsu, pobrudzone krwią prześcieradła tworzyły dość ponury widok.

Robert szybko ocenił wzrokiem stan pacjenta, ale ponieważ nie krwawił i był przytomny, podszedł do telefonu, aby wezwać pomoc do sprzątnięcia sali; w trakcie ostrego dyżuru robiono to przynajmniej dwa, trzy razy. Wreszcie odłożył słuchawkę i pozwolił mówić niewysokiej blondynce około czterdziestki trzymającej troskliwie za ramię chorego.

– Mój mąż ma straszne drgawki, serce wali mu jak młot, chyba ma zawał – strzelała jak z karabinu maszynowego.

– Proszę się położyć. – Czechowicz wskazał jedyne pozostałe na sali łóżko, wkładając słuchawki.

Mężczyzna trząśł się jak na mrozie, był skulony, a twarz ukrywał w dłoniach. Usiadł ostrożnie na łóżku. Spojrzał na lekarza i dopiero wtedy się położył.

Robert kilkakrotnie przyłożył końcówkę słuchawek do klatki piersiowej pacjenta, po czym zdjął je na chwilę.

– Brał pan dzisiaj jakieś leki?

– Nnnie.

– On niczego nie chce brać – wtrąciła żona.

– Zdarzało się to już kiedyś?

– Co? – spytał nieśmiało mężczyzna.

– Taki stan.

– Nie. – Pokręcił głową, spoglądając tym razem na żonę. – To znaczy... nie aż taki.

– Proszę spróbować szeroko otworzyć oczy. – Robert przyjrzał się uważnie źrenicom, korzystając z małej latarki. Mężczyzna wciąż drżał. Czechowicz odłożył przyrząd na stół.

– Czuje pan taki... dziwny lęk?

– Tak, bardzo... bardzo silny.

– Niech pan spróbuje leżeć spokojnie. – Robert zauważył, że do sali weszła Kaśka. – Daj

z szafki lorafen, jeden miligram – rzucił w jej kierunku – i podłącz EKG.

– To mi nie zaszkodzi? – spytał z niepokojem mężczyzna.

– Z pewnością nie. Jak się pan nazywa?

– Tyszka, Jacek Tyszka.

– Panie Jacku, proszę to połknąć. – Pielęgniarka podała mu tabletkę i szklanę wody.

– Na pewno?

– Jest pan w szpitalu. Nic się nie stanie. Cały czas jestem z panem.

– Na co to?

– Znikną drgawki, przestanie się pan bać – uspokoił go Robert.

– Czy ja mam zawał?

– Jestem pewien, że nie, ale sprawdzimy to.

Na twarzy pielęgniarki pojawił się lekki uśmiech, lecz szybko zniknął, kiedy Czechowicz skarcił ją wzrokiem. Skończyła podłączać elektrody i uruchomiła elektrokardiograf.

Drgawki nagle ustały.

– Chyba pomaga ten lek – powiedział mężczyzna przejętym głosem.

Robert uśmiechnął się do niego, kiwając głową, choć wiedział, że lorafen z pewnością nie zaczął jeszcze działać.

Kaśka podała mu wykres. Przyjrzał mu się uważnie, pokiwał głową i oddał go pielęgniarce.

– I co, w porządku? – spytał z lękiem pacjent.

– W porządku. Trochę szybszy puls, ale w porządku. Niech pan spróbuje rozluźnić brzuch, muszę tu pana trochę poucisnąć.

Żona Jacka Tyszki uważnie przyglądała się wszystkiemu, co robi lekarz. Czasem tylko patrzyła na pielęgniarkę, jakby szukała potwierdzenia słuszności decyzji podejmowanych przez Czechowicza.

– No dobrze – zawyrokował wreszcie Robert. – Może pan zapiąć koszulę i spodnie. – Sięgnął po skierowania i recepty. Przez chwilę coś pisał, a następnie odłożył długopis. – Proszę państwa, proszę mnie uważnie posłuchać.

Mężczyzna usiadł na łóżku, wbijając paznokcie w spodnie.

– Poczekajcie sekundę – rzucił Czechowicz w stronę dwóch dziewczyn, które przyszły posprzątać, i odwrócił się do Tyszki. – To, co pana spotkało, to najprawdopodobniej pierwszy objaw tak zwanej nerwicy lękowo-depresyjnej. Takie stany niestety mogą się powtarzać, ale w dzisiejszych czasach potrafimy sobie nieźle z tym radzić.

Jacek Tyszka przyglądał się mu, jakby mówił zupełnie nie na temat.

– Ale ja nie mogłem oddychać, waliło mi serce. Czytałem, że tak się objawia zawał, i...

– Proszę pana – przerwał Robert spokojnym głosem – depresja potrafi genialnie naśladować objawy wielu chorób. Wywołuje przy tym lęk, stany apatii, smutku, tyle tylko że jest to, mówiąc wprost, takie chemiczne oszustwo. Zbyt mała ilość pewnych związków w

mózgu plus stres i mamy to, co pan właśnie przeżył.

– Aż trudno w to uwierzyć... – bąknął nieśmiało mężczyzna.

– Czy teraz czuje się pan lepiej?

– Znacznie.

– No właśnie. Nie podałem panu leku kardiologicznego, tylko benzodiazepinę antylekową. Objawy powoli ustępują, prawda?

– Tak... – Pacjent zdobył się nawet na uśmiech.

– To skierowanie do psychiatrii. – Robert wręczył Tyszcze kartkę.

– Do psychiatrii?! – jęknęła żona.

– To lekarz jak każdy inny. Ja jestem chirurgiem i nie pomogę pani mężowi tak jak specjalista. A sami możecie nie dać sobie z tym rady.

– Ależ panie doktorze – kobieta otarła twarz chusteczką – mój mąż jest biznesmenem. Gdyby ktoś się dowiedział... byłoby po nim!

– Proszę pani – Czechowicz zerknął w kierunku drzwi, aby upewnić się, czy nie pojawili się nowi pacjenci – badania wskazują, że najliczniejszą grupę chorych na wszelkie odmiany depresji stanowią tak zwani ludzie sukcesu. Artyści, biznesmeni, nawet politycy. Jestem pewien, że w biurze pani męża znaleźlibyśmy niejednego ciekawego przypadek.

– Tyle że to ukrywają... – wtrącił Tyszka, kiwając z przekonaniem głową. Wyraźnie poczuł się pewniej, a na jego twarzy zagościł nawet nieśmiały uśmiech. Oddychał wolniej i spokojniej, jakby odpoczywał po ciężkim wysiłku.

– Nie ma powodu, by specjalnie nagłaśniać to w pracy, ale też nie powinien pan się tego wstydzić, szczególnie przed sobą. Depresja jest dziś chorobą społeczną. Wiedzą państwo dlaczego? Bo większość osób, gdy dostaje podobne skierowanie, krzyczy tak jak pani: „O Jezu! Psychiatra!”

– Ale panie doktorze, czy mąż...?

– Ze sprawnością intelektualną pana Jacka wszystko jest w porządku. Oczywiście może czasami zapominać o pewnych sprawach. Będzie miał trudności z przypomnieniem sobie jakiegoś wyrazu, ale są to zwykłe objawy nerwicowe. Nie należy się tym specjalnie przejmować. – Robert uśmiechnął się, sprawdzając, czy komunikat dotarł do adresatów. – Mimo wszystko pojawiłbym się na państwa miejscu u kardiologa – ciągnął. – I zrobiłbym podstawowe badania. Tu są skierowania. – Podał kolejne kartki.

– Nie wiem, jak panu dziękować – powiedział już głośniejszym głosem Jacek Tyszka.

– Naprawdę nie ma za co. Wypiszę panu leki. Proszę je brać, ale tylko do wizyty u kardiologa i psychiatrii, dobrze?

– Dobrze, panie doktorze.

W drzwiach pojawił się Sawicki.

– Są pacjenci? – spytał Robert.

– Nie, ale w twoim gabinecie czeka obiecująca osoba...

– Zaraz przyjdę. – Czechowicz się uśmiechnął. – Niech chwilę odpocznie. Z pewnością jeszcze nie koniec wrażeń na dzisiaj.

Profesor Lech Wasylyszyn opadł ciężko na fotel. Chwilę trwał w bezruchu, po czym wolno przysunął się do biurka. Wyciągnął szufladę i wyjął teczkę z napisem „Prywatny Instytut Leczenia Nerwicy i Depresji – Spis Pacjentów”, ale nie spieszył się z jej otwarciem.

Klimatyzacja zaczęła wyraźnie szwankować, co objawiało się niemiłym zapachem podgniętych jajek. Drażniło to dodatkowo profesora, który i tak już od pewnego czasu wyprowadzony był z równowagi. Sięgnął po pilota, aby wyłączyć chłodzenie. Wolał już męczyć się w przegrzanej gabinecie, niż siedzieć w smrodzie.

Doktor Andrzej Korwin spóźniał się, ale profesor nie tym się niepokoił. Uznał nawet, że to dobra okazja do zebrania myśli, co właśnie teraz było mu szczególnie potrzebne.

Za oknem sierpniowe słońce rozpałało ulice i dachy domów; tegoroczne lato było trudne do wytrzymania. W takich chwilach Lech Wasylyszyn lubił wspominać zabawne spotkanie z grupą francuskich psychiatrów na ostatnim zjeździe w Paryżu, dwa lata temu, kiedy to szacowni uczeni z szacownego kraju żabojadów wygłosili światłą uwagę na temat różnicy klimatów między zaprzyjaźnionymi krajami. W skrócie, profesorowie wyobrażali sobie Warszawę jako wiecznie zasypaną śniegiem zapadłą miasteczko, na ulicach której od czasu do czasu na zmianę z reniferami spacerują białe niedźwiedzie. Aż trudno było uwierzyć, że ci wykształceni, poniekąd obcy ludzie mają tak nieprawdopodobnie żalosną wiedzę o krajach wschodniej Europy. Dla Wasylyszyna było to tym bardziej oburzające, że w końcu jeden z tych zaśnieżonych, prymitywnych krajów wydał Kopernika, Chopina, Skłodowską-Curie czy Jana Pawła II. Mimo że minęło już tyle czasu, profesor nadal nie krył niechęci do tych nadętych gburów i podkreślał niejednokrotnie pogardę dla tego typu ludzi.

Tym większa była satysfakcja Wasylyszyna, kiedy rok później szacowna delegacja żabojadów musiała złożyć rewizytę w Warszawie. Obserwując tonących w strugach potu uczonych, którzy wchodzili po raz pierwszy do hotelu Sobieski, profesor dławiał się w myślach ze śmiechu. Widział w ich oczach wielkie znaki zapytania oraz ciężką do zniesienia tęsknotę za chłodnym, klimatyzowanym pokojem hotelowym i napawał się swoją małą zemstą.

Pukanie do drzwi wyrwało go z zamyślenia. Wyprostował się, po czym leniwie otwierając teczkę, mruknął:

– Proszę.

Chociaż zaproszenie nie było zbyt głośne, drzwi otworzyły się i do gabinetu wkroczył doktor Andrzej Korwin w towarzystwie wysokiego, barczystego mężczyzny o mało przyjaznym wyrazie twarzy. Mięśniak wyraźnie nie pasował do tego otoczenia, a już z pewnością nie do schludnych, ubranych w białe fartuchy lekarzy. Był ostrzyżony na zapałkę, miał na sobie nieapetyczny T-shirt kupiony zapewne pod Stadionem Dziesięciolecia, sprane

dżinsy, łaciate adidas, a na nadgarstku złotą bransoletę, na widok której nawet doświadczony profesor skrzywił się z niesmakiem.

– Siadajcie – rzekł beznamiętnie Wasylyszyn i zajrzał do teczki.

Korwin z niepokojem obserwował oblicze szefa, tylko od czasu do czasu spoglądając na sąsiada. Profesor tymczasem nie spieszył się z rozpoczęciem rozmowy i wolno czytał materiały. Wreszcie doktor pochylił się do towarzyszącego mu mężczyzny.

– Gorec – powiedział cicho, wciąż obserwując szefa – zrób nam herbaty.

Mężczyzna powoli wstał i wyszedł z gabinetu.

– Jesteś pewien, że ten półmózg będzie lojalny? – mruknął Wasylyszyn znad papierów.

– Gorec pracuje dla nas od pół roku – odparł szybko Korwin. – Nie ma z nim kłopotów.

– Nie pytam, od jak dawna dla nas pracuje – burknął profesor, nie odrywając wzroku od materiałów – tylko czy jesteś pewien, że do końca pozostanie lojalny.

– Odkąd został szefem ochrony, wszystko odbywa się bez zarzutu. – Młody lekarz nie mówił już tak pewnie, zwłaszcza od momentu kiedy Wasylyszyn dość gwałtownie oderwał się od papierów i zawiesił na nim zniecierpliwione spojrzenie. – No... może z wyjątkiem tego ostatniego wypadku – wydukał, spuszczać wzrok jak uczeń.

Profesor wciąż jednak go obserwował, chociaż na razie nic nie mówił.

Drzwi otworzyły się i do gabinetu wkroczył Gorec, trzymając tacę z napojami. Postawił ją na biurku i bez słowa usiadł na swoim fotelu.

Wasylyszyn raz jeszcze przyjrzał się teczce, wreszcie zamknął ją i popatrzył chłodno na siedzących przed nim mężczyzn.

– Znaleźliście go? – spytał spokojnie.

– Jeszcze nie – odparł Korwin. – Ale Gorec mówi, że to kwestia godzin.

Mięśniak skinął głową.

– Teraz nie ma już znaczenia, czy znajdziecie go za trzy czy trzydzieści godzin – oznajmił dość obojętnie profesor. – Najprawdopodobniej jakieś dwadzieścia minut temu stracił przytomność. Gdy się obudzi, niczego nie będzie pamiętał.

– A jego wizyta tutaj? – spytał Gorec.

Korwin ukrył twarz w dłoniach.

– No właśnie, panie kierowniku ochrony – burknął nie bez ironii Wasylyszyn. – Facet zgłasza się do ośrodka, w którym leczy się depresje, nagle zasypia i budzi się cholera wie gdzie, nie rozumiejąc, o co chodzi. Bo nie pamięta, że wyszedł, a raczej uciekł o własnych siłach, kiedy nie przypilnowaliście go w czasie próby!

– Tak to będzie wyglądało z jego punktu widzenia – dodał Korwin.

– Zamknij się, Andrzej, i nie przerywaj mi – warknął profesor. – Która to była jego próba?

– Czwarta.

– Posłuchaj. – Wasylyszyn zwrócił się teraz do Gorca. – Jeśli nie dostanie odpowiedniego

leku, przez kilkadziesiąt minut będzie oszołomiony i bezradny. Może wyglądać na narkomana i za takiego będą go brali na ulicy. Niewykluczone, że nawet zgarnie go policja. Wtedy już byłoby bardzo źle. Musicie go znaleźć, zanim ktokolwiek się nim zainteresuje. Potem zacznie odzyskiwać świadomość i przypomni sobie wszystko, co się działo przed próbą. Jeśli tak się stanie i ktoś mu uwierzy, będą bardzo poważne kłopoty.

– Wszyscy go szukają, nie ucieknie – zapewnił Gorec.

– Już uciekł – przerwał mu profesor. – A ty masz za wszelką cenę sprowadzić go z powrotem. Inaczej zafunduję ci taki odlot, że powrót zajmie ci całe lata.

Gorec nie należał raczej do strachliwych, ale Wasylyszyn był jednym z niewielu ludzi, których się obawiał. Wiedział, że z profesorem nie ma żartów i każde jego słowo należy traktować poważnie.

– Mogę wyjść? – spytał cicho.

– Natychmiast dzwoń, kiedy już się wszystko wyjaśni.

– Oczywiście.

Gorec podniósł się i szybko wyszedł z gabinetu.

Profesor skinął na Korwina, by jeszcze chwilę został.

– Pilnij go – rzekł cicho, gdy ochroniarz zniknął za drzwiami.

– Może mu pan ufać – odparł Korwin. – To bardzo pewny człowiek.

– Słyszałem i wierzę ci. Jesteś lekarzem, a nie policjantem, i rozumiem to, ale mimo wszystko proszę, żebyś miał na niego oko.

– Jak pan sobie życzy, ale myślę, że to zbędne.

– Będiesz tego samego zdania, gdy wylądujemy w więzieniu z dożywociem? – Zajrzał młodemu lekarzowi w oczy.

Korwin wciągnął głęboko powietrze.

– Przepraszam, ale chyba coś tu śmierdzi. – Skrzywił się, czując resztki zapachu wydzielanego przez klimatyzację.

– Coraz bardziej – mruknął zimno profesor.

Korwin zamarł na chwilę.

– Będę miał na niego oko – powiedział i dopił herbatę.

Doktor Robert Czechowicz przebił się przez tkankę tłuszczową i dotarł do sieci większej otrzewnej. Skalpel wydawał mu się jednak dziwnie ciężki, przez co niewygodnie leżał w dłoni. Każdy następny ruch był coraz trudniejszy, jakby palce trzymające nóż nienaturalnie odrętwiały, niezdolne do precyzyjnych cięć.

Twarz wilgotniała mu od potu, ale nie czuł gorąca. Nagle wykonał niespodziewany ruch i w jednej sekundzie potężny strumień tętniczej krwi chlusnął mu w twarz. Otarł szybko oczy gazą. Krwotok stawał się coraz obfitszy.

Aorta zstępująca?! – pomyślał przerażony. Przecież nie powinno jej tu być!!!

Spojrzał w panice na twarz pacjenta i zauważył z trwogą, że pod powiekami jego gałki oczne zaczynają wykonywać dziwne ruchy. Wreszcie oczy się otworzyły. Mężczyzna spokojnie wyjął rurkę intubacyjną.

– No i co teraz będzie? – mruknął, patrząc hipnotycznie prosto w oczy doktora.

– Nie wiem, gdzie jest zespół... – jęknął zdruzgotany Czechowicz.

– Uciekli. Jesteś nędznym lekarzem. Za chwilę się wykrwawię, a ty stoisz tu jak kretyn.

– Nie jestem złym lekarzem – bąknął Robert. – Ciężko pracuję i wszyscy mówią, że jestem najzdolniejszy na tym oddziale.

– Nie słuchaj ich, to hipokryci. Będą się podlizywać, dopóki nie staniesz się niepotrzebny. Wyssą z ciebie wszystko i znikną...

Mężczyzna opadł z powrotem na stół. Włączył się jakiś dziwny alarm, którego Czechowicz nigdy wcześniej nie słyszał. Skalpel wypadł mu z ręki...

Zerwał się nagle, otwierając oczy. Przez żaluzje wpadało popołudniowe słońce. Było gorąco i dość duszno.

Otarł ręką pot z czoła, budząc się do reszty.

Starał się opanować oddech i uspokoić. Telefon dzwonił od pewnego czasu, ale Robert nie zwracał na niego uwagi. Sięgnął po szklanekę z wodą i szybko ją opróżnił. Wziął głęboki oddech, po czym wcisnął na aparacie, który stał tuż obok, na stoliczku, guzik „phone”.

– Robert? Jesteś tam? – usłyszał głos Jolki.

– Tak – powiedział cicho zaspanym wciąż głosem.

– Jeszcze śpisz?! Jest trzecia po południu!

– Odsypiam dyżur, miałem idiotyczny sen. – Rozejrzał się po pokoju, szukając butelki coli.

– Wieczorem zabieram cię na przyjęcie, pamiętasz?

– A ten twój goguś? – Robert był już prawie całkowicie przytomny.

– Wyjechał na tydzień do Szczecina. O co ci chodzi? Mówiłeś, że chcesz tam pójść. Będzie ten sławny psychiatra, pamiętasz? Będą Gutowiczowie, ten jajogłowy... jak on się nazywa... Skotnicki.

– Wiem, w porządku. – Czechowicz spuścił nogi na podłogę, zdjął słuchawkę ze stacji i wstał. – Muszę gdzieś wpaść, ale później po ciebie przyjadę.

– O siódmej?

– Będę.

Odłożył słuchawkę na stację. Przeciągnął się, czując, jak mięśnie przyjemnie relaksują się po śnie. Z pewną nadzieją spojrzął w stronę lodówki, licząc na to, że zostało w niej jeszcze kilka jajek. Ser żółty z pewnością zjedzony, wędlina i twarożek – tak samo. Mógł liczyć tylko na jajecznicę.

Na drzwiach lodówki znalazł na szczęście ocalałe trzy jajka, co rozwiązywało problem śniadania. Półkę niżej stała margaryna, a o połowie bułki zostawionej poprzedniego dnia w

„chlebownicy” jeszcze pamiętał.

Zerknął na grafik przygwożdżony magnesem do drzwi lodówki i z ulgą zauważył, że w pracy ma się pojawić dopiero pojutrze o dziewiątej.

Sala widzeń przypominała zaniedbaną, nadającą się do remontu stołówkę. Oprócz kilku rozchwianych stolików, przy których siedzieli już więźniowie oczekujący na rodziny i przyjaciół, właściwie żadnych mebli tu nie było. Światło wpadające przez zakratowane okna obnażało ponurą brzydotę odrapanych ścian, ale mało kto zwracał na to uwagę. Większość skazanych równie dobrze mogłaby się spotykać z bliskimi w piwnicy, byle tylko mieć taką możliwość.

Przy jednym ze stolików Robert dostrzegł wpatzonego w okno wysokiego mężczyznę. Miał około sześćdziesięciu lat, ale niemal całkowicie siwe włosy sprawiały, że wyglądał na trochę starszego. Wystukiwał palcami na blacie marszowy rytm, nucąc cicho pod nosem *Yellow Submarine* Beatlesów. Był starannie ogolony, siedział prosto, elegancko, może nawet dumnie. Czechowicz pomyślał, że widok tego dystyngowanego człowieka wśród zwykłych przestępców, którzy nierzadko mieli wypisaną na twarzach swoją przeszłość, jest jeszcze bardziej absurdalny niż historia, która go tu sprowadziła, a z której zrozumieniem Robert wciąż miał sporo problemów.

Podszedł i usiadł na krześle po drugiej stronie stolika.

– Cześć, tato – mruknął cicho, patrząc przez moment na strażnika stojącego przy drzwiach.

Mężczyzna odwrócił się od okna i szeroko uśmiechnął.

– Cześć, synku. Co u ciebie słychać?

– Przepraszam, że ostatnio nie byłem, ale wypadł mi niespodziewany dyżur. – Robert odetchnął głęboko.

– Nie przejmuj się. – Stary Czechowicz machnął ręką. – Ważne, że jesteś teraz.

– Jak jest? – Robert wciąż mówił bardzo cicho.

– Ciężko, ale się przyzwyczajam.

– Jak twoi... koledzy z pokoju? – Nadal ciężko mu było wymówić słowo „cela”.

– W porządku. To tacy faceci jak ja. Nikogo nie zabili, nikogo nie napadli.

– Tu nie ma takich jak ty. – Robert poprawił się nerwowo na krześle. – To kryminaliści.

Stary Czechowicz pokręcił z rozczuleniem głową.

– Ja też jestem przestępcą, synku – odparł spokojnie. – Oszukałem państwo na grube pieniądze i dlatego tu jestem. Popełniłem błąd, ale fakt jest faktem. Pogódź się z tym i nie udawaj, że nic się nie stało. Tyle razy już o tym rozmawialiśmy.

– Tato, jak tylko...

– Ty wciąż udajesz, że jest jak dawniej. – Mężczyzna przerwał na chwilę. – Ale nie akceptując sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, utrudniasz mi zniesienie tego i... sam się

wpędzasz w niepotrzebne komplikacje.

– Niepotrzebne komplikacje?! – Robert pierwszy raz podniósł głos. – Co to za sformułowanie?!

– Nie kłóćmy się. – Stary Czechowicz zamknął na kilka sekund oczy, jakby zbierał myśli.

– Wiesz, zabrali tego faceta od nas – wybuchnął nagle, próbując zmienić temat.

– Jakiego faceta?

– Tego, o którym ci ostatnio opowiadałem. Tracił przytomność, miał drgawki...

– A, wiem – przypomniał sobie Robert. – Ten z epilepsją.

– No właśnie. Kiedy do nas przyszedł, od razu dostał tego ataku. Pamiętasz, mówiłem ci o tym. Zjawił się lekarz i parę dni później gdzieś go przenieśli.

– Nie miał w papierach, że jest chory?

– No, nie. A co u ciebie?

– Jakoś leci.

– Mów prawdę, bo i tak poznam, że coś się dzieje.

– Ogólnie wszystko w porządku, tylko wciąż mam te sny...

– Znowu?!

– Kilka razy w miesiącu.

Stary Czechowicz rozejrzał się po sali, jakby sprawdzał, czy żaden z więźniów ich nie podsłuchuje.

– Wciąż ta kobieta w dziwnym stroju?

– Wierzysz mi? – Zajrzał ojcu głęboko w oczy.

– Oczywiście. Jesteś lekarzem, nie mówiłbyś mi głupot.

Robert pokiwał głową.

– Widzisz, ona jest taka... realna. Gdybym zobaczył ją na ulicy, poznałbym bez problemu. Zwykle jeśli śni ci się ktoś, kogo nie znasz, nie zapamiętujesz jego twarzy. To po prostu wytwór umysłu, ale ona...

– Cały czas wygląda tak samo?

– Tak, jest ubrana bogato, w stylu bliskowschodnim. W tych snach... przyjaźnimy się, może nawet ona mnie kocha.

– No, tym bym się nie martwił. – Ojciec się uśmiechnął.

– Ale zawsze po jakimś czasie – ciągnął poważnie Robert – zaczyna się dziać coś złego. Nie potrafię tego dokładnie określić, ale wiem, że nadciąga niebezpieczeństwo. Próbuję się obudzić, ale nie mogę. W pewnym momencie już wiem, że śnię, a wciąż nie mogę odzyskać przytomności. Czasem wydaje mi się, że już się obudziłem, wstaję i znów widzę tę kobietę. A najgorsze jest to, że kiedy wreszcie udaje mi się ocknąć, nie pamiętam, co się stało. To znaczy, o jakie niebezpieczeństwo chodziło.

– Jak to możliwe?

– Wyraźnie to czuję. Niepokój, lęk, później coś się dzieje, ale po przebudzeniu nie

pamiętam tego. Tylko tę kobietę i dziwne rzeczy, które niekiedy robimy.

– To znaczy?

– Chodzimy po jakimś pałacu, potem jesteśmy na pustyni, błądzimy po jaskiniach... trudno mi to wyjaśnić.

Stary Czechowicz patrzył jakiś czas na syna, nic nie mówiąc.

– Myślałeś o tym, żeby pójść do psychologa? – zapytał po chwili.

– Jestem lekarzem, dam sobie radę.

– Ale nie psychologiem.

Robert machnął ręką, jakby nie chciał już o tym mówić.

– To tylko sny. Nieprzyjemne, ale tylko sny.

– Kiedy ostatnio ci się to przytrafiło?

– Parę dni temu, chociaż dzisiaj też miałem idiotyczny sen. Nie, nie o tej kobiecie – dodał szybko, uprzedzając pytanie ojca. – O szpitalu. Kroję faceta, a tu nagle znika mój zespół, pacjent się budzi i opowiada mi jakieś głupoty, w dodatku bluzgając krwią.

Stary Czechowicz skrzywił się i zasłonił mimowolnie usta.

– To wszystko jest bez sensu – ciągnął Robert. – Chyba muszę wziąć urlop.

– Masz nerwy w fatalnym stanie. Uważam, że powinieneś poprosić kogoś o pomoc.

– Koniec widzeń, proszę kończyć! – usłyszeli głos strażnika spod drzwi.

– Dbaj o siebie. – Robert ponownie ściszył głos. – Nikt ci tu nie próbuje robić krzywdy?

– Ależ skąd! Mówiłem ci, że w mojej celi siedzą sami defraudanci. Takie głupoty są tylko w amerykańskich filmach.

– Trzymaj się, tato. – Czechowicz wstał, pochylił się i pocałował ojca w policzek.

– Będzie dobrze. – Starszy mężczyzna podniósł się, ale jeszcze na chwilę się zatrzymał. – Wiesz co? Dwie cele dalej jest facet, który lubi trzymać rękę nad palącą się świeczką. Taką ma zabawę. Kilka razy mocno się poparzył. Podobno widział to w jakimś filmie. Zapytałem go, jak to robi, że tak wytrzymuje ból. A on mi na to: „Najważniejsze to się nie przejmować”.

– No fakt. – Robert z dezaprobatą pokręcił głową.

– Będzie dobrze. – Stary Czechowicz uśmiechnął się i szybko ruszył w stronę wyjścia dla więźniów.

Willa, przynajmniej z zewnątrz, prezentowała się okazale. Na tle sąsiednich domów wyróżniała się nie tylko wielkością, ale także – co lubili podkreślać gospodarze – oryginalnymi rozwiązaniami architektonicznymi. Kilkupoziomowy dach, duży taras, kilka balkonów i przedziwna kolorystyka całości zwracały uwagę, szczególnie zaś zielona dachówka i czerwone ramy okien na tle biało-brązowego tynku. Ta część Mokotowa nigdy do najbiedniejszych nie należała, ale raczej utrzymywała się w tradycyjnym stylu. Niestety, odkąd kilka ekstrawaganckich nowobogackich rodzin wprowadziło tu tak daleko idący „niepokój twórczy”, ta część dzielnicy na zawsze zmieniła charakter i klimat. Na szczęście po

zderzeniu z ucieleśnieniem szalonych wizji gospodarzy goście mogli trochę wypocząć w tradycyjnych ogrodach, które – co ciekawe – w większości nawiązywały formą do tradycji, i to nierzadko sprzed XX wieku.

Robert nigdy tu nie był, ale Jolka lubiła zabierać go na przyjęcia do swoich znajomych, niejednokrotnie chwając się interesującymi przyjaciółmi, takimi jak choćby kontrowersyjny dziennikarz Adam Pil czy znany psycholog i psychiatra Kamil Kostecki, który miał być jednym z gości.

O gospodarzach do niedawna Robert niewiele wiedział, ale w samochodzie Jola nie próżnowała. Zdążyła wyłożyć mu pół ich życiorysu, od skromnego początku w postaci sklepiku ze zdrową żywnością, aż do wielkiego przedsiębiorstwa sprowadzającego i produkującego leki naturalne.

Jak to skrótowo ujęła, byli „nadziani po pachy”, ale woda sodowa do głów im nie uderzyła. Pozostali sympatycznymi, skromnymi ludźmi, choć trzeba też przyznać – dość rozrywkowymi.

Przyjęcie miało charakter typowego *stand-up*, wypełnionego przyciszonymi rozmowami o interesach, polityce i rozrywce, ze starannie dobranym acid-jazzem w tle.

Główny salon, w którym zgromadziło się najwięcej gości, nie był już tak odważny architektonicznie, jak sugerował widok z zewnątrz. Miał przynajmniej 60 metrów, a mimo to był doskonale i – co rzadkie – gustownie oświetlony.

Wysoki jak na willowe budownictwo sufit stwarzał wrażenie przestrzeni i swobody, a przy tym elegancji i, subtelnie zaznaczonego wystrojem wnętrza, szacunku dla tradycji.

– O, jest Kostecki – zapiszczała Jola, szturchając w bok Roberta.

– Widzę – mruknął jakby od niechcienia, rozglądając się po salonie. Na widok psychiatry nie znani mu ludzie kiwali przyjaźnie ręką bądź pozdrawiali go szerokim uśmiechem.

– Chodź, przedstawię cię. – Jola pociągnęła go mocno za rękaw marynarki.

Czechowicz mimo swojej niezachwianej pozycji nie znał zbyt wielu sław. Jediną osobą publiczną, z którą się przyjaźnił, był Jędrzej Morawiecki, kolega jeszcze z ogólniaka. Jędrzej kilka lat temu zrobił dość gwałtowną karierę w mediach. Po czternastu latach jako prezydent i producent w radiu, a później również w telewizji, został przed kilkoma miesiącami rzecznikiem prasowym rządu, co niestety ograniczało czas, jaki mogli sobie poświęcić. Mimo to nie zaniechali znajomości i przynajmniej kilka razy w miesiącu spotykali się na lampce wina lub brydzu z żoną i siostrą Jędrzeja.

– Hej! Jesteś tu? – Jola potrząsnęła zamyślnym Robertem.

– Przestań. Jasne, że jestem – mruknął, zbliżając się do stojącego w rogu z lampką białego wina i – co ciekawe – pozbawionego towarzystwa doktora Kosteckiego.

– Panowie pozwolą. – Jola uśmiechnęła się. – Nasz wspomniały psychiatra i psycholog, doktor Kamil Kostecki. Znacznie mniej wspomniały, choć przystojny gbur i niewdzięcznik, Robert Czechowicz, chirurg i podrywacz.

- Miło mi pana poznać. – Kostecki wyciągnął przyjaźnie rękę, uśmiechając się szeroko.
- Cała przyjemność po mojej stronie. – Robert mocno uścisnął dłoń psychiatry.
- To chyba rzadkie, że psychiatra jest równocześnie psychologiem? – wtrąciła Jola, zaglądając głęboko w oczy Kosteckiemu.
- Jest nas kilku – odpowiedział uprzejmie lekarz. – Interesuje się pani naszym zawodem, pani Jolu?
- Okazyjnie – odparła zalotnie. – Nie każdy potrafi tak skutecznie zajrzeć do damskiej duszy...
- W zdrową duszę zajrzeć jest znacznie trudniej. Nas nauczone pomagać tym cierpiącym i zagubionym...
- Och, panie doktorze. – Jola przybrała filozoficzną minę. – W dzisiejszych czasach każdy jest trochę zagubiony, a nawet jeśli nie, to powinno to należeć do dobrego tonu.
- Typ twórczej skromności?
- Niegroźnej i wyuzdanej hipokryzji.
- Gratuluję. Jak to rzekł niegdyś światle Konfucjusz: „Człowiek tym różni się od zwierzęcia, że z wszystkich fałszywych kroków umie uczynić cnotę”.
- Dokuczają mi pan, doktorze. – Jola ponownie się uśmiechnęła. – Ale wybaczam panu. Za karę zostawiam pana z tym nudziarzem, muszę przywitać się z przyjaciółmi.
- Proszę jej wybaczyć, bywa nieznośna – powiedział Czechowicz, odprowadzając wzrokiem przyjaciółkę.
- Niech pan uważa, doktorze – rzekł dosadnie Kostecki. – Z inteligentnymi kobietami życie jest ciekawe i... krótkie.
- Nie śmiem polemizować. – Roberta rozbawiła ta uwaga.
- Przejdzie się pan ze mną na taras? – spytał pogodnie psychiatra.
- Oczywiście. – Czechowicz ujął kieliszek wina i ruszył w kierunku wielkich drzwi balkonowych.
- Taras był bardzo duży, ale mimo ciepłego wieczoru nikt nie kwapił się na razie do podziwiania nocy.
- Robert oparł się o balustradę i patrzył jakiś czas w milczeniu na miasto.
- Wiele dobrego o panu słyszałem – powiedział Kostecki, przerywając chwilę ciszy. – Najlepszy uczeń profesora Zielińskiego, świetny chirurg, a przy tym dobrze potrafiący kierować zespołem.
- Dziękuję. – Robert był trochę onieśmielony. – Jest pan bardzo uprzejmy. Choć nie wiem, skąd czerpie pan tę zbyt łaskawą dla mnie wiedzę.
- Chciałbym poradzić się pana jako lekarza. – Kostecki zignorował skromność Czechowicza.
- Słucham? – Robert nie potrafił ukryć zdziwienia.
- Wie pan, że zajmuję się hipnozą.

– Oczywiście.

– Leczę w ten sposób silne lęki depresyjne i fobie okołonerwicowe. Wierzy pan w skuteczność tych metod?

– Przyznam, że nie mam zdania.

– Uprzejmie, ale nieszczerze. – Psychiatra uśmiechnął się. – Rozumiem pana, doktorze. Wydaje się panu, że w pańskiej specjalności takie metody nie mogą znaleźć zastosowania.

– Pan ma inne zdanie?

Kostecki odstawił kieliszek na pobliski stolik i, podobnie jak Robert, przez chwilę przyglądał się światłom miasta.

– Grał pan kiedyś w go? – spytał nagle.

– Obawiam się, że nie.

– To chińska gra, znana już cztery tysiące lat temu. Jej wynalezienie przypisuje się cesarzowi Shun, władcy Chin z dwudziestego trzeciego wieku przed naszą erą. Podobno spisał zasady z myślą o swoim synku, dla którego trening ten miał być szkołą myślenia. W rzeczywistości to niezwykle skomplikowana gra strategiczna o znacznie większej liczbie kombinacji niż na przykład szachy.

– Interesujące – przyznał Czechowicz.

– Walcząc z psychozą lub nerwicą pacjenta, lubię myśleć o go. Mózg to mocny przeciwnik, a w dodatku najczęściej nas lekceważy. Nie docenia nas i postrzega ciało jako prymitywny zlepek prostych urządzeń, takich jak serce, wątroba czy nerki. Dlatego wykorzystuje tylko niewielki procent swojego potencjału, dając nam złudzenie świadomości, a czasem nawet wysokiej inteligencji. Tak naprawdę nie wiemy, co jest dalej. Są całe partie mózgu, o których nie mamy niemal zielonego pojęcia. Nie jest pan ciekaw, co tam się kryje?

– Oczywiście, że jestem – odparł Robert. Psychiatra skinął nieznacznie głową, jakby chciał wyrazić szacunek dla tej deklaracji.

– To banał – ciągnął Kostecki – ale psychiatria jest po prostu pojedyńkiem z własnym umysłem. To strategiczna gra, w której, co ciekawe, obaj konkurenci bez żenady oszukują. Umysł podpowiada człowiekowi strach przed jeżdżeniem windą, serwuje astmę lub wysypkę o podłożu stresowym, a chorego na depresję oszukuje obrazem ponurego, szarego świata. Lekarz także oszukuje, zmieniając lekami chemię, stosując psychoterapię, wreszcie zadając podstępemu draniowi cios w plecy... hipnozą.

Baju-baju, skonstatował w myślach Robert, ale przysłuchiwał się z zainteresowaniem, choć nie potrafił zgadnąć, dlaczego ten wybitny lekarz i naukowiec poświęca mu tak wiele czasu. Być może po prostu lubił opowiadać o sobie, wsłuchując się narcystycznie w tembr swojego głosu i szukając objawów zachwyty u słuchaczy. A może chodziło o coś innego, mniej przyziemnego, lecz niekoniecznie interesującego skromnego chirurga. Przemęczony Czechowicz nie mógł tego dnia sprawić satysfakcji rozmówcy swym zaangażowaniem i podziwem. Ograniczył się więc do uprzejmego, choć niespecjalnie twórczego skupienia

uwagi.

– Miałem wczoraj pacjenta, któremu pańskie metody z pewnością dałyby wiele dobrego – powiedział, również odstawiając kieliszek.

– Większości pańskich pacjentów mogłyby one dać sporo korzyści – podchwycił Kostecki.

– Wiem, że wy, psychiatrzy, uważacie, że do końca zdrowych ludzi nie ma. – Czechowicz uśmiechnął się. – Ale byłbym za bardziej optymistyczną wersją oceny stanu naszej populacji.

– Nie rozumie pan – zaproponował psychiatra. – Pańskim pacjentom przed i po zabiegu towarzyszą silny stres, lęk, niepewność. Skuteczność pańskiego leczenia, stan organizmu w trakcie operacji i podczas rekonwalescencji ściśle zależy od stanu psychiki.

– To nie potwierdzone naukowo teorie.

– Nawet jeśli, to co szkodzi wprowadzić, choćby eksperymentalnie, taki eklektyczny sposób terapii. Naukowo dawno już dowiedliśmy, że hipnoza nie powoduje żadnych efektów ubocznych.

– Podniosłoby to koszty.

– Niech pan nie przesadza. Czasem warto wsłuchać się w myśli starożytnych medyków chińskich. Wciąż jesteśmy o lata świetlne za nimi.

Robert zdecydował, że nadeszła pora na niewielki bunt.

– Chce pan dać nadzieję zestresowanym pacjentom, eksperymentując z niekonwencjonalnymi metodami, które dodatkowo obudzą ich strach?

Kostecki nie odpowiedział od razu. Spokojnie przyglądał się młodszemu koledze po fachu.

– Wspomniałem dziś panu o go. Jest taki ruch, szczególnie podstępny i skuteczny. Nazywa się „hasami” albo inaczej „japońskie cięcie”. Nie tylko ogranicza pole działania przeciwnika, ale także nie daje mu uciec. Atakuje z dwóch stron. Pan uderza z jednej, ja z drugiej i nagle jest o czym pisać habilitację. – Kostecki ponownie zajrzał głęboko w oczy Robertowi.

Tym razem Czechowicz nie odpowiedział, próbując odgadnąć, czy zamiary pana doktora nie wykraczają przypadkiem lekko poza balangową pogawędkę.

– Próbował pan kiedyś tego? – zagadnął Kostecki.

– Czego?

– Hipnozy. Choćby dla zabawy.

– Raczej nie.

– Jest pan zawsze uśmiechnięty? Pełen zdrowego zadowolenia? Niczego pan nie potrzebuje?

– Nie narzekam. Czasem mam koszmary senne, nic wielkiego. – Szybko pożałował, że to powiedział.

– Nie lekceważyłbym snów. Freud wiedział to już sto lat temu.

– To nic takiego. – Czechowicz marzył, aby wreszcie pogadać o pogodzie.

– Czy te sny się powtarzają?

– Raczej tak.

– Są podobne? Takie same?

– Podobne... Śni mi się ciągle ta sama osoba. – Chirurg ponownie ugryzł się w język.

– Zna pan tę osobę?

– Nie.

– Zagadkowe...

– To naprawdę żaden problem. Jeśli tylko będę miał jakiekolwiek kłopoty, błyskawicznie zjawię się w pańskim gabinecie.

– Po co czekać? – usłyszeli za sobą kobiecy głos.

– Pani Jola jest za. – Kostecki roześmiał się.

– Byłby pan w stanie zahipnotyzować tego niedowiarka? Tu i teraz?

– Nie mówicie poważnie – mruknął Czechowicz, zbierając się do ucieczki.

– Ależ najzupełniej poważnie – odparł pogodnie Kostecki. – Mamy tu nawet pokój do takich rozrywek. Wiele osób poddało się eksperymentowi i były bardzo zadowolone.

– Do tego trzeba szczególnych warunków. Przecież to trudne... – bronił się Robert.

– Nic podobnego – zaproponował psychiatra. – Wolberg opisał kiedyś przypadek dziewczynki, która opanowała technikę hipnozy, oglądając wyłącznie film. Później skutecznie wypróbowała zdobytą wiedzę na innych dzieciach.

– Przecież to zabawa, nie bądź gburem – zakwiliła Jola.

– Tylko mała hipotaksja – zapewnił Kostecki.

Czechowicz nie miał wyjścia. Wykrzywił usta w coś na kształt uśmiechu i skinął głową.

– No dobrze, czemu nie. – Z pewnym zdziwieniem doszedł do wniosku, że nawet podoba mu się ten pomysł.

– To idziemy. – W oczach Joli błysnęły iskierki. Ruszyła żwawo w stronę salonu, szukając wzrokiem gospodyni. Stała dość blisko, przy tacy z ciastkami.

– Gosiu, dasz klucz do gabinetu? – wyrecytowała tajemniczo.

– Macie nową ofiarę? – spytała zalotnie kobieta.

– Cicho. – Jola szturchnęła przyjaciółkę. – Płoszysz zwierzyne.

Gospodyni wyjęła z kieszeni klucz i wręczyła go dyskretnie Kosteckiemu, po czym wmieszała się w tłum gości.

– Chyba często korzystacie z tego pokoju, skoro pani domu trzyma klucz przy sobie – mruknął Robert.

– Spokojnie. Oprócz tego, że jesteśmy satanistami, wszystko z nami w porządku. – Jolka wybuchnęła śmiechem. – Idziemy.

Ruszyła w kierunku schodów na górę.

– Jak wiele osób jest podatnych na hipnozę? – spytał Czechowicz, idąc potulnie za dziewczyną.

– Kratochvil twierdzi, że tylko pięć procent całkowicie nie nadaje się do tego – odpowiedział Kostecki. – Ale nawet wśród tych osób predyspozycje z czasem mogą się zmieniać.

– Zdarzają się... no, jakieś wypadki? – Robert zorientował się, że to pytanie zabrzmiało dość głupio.

Psychiatra potraktował je jednak poważnie.

– Pacjenci zawsze się budzą. Nawet jeśli terapeuta nie wybudzi ich osobiście.

Czechowicz poczuł się znacznie pewniej. Zauważył, że senność mija, a górę bierze ciekawość. Zdecydował się nawet uważniej przyjrzeć pupie Jolki wchodzącej po schodach, co było objawem coraz lepszego humoru.

– Aszszsz!!!

Robert nagle zbudził się i szeroko otworzył oczy. Natychmiast napotkał spokojny wzrok doktora Kosteckiego, metr dalej na fotelu siedziała uśmiechnięta Jola. Znów był w niedużym, zaciemnionym gabinecie, do którego przyprowadzili go niedawno. Siedział dziwnie skulony na wielkim skórzanym fotelu i, ku swojemu zdziwieniu, nie pamiętał nic z seansu.

– Co ja powiedziałem? – zdziwił się, prostując nogi.

– Trudno stwierdzić. Wyszedł pan z transu dość gwałtownie, ale wszystko jest w porządku – zapewnił go psychiatra.

– Dlaczego nic nie pamiętam? – Robert był lekko rozdrażniony.

– Tak się niestety zdarza. Pani Jola wszystko panu opowie. – Kostecki się uśmiechnął.

Czechowicz spojrział odruchowo na zegarek.

– Co?! – powiedział głośniej, niż planował, ale czuł się dziwnie rozdrażniony. – Dlaczego to trwało tak długo?

– Nie przesadzaj, niecałą godzinę. – Jola machnęła ręką.

Dziwny niepokój i ból głowy nie podobały się Robertowi. Wstał jednak bez wysiłku i rozejrzał się po pokoju.

– Dajcie mi coś do picia.

– Jasne. – Dziewczyna zachichotała i podeszła do barku. – Byłeś bardzo niegrzeczny, opowiadałeś o naszym wczorajszym popołudniu. Świntuszek... – Pokiwała palcem.

– Bardzo śmieszne.

– Proszę się nie obrażać, seans był bardzo udany. Chętnie podyskutuję o tym z panem, doktorze – wtrącił poważnie Kostecki.

– Jak tylko chwilę odpocznę – powiedział niepewnie Czechowicz, otrzepując spodnie.

– Pańska komórka zadzwoniła dziesięć minut temu, numer wyświetlił się na aparacie. – Psychiatra podał mu telefon.

Czechowicz dostrzegł na wyświetlaczu domowy numer Jędrzeja Morawieckiego.

– Przepraszam – rzucił. – Muszę zadzwonić. – Wyszedł na korytarz i wystukał numer.

– Słucham – usłyszał głos przyjaciela.

– Co się stało? Rząd upada?

– Nie. – Morawiecki roześmiał się. – Mam do ciebie wielką prośbę.

– Dawaj.

– Za dwa dni muszę spotkać się z prasą w sprawie tej regulacji o prawach chorych, wiesz, o co chodzi?

– Jasne.

– W medycznych sprawach średnio się orientuję. Przejrzysz materiały i przełożysz mi kilka spraw na polski?

Chirurg zerknął na zegarek.

– Wiesz co, mogę wpaść nawet zaraz.

– Poważnie?!

– Jestem na przyjęciu, które trochę mnie już zmęczyło. Chętnie się wyrwę.

– Doskonale, czekam.

Czechowicz rozłączył się i wrócił do gabinetu.

– Mam nadzieję, że mi wybaczycie – zaczął przepraszająco. – Obawiam się, że muszę jechać. Nie obrazisz się, Jolu?

– Przyzwyczaiłam się. Takie życie dziewczyny lekarza.

– Wynagrodzę ci to. – Poczł nagle silny ból głowy, więc zamknął na chwilę oczy i przetał czoło dłonią. – Odwieźć cię?

– Nie, jeszcze trochę tu zostanę.

– Cholernie rozbolała mnie głowa. – Czechowicz poklepał się po kieszeniach. – Nie mam niczego przy sobie.

– Szewc bez butów chodzi – powiedziała ze współczuciem Jolka. – Masz, zostały mi dwa panadole.

Wręczyła mu tabletki.

– Dzięki. To się zdarza? – spytał Kosteckiego.

– Rzadko, ale to nic groźnego. Mimo wszystko radziłbym łyknąć ten paracetamol już w domu. Bezpośrednio po seansie może panu spowolnić reakcje za kierownicą.

Robert schował tabletki do kieszeni.

– Jakoś wytrzymam. Dziękuję za pełen wrażeń wieczór.

– Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

– Z pewnością. Przecież nie dowiedziałem się, co wam naopowiadałem w czasie tej zabawy. Ale możemy to odłożyć przynajmniej do jutra.

– Pani Jola nas ze sobą skontaktuje. Liczę, że przekonam pana do terapii eklektycznej.

– Przemyśle to – rzucił Czechowicz w drzwiach. – Miłego wieczoru.

Gdy drzwi się otworzyły, Robert ujrzał Ewę, żonę Jędrzeja.

– Cześć – rzuciła wesoło. – Jest u siebie, trochę rozboleła go głowa.

– Jego też? – Czechowicz pocałował Morawiecką w czoło. – To chyba jakaś epidemia.

Wkroczył do przedpokoju, przeszedł kilka metrów i otworzył drzwi gabinetu. Pokój, w którym pracował rzecznik rządu, był od dawna przedmiotem zazdrości Roberta. Idealny porządek, dwa biurka: jedno do komputera, drugie do pracy papierkowej, kanapa „do myślenia”, jak to nazywał Jędrzej, a na małym regale wieża stereo, z której dobiegała często cicha muzyka relaksacyjna. Całość świetnie dopasowana, czego Czechowicz nigdy w swoim mieszkaniu osiągnąć nie potrafił.

– Aleś ty odpięprzony – buchnął śmiechem Morawiecki.

– Mówiłem ci, że byłem na przyjęciu.

– A tak, tak... Zerkniesz? – Jędrzej podał mu papiery.

– Jest tego trochę...

– Odwdzięczę się.

– Nie wygłupiaj się. – Robert znów złapał się za głowę.

– Ciebie też boli łeb? – Na twarzy Morawieckiego widać było zmęczenie, które jednak nie psuło mu dobrego nastroju.

– Ach, szkoda gadać. – Robert machnął ręką, nie odrywając wzroku od materiałów. – Mogę wziąć to do domu?

– Oczywiście, ale błagam, uważaj.

Czechowicz wstał.

– Wiesz, rzeczywiście nie najlepiej się czuję. Pojadę teraz do siebie, a pogadamy jutro.

– Jasne. Nie masz jakichś prochów? Wszystko mi się skończyło.

Lekarz wyjął z kieszeni panadol od Jolki.

– Trzymaj, ja i tak mam tego sporo w domu.

– Ratujesz mi życie.

– Jasne. Nie przepracuj się.

Robert schował dokumenty do teczki, którą podał mu Jędrzej, i wyszedł z gabinetu. Szybko pożegnał się z Ewą i zbiegł do samochodu.

W niedzielny wieczór nie było specjalnego ruchu, więc po dwudziestu minutach stał już przed swoimi drzwiami. Z ulgą wszedł do mieszkania. Zdjął buty, poszedł do kuchni i wyjął z lodówki wodę mineralną.

– Cholera! – mruknął pod nosem, po raz kolejny widząc puste niemalże półki. – Chyba nigdy nie znajdę czasu na zakupy.

Otworzył szafkę nad lodówką, wyjął z niej panadol i połknął dwie tabletki. Zdjął pospiesznie marynarkę i krawat, po czym opadł ciężko na łóżko. Dzwonek telefonu, który zaczął brzęczeć nieznośnie, przywitał ze złością.

– Odpięprzcie się! – rzucił w stronę aparatu.

Niestety, ktoś nie dawał za wygraną. Po krótkiej przerwie telefon znów zadzwonił. Czechowicz podniósł słuchawkę.

– Słucham – burknął zniecierpliwiony.

– Robert! Błagam, przyjedź tu! – Ewa Morawiecka była przerażona.

– Co się stało? Przecież wyszedłem od was pół godziny temu.

– Coś się stało z Jędrzejem!

– Co?!

– Parę minut temu stracił przytomność. Chciałam wezwać pogotowie, ale chwilę potem obudził się i... – Zaczęła płakać.

– Spokojnie, opowiedz wszystko po kolei.

– Nie poznał mnie!

– Nie poznał cię?! A w ogóle coś mówił?

– Nie wiem. Bełkotał coś w jakimś dziwnym języku... potem krzyczał i pytał o coś... Ale na pewno nie po polsku.

– Boże, o czym ty mówisz? – Czechowicz szybko zaczął szukać w pamięci czegoś, co mogłoby do tego pasować, ale żadne schorzenie nijak się miało do opisu Ewy.

– Gdzie on teraz jest?

– Wybiegł z domu. Słuchaj, on zna tylko angielski, ale to na pewno nie było po angielsku.

– Zaraz przyjadę. Wiesz, gdzie zadzwonić?

– Tak. Jędrzej dał mi kiedyś ten telefon.

– Dobrze. Tylko nie mów im na razie nic o tym... innym języku. Powiedz, że wyszedł i nie wrócił na czas. Ja zaraz przyjadę.

– Robert, co się stało?

– Nie wiem. To może być wiele rzeczy. Najważniejsze teraz to szybko go znaleźć. Czekaj na mnie. – Odłożył słuchawkę i spojrzał z przerażeniem w lustro. – Boże, o co tu chodzi?

ROZDZIAŁ 2

– Co robimy?

– A skąd ja mam, kurwa, wiedzieć?! Co z Miską?

– Pobiegł z doktorem i z tym poliglotą za rzecznikiem.

– No to czekamy na telefon. – Rosłon zaciągnął ręczny hamulec, wyłączył silnik i rozparł się na fotelu.

– Będą wkurwieni, że nikt nie pilnuje Czechowicza.

– Teraz już nic się nie stanie. Trzeba tylko zgarnąć tego kretyna, bo ma znaną mordę i w dodatku jest politykiem. Jak ten burdel wyjdzie na jaw, będzie rozpierducha.

Siedzący obok Kuba Wirski popatrzył chwilę na starszego kolegę, po czym również przeciągnął się na fotelu. Wyglądał niemal jak dzieciak w tej przyciasnej koszulce i pepegach, ale w jego spojrzeniu czaiło się coś niepokojącego. Nawet Rosłon, który z początku nie był zachwycony nowym partnerem, widząc w nim żółtodzioba, z czasem nauczył się go szanować, chociaż chłopak jeszcze się właściwie niczym nie wykazał. Jednak jego nienaturalna, biorąc pod uwagę wiek, powaga i wyjątkowa sumienność zjednywały mu respekt starszych kolegów.

– Która godzina? – spytał Rosłon.

– Dochodzi pierwsza.

Rosłon rozejrzał się po ulicy. W pobliżu nie było nikogo, a od kilku minut nie przejechał żaden samochód. Nic dziwnego – osiedle już spało, a uliczka, przy której zaparkowali, służyła mieszkańcom właściwie wyłącznie jako droga dojazdowa do bloków.

– Do rana jeszcze daleko, trochę tu chyba posiedzimy – zawyrokował.

– Słońce wszędzie dziś o 4.21 – powiedział poważnie Wirski.

Rosłon spojrział na dzieciaka, nie ukrywając zdziwienia.

– Skąd to wiesz? – spytał rozbawiony.

– Sprawdziłem. To mogłoby być ważne.

– Jesteś fanatykiem.

– O której zadzwoni Gorec?
– Pewnie lada chwila. Kuba, ile ty masz lat?
– Dlaczego chcesz wiedzieć?
– Z ciekawości. Nie musisz mówić.
– Dwadzieścia trzy.
– Nie wyglądasz na tyle. – Rosłon wyszczerzył zęby w uśmiechu.
Wirski chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zadzwonił telefon.
– Tak? – Rosłon odpiął pas, aby wygodniej mu było rozmawiać.
– Jak sytuacja? – spytał Gorec.
– Łapią go. Ci dwaj faceci, co przyjechali pięć minut temu, są w środku.
– Dobra. Poczekajcie tam, a gdyby coś się zmieniło, dzwońcie.
– Zrozumiałem. – Rosłon przerwał połączenie.
– Co robimy? – spytał ponownie Wirski.
– Czekaemy.
– Popatrz! – Kuba gwałtownie poruszył się na fotelu.
Z naprzeciwka zbliżała się czerwona mazda Czechowicza.
– Ja chrzanię... – jęknął Rosłon.
– Dzwon – powiedział już spokojniej Wirski, nie spuszczać wzroku z samochodu lekarza.

Trzej mężczyźni zbliżali się ostrożnie do skulonego pod ścianą starej kamienicy Jędrzeja Morawieckiego. Jego wzrok świadczył, że jest przerażony i zupełnie zdezorientowany. Ujrawszy nadchodzących, jeszcze mocniej przylgnął do ściany domu i zakrył twarz rękami.

Biegł tak długo, że teraz nie był już w stanie dalej uciekać. Ledwie łapiąc oddech, krzychał groźnie w kierunku mężczyzn, prawdopodobnie w nadziei, że ich odstraszy.

W pobliskiej kamienicy skrzypnęło okno.

– Co się tam dzieje?! – wrzasnęła zaspana kobieta w średnim wieku.

– Przepraszamy, wszystko w porządku – odpowiedział szybko jeden z mężczyzn i rozejrzał się z niepokojem.

– A temu co jest? – Kobieta dostrzegła pod murem skuloną postać.

– Jesteśmy lekarzami, musimy pomóc temu panu. Wszystko jest pod kontrolą. – Mężczyzna pospiesznie wyjął biały fartuch z torby, z którą nie bez trudu biegł za Morawieckim.

– Sami wariaci i chuligani, cholera jasna! – stwierdziła kobieta i zamknęła okno.

Mężczyzna szybko włożył fartuch i raz jeszcze zlustrował otoczenie. Nikogo oprócz nich na razie nie było widać.

– Poznajesz, co to za dialekt? – spytał stojącego obok brodacza.

– Raczej nie – mruknął tamten, przysłuchując się bełkotowi Morawieckiego.

– Postaraj się, znasz przecież, do cholery, czterdzieści siedem języków!
– To na pewno żaden współczesny. Przypomina trochę olmekki z epoki preklasycznej...
– Jesteś w stanie coś do niego powiedzieć?
– Żartujesz? Ten język wymarł dwa i pół tysiąca lat temu! Nauka zna go w szczątkowej formie.

– A coś zbliżonego? Z tej samej grupy...?

– Olmekowie żyli trzy tysiące lat temu na terenie dzisiejszego środkowego Meksyku – przerwał mu z rozdrażnieniem brodac. – Masz jakiś pomysł, doktorku?

Rozmowie dwóch mężczyzn przysłuchiwał się obojętnie trzeci, wysoki i barczysty, wyraźnie mało zainteresowany ich wywodami. Wyglądał raczej na ochroniarza rozglądającego się uważnie w poszukiwaniu ewentualnego niebezpieczeństwa.

Nagle Morawiecki przestał krzyżeć i ponownie nieśmiało spojrzął na trzech mężczyzn. Ci stali pięć metrów od niego, lecz nie usiłowali podejść bliżej. Dość już mieli ugania się o pierwszej w nocy za nadspodziewanie szybkim uciekinierem.

Chwilową ciszę przerwał sygnał telefonu pierwszego z mężczyzn.

– Tak?

– To ty, Korwin?

– Tak, panie profesorze.

– Daj Karola.

Lekarz podał aparat brodacowi.

– Witam, profesorze – rzekł spokojnie mężczyzna, nie spuszczając z oka Morawieckiego.

– Jak stoją sprawy?

– Narobiliście sporego bałaganu. Co ja mam z nim teraz zrobić?

– Musisz mi wybaczyć, to się nie powtórzy. Nie ryzykujcie. Niech ten, jak mu tam, Miszka go stamtąd zabierze. Ktoś może was zobaczyć.

– Na razie jest pusto. – Naukowiec nie chciał mówić o kobiecie z okna.

– To dobrze, przywieźcie go tu szybko.

Brodacz przerwał połączenie, oddał aparat Korwinowi i przetarł twarz chusteczką.

– Ty, Miszka, pilnuj go – zarządził, spoglądając w stronę barczystego drąga.

– OK.

– Ty zadzwoń do Gorca i powiedz mu, co i jak. – Wskazał z kolei na Korwina. – Ja idę po samochód.

Lekarz bez słowa wybrał numer.

– Co mam zrobić, jak znowu zaczniesz uciekać? – spytał Miszka.

– Masz go zatrzymać. – Brodac odwrócił się, nie czekając na kolejne pytania. – Co za kretyni... – mruknął pod nosem, po czym szybko ruszył w stronę samochodu.

Miszka rzucił Korwinowi pytające spojrzenie.

– To nie o nas – uspokoił go lekarz.

Obaj agenci przyglądali się uważnie Ewie Morawieckiej. Żaden z nich nie okazał zniecierpliwienia, słuchając tego, co żona rzecznika prasowego rządu miała im do zakomunikowania. Morawiecka nie wspomniała o dziwnym języku i objawach oczywistej jej zdaniem paranoi, ograniczyła się jedynie do skromnego opisu „niezwykłego zachowania” męża tuż po odzyskaniu przytomności oraz jego zaginięcia.

Skłamała za radą Roberta, mówiąc, że mąż wyszedł dość dawno i że nigdy tak późno nie wracał. Próbując opanować drżenie rąk, wpiła paznokcie w kanapę, na której siedziała, i niecierpliwie oczekiwała reakcji agentów.

Trzeba przyznać, że wyglądali dość groteskowo o pierwszej w nocy w niemalże identycznych czarnych garniturach, przypominając do złudzenia Flipa i Flapa.

– Jest przepracowany, to mogą być zwykłe objawy zmęczenia – stwierdził wreszcie pierwszy z nich, zdecydowanie tęższy i chyba trochę starszy.

– Może po prostu wyszedł na dłuższy spacer i zaraz wróci. Z pewnością jednak to sprawdzimy – dodał drugi, chudy jak szczapa, ze złudzeniem wiecznego uśmiechu na twarzy.

– Co ja mam teraz robić? – spytała Ewa Morawiecka.

– Jeśli pani pozwoli, kolega zostanie tu, aż wszystko się wyjaśni – odparł gruby, powoli unosząc się z fotela. – A ja postaram się szybko znaleźć pani męża.

– Oczywiście – rzuciła Ewa. – Niech panowie robią co trzeba.

Czechowicz przyglądał się rozmowie, od czasu do czasu potakując tylko ze zrozumieniem, jakby chciał potwierdzić słowa przyjaciółki.

– Chcesz, żebym został? – spytał ją, odprowadzając wzrokiem agenta zmierzającego do drzwi.

– Nie, lepiej jedź się przespać. Panowie z pewnością wszystkim się zajmą.

Robert ujął opiekuńczo jej dłoń i uśmiechnął się delikatnie, jakby chciał powiedzieć: „Wszystko będzie dobrze”.

– Dzwoń, jak tylko coś się wydarzy – rzekł ciepło.

– Oczywiście.

Pocałował Ewę w czoło, sięgnął po kluczyki do samochodu, pożegnał się z agentem siedzącym na jednym z foteli i wyszedł, dając do zrozumienia, aby nikt go nie odprowadzał.

Na klatce schodowej spotkał czekającego na windę grubego.

– Co pan o tym myśli? – zagadnął agenta.

– Zdarza się – odparł mężczyzna. – Znajdzie pan dla nas trochę czasu rano? Z panem też musimy porozmawiać.

– Oczywiście – rzekł Robert, otwierając drzwi windy, która właśnie przyjechała.

Gdy weszli do środka i dźwig ruszył, Czechowicz przypomniał sobie coś jeszcze, ale nie był pewien, czy warto o to pytać faceta w czarnym garniturze, który w nocy nosi ciemne okulary.

– Przypomniało się panu coś ważnego? – spytał nagle agent, obserwując lekarza.

– Ja... – bąknął zaskoczony Robert – zastanawiam się, czy nie był uczulony na paracetamol...

– Z tego, co wiem, pan Morawiecki na nic nie jest silnie uczulony – oznajmił gruby. – Dlaczego pan pyta?

– Na pół godziny przed tym, jak stracił przytomność, dałem mu proszki na ból głowy, ale ja naprawdę znam go od lat i nie przypominam sobie żadnych jego alergii.

– Wie pan – westchnął cicho agent, jakby bał się, że ktoś go usłyszy – mnie ta cała sprawa wydaje się trochę niejasna...

– Co pan ma na myśli?

– Uważam, że pani Morawiecka nie mówi nam całej prawdy.

– Odniosł pan takie wrażenie? – Robert udał, że jest zdziwiony.

– Jest pan ich przyjacielem. – Agent uważnie obserwował twarz Czechowicza. – Niech pan mi powie, w interesie pana Morawieckiego: często się sprzeczali? Wie pan, co mam na myśli.

– Obawiam się, że nie mogę służyć pomocą w tej sprawie – odparł poważnie Robert. – Przy mnie zawsze byli zgodnym małżeństwem.

– Hmm – mruknął pod nosem gruby, szybko orientując się, że rozmowa tego typu w windzie nie ma sensu, szczególnie że dźwig właśnie dojechał do parteru.

Czechowicz otworzył drzwi i puścił agenta przodem.

– Wezwać panu taksówkę? – rzucił przez ramię facet w czerni.

– Dziękuję, mam samochód. – Robert pożegnał się i ruszył szybkim krokiem na parking.

Przeszedł obok stojącego przy krawężniku opla, z którego po chwili wysiadł wysoki, z wyglądu bardzo jeszcze młody mężczyzna. Czechowicz wsiadł spokojnie do swojego wozu i natychmiast odjechał. Mężczyzna odprowadził go wzrokiem, po czym wyjął coś spod lekkiej kurtki, schował za plecami i pomaszerował energicznie w stronę agenta, rozmawiającego przez telefon przy swoim samochodzie.

Gruby skończył rozmawiać, kiedy mężczyzna znajdował się jakieś dziesięć kroków od niego, ale na reakcję było już za późno. Agent zdążył tylko dostrzec pistolet, który ten błyskawicznie uniósł, by wymierzyć w głowę ofiary. Precyzyjny strzał przypominający stłumione kichnięcie natychmiast powalił grubego na chodnik.

Mężczyzna rozejrzał się jeszcze, sprawdzając, czy nikt go nie widział. Gdy upewnił się, że wszystko jest w porządku, machnął w kierunku opla.

Wygramolił się z niego inny mężczyzna, znacznie starszy, ale z pewnością wciąż trzymający formę. Podszedł szybko do młodszego kolegi, aby pomóc mu umieścić zwłoki agenta w bagażniku jego wozu. Nie było to proste, przede wszystkim ze względu na wagę ciała, ale poradzili sobie nadspodziewanie łatwo.

Jeszcze raz rozejrzeli się po ulicy, a następnie ruszyli w stronę bloku, w którym mieszkał Jędrzej Morawiecki.

Robert nie spał już, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Obudził się o siódmej rano i, mimo nadludzkich wysiłków, nie mógł zasnąć. Czuł lekki ból głowy, ale panadol, który zażył dwadzieścia minut temu, zaczynał powoli działać. Spojrzał na zegarek – 9.24.

Po drodze do drzwi wszedł do łazienki, aby wziąć stamtąd szlafrok. Był prawie pewny, że to Jolka, zarzucił go więc dość niechlujnie, nie dbając o skromność. Wyjrzał zapobiegliwie przez wizjer, by upewnić się co do swoich przeczuć, ale tu się zawiódł. Za drzwiami stał wysoki, łysy facet wymachujący policyjną legitymacją. Najwyraźniej wyczuwał jego obecność w mieszkaniu.

Kiedy Robert otworzył, mężczyzna przywołał zawodowy uśmiech. Pozwolił przyjrzeć się legitymacji, po czym schował ją do wewnętrznej kieszeni popielatej marynarki.

– Komisarz Mariusz Reiss, nie przeszkadzam? – spytał, zaglądając Czechowiczowi przez ramię.

– Nie rozumiem. – Lekarz pokręcił wolno głową.

– Ja w sprawie zaginięcia pana Jędrzeja Morawieckiego. – Uśmiech nie zniknął z ust komisarza. – Mogę wejść?

Robert otworzył szerzej drzwi, aby go wpuścić.

– Proszę – rzekł dość chłodno, ale uprzejmie. Odsunął się, poprawiając nieco włosy i szlafrok.

Policjant wszedł pewnym krokiem, rozglądając się uważnie. W kilka sekund zlustrował kawalerkę Czechowicza, ale nie zmienił wyrazu twarzy, choć bałagan musiał go zgorszyć.

– Proszę, niech pan siada. – Robert wskazał krzesło stojące na tle wnęki kuchennej.

– Dziękuję. – Reiss zdjął marynarkę. – Nie zajmę panu dużo czasu.

– Nie dzwoniłem jeszcze dzisiaj do Ewy... to znaczy, do pani Morawieckiej. – Czechowicz uprzedził pierwsze pytanie komisarza, siadając na łóżku. – Miała bardzo ciężką noc, mam nadzieję, że zdecydowała się choć trochę przespać.

– Raczej nie śpi – rzekł beznamiętnie Reiss.

– Skontaktował się pan z nią?

– Nie zdążyłem. Pani Morawieckiej nie ma w mieszkaniu i nikt nie wie, gdzie jest. Jak zakładam, pan też nic nie wie? – Wbił wzrok w Roberta, obserwując jego reakcję.

– Oczywiście, że nie – odparł zaskoczony Czechowicz. – Zresztą cały czas była pod opieką agentów Biura Ochrony Rządu.

– Obaj agenci, którzy wczoraj opiekowali się panią Morawiecką... nie żyją. – Uśmiech Reissa przestał być szczerzy. Nie spuszczał wzroku z gospodarza, mając nadzieję, że wzbudzi w nim niepokój, a co za tym idzie – niepewność.

– Jak... jak to możliwe? – Czechowicz poczuł, że nerwy boczne kręgosłupa fundują mu nagły skurcz pleców.

– Widzi pan... a ja myślałem, że to pan odpowie mi na to pytanie. – Uśmiech zastąpiła

cyniczna mina zwycięzcy pastwiącego się nad ofiarą. – To pan jest ostatnią osobą, z którą rozmawiali. Kilka minut po pierwszej skontaktował się z nami jeden z agentów. Kiedy przyjechaliśmy tam, już nie żył.

– Czy pan mnie o coś podejrzewa? – spytał naiwnie Robert.

Reiss zignorował pytanie.

– Był pan wczoraj u Morawieckich?

– Przecież pan wie, że tak.

– Być może, ale chciałem to usłyszeć od pana. W jakich godzinach?

– Byłem tam wczoraj dwa razy. Najpierw około jedenastej wieczorem, krótko, i niecałe dwie godziny później...

– O której pan stamtąd wyszedł? – przerwał mu policjant.

– Za drugim razem?

– Tak.

– Było... nie pamiętam dokładnie, ale około pierwszej.

– Agenci zostali w mieszkaniu?

– Tylko jeden, drugi wyszedł ze mną.

Reiss spuścił na moment wzrok z Roberta, by zerknąć do notatnika, który wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Tego właśnie agenta – rzekł po chwili – znaleziono z kulą w głowie w bagażniku jego wozu. – Ponownie wbił wzrok w oczy Czechowicza. – Śmierć nastąpiła około pierwszej w nocy – ciągnął. – Czyli właśnie w momencie, kiedy był... z panem, panie doktorze.

– Chyba pan żartuje! Podejrzewa pan, że zabiłem agenta, porwałem jakimś cudem Ewę Morawiecką, a potem spokojnie wróciłem do domu, by się trochę przespać?! – Robert z wysiłkiem przełknął ślinę.

– Nie wiem. – Reiss wzruszył ramionami. – Ale przyzna pan, że to trochę dziwne. Dwóch świetnie wyszkolonych agentów ginie w środku nocy, a ostatnią osobą, która ich widziała, jest pan. Nikt nie mógł wiedzieć, że akurat oni przyjadą po telefonie pani Morawieckiej. Na nich po prostu padło, więc to raczej nic osobistego. – Przerwał na chwilę, by wyciągnąć papierosa. Nie pytając Roberta o zdanie, zapalił i mocno się zaciągnął.

Czechowicz podsunął mu popielniczkę stojącą zawsze na stole.

– Oni zginęli – kontynuował policjant – bo zobaczyli lub dowiedzieli się czegoś ważnego. Bardzo ważnego. I na tyle niebezpiecznego, by zabić. A w mieszkaniu Morawieckich była tylko pani Ewa, oni i... pan, panie doktorze. Agenci nie żyją, kobieta zniknęła, a pan... śpi sobie najzwyczajniej w świecie we własnym łóżku. Chyba nie podejrzewa pan, że żona rzecznika prasowego zabiła dwóch doświadczonych agentów w chwilę po tym, jak przyjechali pomóc odnaleźć jej męża.

– Oczywiście, że jej nie podejrzewam. Dziwi mnie tylko, że sugeruje pan, że ja sam to zrobiłem.

– Nikt nie mówi, że zrobił to pan sam... – Uśmiech policjanta wróżył gwałtownie nadciągające czarne chmury.

– To jakiś koszmar. – Robert przetarł czoło rękawem szlafroka. – Znałem Morawieckich od lat. Jak mógłbym zrobić coś takiego?!

Krótki wybuch paniki Czechowicza nie wywarł na Reissie większego wrażenia.

– Kiedy był pan tam pierwszy raz, spotkał się pan z rzecznikiem? – spytał, z satysfakcją zauważając drżenie rąk gospodarza.

– Tak.

– O czym rozmawialiście?

– O nowych przepisach wykonawczych ustawy o ochronie praw pacjentów. Miałem mu pomóc wyjaśnić kilka zagadnień i problemów dotyczących służby zdrowia. – Czechowicz starał się szybko przywyknąć do nowej sytuacji. Zdenerwowany, a już – nie daj Boże – spanikowany, mógłby popełnić sporo błędów. Obawiał się jednak, że na opanowanie się jest już odrobinę za późno.

– Co się stało potem?

– Wróciłem do siebie, chciałem zasnąć. Przeszkodził mi telefon od Ewy... to znaczy, pani Morawieckiej.

– Co mówiła?

– Była przestraszona.

– Dlaczego?

– Jej mąż wyszedł z domu i nie wrócił o umówionej porze – skłamał Robert.

– I co? Pojechał pan tam?

– Tak jak mówiłem. Byli już tam ci dwaj agenci. Pani Morawiecka miała specjalny telefon, pod który należało dzwonić w razie jakiegokolwiek nieprzewidzianej sytuacji lub niebezpieczeństwa. Numer dostała od męża.

– Wiem, ale ja chciałbym się dowiedzieć, o czym rozmawiał pan z agentami.

Czechowicz wziął głęboki oddech i raz jeszcze przyjrzał się komisarzowi. Powoli się uspokajał i jak mu się wydawało, przejmował kontrolę nad swoimi reakcjami.

– Pan nie jest zwykłym policjantem – powiedział nagle głosem, w którym nie było cienia wątpliwości.

Uwaga ta rozdrażniła Reissa.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie – ponaglił ostrzegającym tonem.

– Centralne Biuro Śledcze? Urząd Ochrony Państwa?

– Panu ma wystarczyć legitymacja, którą pokazałem – odparł z naciskiem Reiss. – Jest z pewnością prawdziwa.

Czechowicz po raz pierwszy tego ranka się uśmiechnął.

– Oczywiście – potwierdził z nutą tryumfu w głosie.

– Pytałem o temat pańskiej rozmowy z agentami obecnymi u pani Morawieckiej.

– Wiem, o co pan pytał. Odpowiedź brzmi: o niczym.

– Słucham?

– Obaj panowie rozmawiali z panią Morawiecką, ja tylko wspierałem ją duchowo. Moje zeznania w tamtej sytuacji nie mogły mieć znaczenia.

– Ani jednego słowa? – Reiss nie dawał za wygraną.

– Nic ważnego – odparł Robert z naciskiem.

– Ja uznam, co było ważne, a co nie – warknął ze złością policjant.

Czechowicz odpowiedział na tę uwagę wymownym milczeniem. Teraz już całkowicie spokojnie przyglądał się komisarzowi.

Reiss zgasił papierosa.

– Przypominam panu, doktorze, o co tu chodzi – pouczył go z naciskiem. – Jest pan podejrzany o poważne przestępstwa. Dostyc tej zabawy! O czym rozmawiał pan z agentami?!

– No więc powiedziałem „Dzień dobry”, a wtedy pierwszy z nich odpowiedział „Dzień dobry”, drugi skinął uprzejmie głową...

– Dość tego! – syknął Reiss. – Posłuchaj, doktorku! Zaraz zabiorę cię w takie miejsce, gdzie będziesz śpiewał jak skowronek z *Romea i Julii*, ale nie będzie ci się to podobało!

– Grozi mi pan, panie... policjancie? – wycodził Robert. Komisarz zerwał się z krzesła, ale nie zrobił nawet jednego kroku. Niespodziewanie jego twarz wypogodniała.

– Niech pan będzie rozsądny. To nie żarty. Tuż po pańskiej wizycie znika rzecznik rządu. Po następnej ginie jego żona, a dwóch agentów rządowych znajdujemy martwych: jednego w bagażniku samochodu, drugiego w mieszkaniu. Jeśli nie udzieli pan wyczerpujących wyjaśnień, czeka pana sąd, a być może też paka do końca życia. Nie rozumie pan tego?

– Skoro tak, powinienem chyba zadzwonić do adwokata. Reiss pokręcił z niezadowoleniem głową. Wyjął z kieszeni złożony dokument i podał go Czechowiczowi.

– To nakaz aresztowania. Niech pan go sobie przeczyta.

Robert przyjrzał się uważnie papierom.

– Tym bardziej – odparł, oddając dokument.

Policjant niespiesznie usiadł na krześle.

– Jędrzej Morawiecki to pański przyjaciel?

– Oczywiście.

– Więc niech pan pomoże nam go znaleźć. Być może rzeczywiście jest pan niewinny. Może przed pańską wizytą u rzecznika stało się coś, co mogło mieć znaczenie, a pan nie zwrócił na to uwagi.

– Byłem na przyjęciu. Dwie, może trzy godziny.

– Sam?

– Z przyjaciółką.

– Nazwisko?

– Ona nie ma z tym nic wspólnego.

– Niech pan nie zaczyna – zachnął się policjant.

– Została na przyjęciu. Nawet nie wiedziała, do kogo idę. Nie powiedziałem jej tego – wyjaśnił Robert.

– Nie znała pańskich planów?

– Nie planowałem wizyty u Morawieckich. Jędrzej zadzwonił do mnie i poprosił o pomoc w sprawie tych dokumentów. To nic niezwykłego, rzecznicy często radzą się ekspertów.

– I tak po prostu wyszedł pan z przyjęcia, nikomu nic nie mówiąc?

– Przeprosiłem, pożegnałem się i wyszedłem. Nie było specjalnie interesująco.

Policjant wstał, ale tym razem spokojnie. Wyjął drugiego papierosa i zapalniczkę, po czym przeszedł się wzdłuż pokoju.

– Jeszcze raz zapali pan bez pozwolenia, a złożę na pana skargę – ostrzegł spokojnie Czechowicz.

Reiss wybuchnął śmiechem. Schował papierosa i zapalniczkę, a następnie raz jeszcze przyjrzał się uważnie lekarzowi.

– Twardy z ciebie facet, doktorze – stwierdził pogodnie. – Myślałem, że jesteś tylko zwykłym konowalem, któremu ktoś dał w łapę, i dlatego wpakowałeś się w kłopoty, ale ty jesteś albo bardzo bystry, albo bardzo winny.

– Wszystko to jest tak naciągane, że mam wrażenie, że to pan przyszedł tu po łapówkę – odgryzł się Robert.

– Uważaj, człowieku. – Reiss uniósł groźnie palec. – Igrasz z ogniem. Nie opłaci ci się to. Czechowicz również wstał, nie przejmując się chamstwem komisarza.

– Posłuchaj no, kolego. Jesteśmy mniej więcej w tym samym wieku, więc chyba szybko mnie zrozumiesz – powiedział zdecydowanym tonem. – Nie jestem jednym z tych głupawych, podrzędnych bandziorów, z którymi codziennie gadasz. Jestem lekarzem i nigdy nie miałem najmniejszych kłopotów z prawem, więc trochę więcej szacunku, bo kiedyś możesz trafić na mój stół. Dość już mam tej twojej impertynenckiej gadki i całego tego teatryku. Masz nakaz aresztowania, więc musisz się zastanowić, czy z niego skorzystasz czy nie. Idę teraz do łazienki się ubrać. Rozumiem, że kiedy wrócę, poznam decyzję. – Odwrócił się, nie czekając na reakcję policjanta, i wszedł do łazienki. Zamknął za sobą drzwi i szybko odkręcił kurek z zimną wodą. Przemył dokładnie twarz, a potem spojrzął w lustro. – Jezu, mam przechłapanę... – szepnął z przerażeniem do swojego odbicia. Raz jeszcze chlusnął w twarz zimną wodą, po czym sięgnął po spodnie i koszulę.

Chciał jak najszybciej wyjść z mieszkania. Obawiał się dalszej rozmowy z tym gliną, a sytuacja stawała się coraz bardziej nerwowa. Miał nadzieję, że ostatnia prowokacja odniosła skutek. Pojadą na komisariat, gdzie będzie bezpieczniejszy. Zadzwoni do adwokata, a wśród innych glin Reiss nie będzie być może mógł pozwolić sobie na jakiegokolwiek nadużycia.

Ponownie spojrzął w lustro, nabierając powietrza w płuca.

– Wyjdę z tego – dodał sobie otuchy i otworzył drzwi.

Policjant stał nad krzesłem.

– Jest pan podejrzany o współudział w podwójnym morderstwie oraz w porwaniu państwa Ewy i Jędrzeja Morawieckich – zakomunikował oficjalnie. – Aresztuję pana w celu wyjaśnienia...

– W porządku, możemy iść – przerwał Robert. – Mam nadzieję, że daruje mi pan kajdanki.

– Liczę na pański rozsądek. Samochód stoi kilka metrów od wejścia.

– A mówił pan, że nie zajmie mi wiele czasu...

– Kłamałem. – Reiss roześmiał się oblesnie.

– Pan prowadzi. – Czechowicz wskazał policjantowi drzwi.

Zjeżdżali windą w milczeniu. Reiss wiedział, że lekarz nie będzie próbował uciekać, gdyż potwierdziłby tylko swoją winę. Mimo wszystko obserwował go. Nie założył doktorowi kajdanek, ponieważ zależało mu, aby żaden z sąsiadów nie zorientował się, że Czechowicz jest aresztowany. Sprawa była delikatna i każdy dodatkowy świadek mógłby tylko zaszkodzić.

Wychodząc z bloku, Robert rozejrzał się dookoła.

– Gdzie jest ten samochód? – spytał Reissa, który tuż za drzwiami sięgnął oczywiście po papierosy.

– Tam. – Komisarz wskazał na ciemne volvo stojące dwadzieścia metrów dalej. – Niech pan...

Czechowicz spojrzął na ulicę, ale po chwili odwrócił się w stronę policjanta. Reiss nagle przerwał zdanie, opadł na ścianę i powoli zaczął się osuwać na chodnik. Dopiero po ułamku sekundy do świadomości Czechowicza dotarło, że usłyszał coś w rodzaju stłumionego kichnięcia. W pierwszym momencie nie zorientował się, o co chodzi, ale gdy tylko zobaczył coraz obfitszą stróżkę krwi na czole policjanta, rzucił się odruchowo na ziemię, próbując równocześnie zobaczyć, z której strony padł strzał. Szybko dostrzegł brudnozielonego opla oraz zakończoną tłumikiem lufę pistoletu w oknie.

Reiss padł ciężko na ziemię. Jego oczy wciąż były otwarte, ale nie dawał znaku życia. Pasażer opla otworzył drzwi, ale nie zamierzał strzelać do doktora. Klęknął na ziemi, zwracając się w stronę ciemnego wozu Reissa, z którego błyskawicznie wyskoczyło dwóch mężczyzn. Obaj jednak po trzech krokach rzucili się na ziemię i momentalnie podczołgali do najbliższego samochodu.

Z zielonego opla wysiadł drugi mężczyzna. Schował się za drzwi, dając ręką jakieś znaki koledze. Oba samochody dzieliło mniej więcej trzydzieści metrów. Padły kolejne strzały. Dopiero teraz większość przechodzących w pobliżu osób zorientowała się, że dzieje się coś niedobrego. Policjanci nie mieli tłumików, a ich strzały rozbudziły uśpioną ulicę. Ktoś krzyknął, kilka osób zaczęło uciekać.

Czechowicz zerwał się na nogi i zaczął biec wzdłuż budynku, usiłując jak najszybciej

dopaść narożnika. Sam nie wiedział, w którym momencie podjął taką decyzję. Teraz chciał tylko jak najprędzej uciec z tego miejsca.

– Stój! – usłyszał za sobą, ale był już za rogiem. Pędził wąską ulicą między blokami. Usłyszał kolejne strzały i krzyk przerażonych przechodniów. Przeciął niewielki trawnik, następnie plac zabaw dla dzieci i wreszcie wypadł na główną ulicę. Tu po raz pierwszy obejrzał się za siebie. Nikt go nie gonił. Po chodnikach spokojnie spacerowali ludzie nieświadomi strzelaniny na osiedlu.

Dostrzegł autobus podjeżdżający na przystanek. Podbiegł jeszcze kilkadziesiąt metrów i wskoczył w ostatnie drzwi, które zamknęły się tuż za nim. Autobus odjechał. Robert ciężko opadł na fotel, ukrywając twarz w dłoniach.

– No, i co teraz? – mruknął bezradnie do siebie.

ROZDZIAŁ 3

– Co?!

Książka, którą przed chwilą profesor Lech Wasylyszyn trzymał w rękach, opadła ciężko na blat.

Gorec, Rosłon i Kuba Wirski stali niecały metr przed biurkiem. Trochę z boku, na niewielkim fotelu, siedział zakłopotany Andrzej Korwin.

Wszyscy w milczeniu czekali cierpliwie, aż profesor choć trochę się uspokoi.

– Co to znaczy twoim zdaniem „zlikwidowani”?! – wrzasnął Wasylyszyn.

– To byli agenci Biura Ochrony Rządu, panie profesorze – jęknął Gorec. – Gdyby wywieźli z domu Morawieckich informacje, które przekazała im ta kobieta, wszystko mogłoby wyjść na jaw.

– Ty tu jesteś pracownikiem ochrony, tak jak ci idioci! – Wasylyszyn wskazał Rosłona i Wirskiego. – A od decyzji jestem ja!

– Oczywiście, panie profesorze. – Gorec spojrzał na Korwina, oczekując pomocy.

– Profesorze – wtrącił cicho doktor – sytuacja wymknęła się spod kontroli, nie było innego wyjścia.

– Zawsze jest inne wyjście niż zabicie człowieka – powiedział już spokojniej Wasylyszyn. – A ten policjant?

– Nie wiemy, skąd się wziął – przyznał Gorec. – Jego ludzie zaczęli strzelać do Kuby i Rosłona, kiedy ci czekali na Czechowicza.

– To Czechowicza też zastrzeliliście?

Ponury dowcip profesora nie spodobał się Korwinowi.

– Nie mogli go tu sprowadzić, bo zaatakowali ich tamci policjanci – powiedział dobitnie.

– Uciekł, ale znajdziemy go tak jak tamtego, parę dni temu.

– Tamtego znaleźliście dopiero, kiedy oprzytomniał. Poza tym to był zwykły urzędniczyna, a to jest bystry lekarz. Masz jakieś pomysły, łysa pało? – Profesor ponownie spojrzał na Gorca.

– Gliniarze myślą, że to on maczał palce w załatwieniu agentów BOR-u, więc wszyscy go szukają. Będzie uciekał, musi się ukryć. Na razie nie jest niebezpieczny.

– A jak go złapią i zaczną mówić?

– On tak naprawdę nic nie wie – wtrącił szybko Korwin. – Nie ma pojęcia, co z nim robimy, a jeżeli zaczną opowiadać o wypadku z Morawieckim, nikt mu nie uwierzy.

– Takie to proste. – Wasylszyn uśmiechnął się ironicznie. – Zostawiacie na ulicy trzy trupy, świadka i nie ma sprawy!

Kubę Wirskiego powoli rozmowa ta zaczynała nudzić, więc poświęcił kilka chwil na rozszyfrowanie tytułu książki, którą profesor upuścił na biurko. *Normy i... kliniczna interpretacja ba... dań diagnostycznych w... medycynie wewnętrznej.*

– Przeszkadzam ci, chłopcze?! – warknął nagle w jego stronę Wasylszyn.

Wirski nie zmienił nawet wyrazu twarzy. Spokojnie przeniósł wzrok na profesora i pokręcił głową.

– No, to teraz najprzyjemniejsza część programu – zwrócił się do wszystkich Wasylszyn. – Co, do cholery, stało się w domu tego Morawieckiego?!

– To była pomyłka – powiedział Korwin.

– A może mi łaskawie wyjaśnisz, jak do niej doszło.

– Morawiecki jest przyjacielem Czechowicza. Spotkali się tego wieczoru i Czechowicz musiał mu to przypadkowo dać.

– A skąd on to miał?!

– To był pomysł doktora Kosteckiego.

Profesor wstał z fotela, rozłożył bezradnie ręce i odwrócił się do okna.

– To kretyn! – mruknął, zaciskając wargi.

Gorec ponownie spojrzął na Korwina, jakby chciał zapytać: „Co dalej?”

– Co z tą strzelaniną, o której przeczytałem rano w gazecie? – rzucił po chwili Wasylszyn, nie odwracając się od okna.

– Nikomu nic się nie stało – odpowiedział szybko Gorec. – Udało nam się uciec.

– Nie licząc policjanta, którego zastrzelił ten niewinnie wyglądający chłopczyk... – Wasylszyn skupił się na odbiciu Wirskiego w szybie.

– On naprawdę mógł zbyt dużo wiedzieć. Spędził u tego lekarza sporo czasu.

Profesor odwrócił się od okna.

– Przed chwilą usłyszałem, że zeznania Czechowicza nie są niebezpieczne!

– To nie był zwykły gliniarz – bronił się Gorec. – Sprawdziłem w swoich źródłach. Żaden z chłopaków go nie znał. Nie wiemy, skąd się wziął. Nie mogliśmy ryzykować.

– Dość tego! – Wasylszyn opadł ciężko na fotel. – Skoro ten policjant dotarł do Czechowicza, musiał mieć wcześniej kontakt z zastrzelonymi agentami. I nie sądzę, aby tę wiedzę zatrzymał dla siebie. Istne bagno. Nie chcę więcej tego słuchać. Wybudziłeś Morawieckiego? – spytał nagle Korwina.

– Nie.

– To dobrze, odstawiamy go na miejsce. Żona zostaje. On zajmie się szukaniem jej, a to skieruje śledztwo na inne tory. Oprócz ewentualnych niewiarygodnych zeznań tej kobiety nie mają nic. Nigdy tu nie trafią. Później się zastanowimy, co z nią zrobić. Szukajcie Czechowicza.

Robert uważnie przyglądał się wejściu F do budynku Telewizji Polskiej przy ulicy Woronicza. Czekał na parkingu już półtorej godziny, więc co pewien czas zmieniał miejsce, żeby nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Raz jeszcze poprawił na nosie ciemne okulary i dyskretnie odwrócił się, ujrawszy w pobliżu dwie kobiety rozmawiające o jakiejś odprawie. Minęły go jednak, nie przejmując się zupełnie jego obecnością.

Mężczyzna, na którego czekał, pojawił się w drzwiach. Był mniej więcej w jego wieku, może trochę młodszy. Na ekranie wydawał się niższy. Poklepał się po kieszeniach spodni w poszukiwaniu kluczyków i ruszył w stronę swojego samochodu. Był skupiony i nie zorientował się, że Robert idzie kilka metrów za nim. Gdy wyjął pilota, by otworzyć swoją hondę, Czechowicz go dogonił.

– Przepraszam bardzo! – zawołał.

Mężczyzna odwrócił się.

– Pan Adam Kniewicz?

– Tak. O co chodzi?

Lekarz zdjął okulary.

– Nazywam się Robert Czechowicz.

Na twarzy dziennikarza pojawił się cień niepokoju.

– O Boże, to pan? Opublikowałem dzisiaj w telewizji list gończy za panem.

– Wiem. Widziałem ten program... na dworcu..

– Nie powinienem z panem rozmawiać. Szuka pana policja i mówiąc szczerze, każdy na moim miejscu by tam teraz zadzwonił.

– Niech pan tego nie robi – poprosił spokojnie Robert. – Myśli pan, że będąc winnym, przychodziłbym w to miejsce i zaczepiał znanego dziennikarza?

– Nie wiem. Czego pan oczekuje?

– Pomocy.

– Ode mnie? A jak ja mogę panu pomóc?

– Czytałem pańską historię, tę sprzed roku. Był pan w podobnej sytuacji jak ja teraz. Pamięta pan aferę z Zygzakiem?

– Oczywiście, ale... – Kniewicz zamyślił się na chwilę. – Dobra, niech pan wsiada. – Rozejrzał się uważnie po parkingu i szybko wskoczył do samochodu. – Mam pięć minut, niech pan mówi.

– Proszę pana, proszę pana... – powtarzała młoda kobieta, klepiąc lekko po ramieniu Jędrzeja Morawieckiego. – Dobrze się pan czuje?

Morawiecki powoli otwierał oczy. Stała nad nim przysadzista brunetka i coraz mocniej szarpała go za koszulę. Świadomość wracała szybko.

– Gdzie ja jestem? – jęknął, przecierając oczy.

– Leży pan na ławce – odparła rzeczowo kobieta. – Obawiam się, że wczoraj ostro pan zabalował.

Morawiecki podniósł głowę. W oddali dostrzegł swój blok. Bez problemu usiadł na ławce, starając się przypomnieć sobie, co się stało.

– Od dawna pani tu jest? – spytał.

– Przechodziłam po prostu. Myślałam, że źle się pan poczuł. Wszystko w porządku?

– Chyba tak, bardzo dziękuję.

– A ja to skądś pana znam. Nie spotkaliśmy się na jakichś wczasach?

– Nie, chyba nie. Muszę już iść. – Morawiecki wstał, chcąc przekonać się, czy nie ma kłopotów z równowagą. Ukłonił się uprzejmie kobiecie i ruszył w stronę domu.

Szedł niespiesznie i odzyskiwał siły. Poklepał się po kieszeniach, sprawdzając, czy ma przy sobie telefon. Niestety wszystkie były puste.

Odczuwał dziwny niepokój, którego nie potrafił wytłumaczyć. Jadąc windą, próbował za wszelką cenę przypomnieć sobie, jak znalazł się na ławce przed blokiem, ale umysł odmawiał mu posłuszeństwa. Kiedy stanął przed swoim mieszkaniem, zorientował się, że nie ma kluczy. Nacisnął klamkę, lecz drzwi był zamknięte. Zapukał. Prawie natychmiast mu otworzono, ale zamiast żony pojawił się mężczyzna w czarnym garniturze.

– Kim pan jest? – spytał szybko Morawiecki.

– Biuro Ochrony Rządu. Jest pan bezpieczny. – Na twarzy młodego człowieka pojawiła się ulga.

– Legitymacja?

– Oczywiście. – Mężczyzna sięgnął do kieszeni i pokazał dokument.

Morawiecki przyjrzał się mu uważnie, po czym szybko wszedł do domu.

– Gdzie jest moja żona?

– Niestety, nie wiemy. Pan również do tej pory uznawany był za zaginionego. Co się stało, jeśli mogę spytać?

Morawiecki zastanawiał się chwilę.

– Nie pamiętam – powiedział cicho. – Chyba straciłem wczoraj wieczorem przytomność, tu, w domu. Potem... czarna dziura.

– Nie było pana prawie dwa dni.

– Dwa dni? – Morawiecki podszedł do fotela, aby usiąść i zebrać myśli. – Czy moją żonę porwano?

– Obawiam się, że tak.

Rzecznik ukrył twarz w dłoniach.

– Dzwon, do kogo trzeba.

– Wierzy mi pan? – spytał Robert Czechowicz, kiedy już skończył opowiadać.

– Dziwnie to brzmi, ale nie wygląda pan na podwójnego mordercę i porywacza. – Adam Kniewicz patrzył zamyślony na kwietnik przed przednią szybą wozu.

Wciąż siedzieli w hondzie dziennikarza.

– Ma pan teraz dwa wyjścia – podsumował nie bez lęku Robert. – Wyrzucić mnie z samochodu i zadzwonić na policję albo poświęcić mi trochę więcej niż pięć minut.

– Jestem tylko dziennikarzem, nie policjantem. Nie zdołam wyciągnąć pana z tego.

– Policja, jak pan wie, odpada. Pomóc może mi tylko człowiek mający dostęp do środków masowego przekazu, a równocześnie ktoś, kto przeżył już tego typu „przygodę”.

Kniewicz nie odpowiedział od razu. Przyjrzał się raz jeszcze doktorowi, a następnie niezwykle skomplikowanemu układowi bratków na kwietniku. Wreszcie sięgnął po telefon.

– Co pan robi? – spytał lekarz.

– Dzwonię do kogoś, kto pomoże.

Czechowicz uśmiechnął się i odetchnął z ulgą.

– Naprawdę panu dziękuję, ja...

– Proszę tak do mnie nie mówić. Mam na imię Adam.

Mężczyzna z entuzjazmem wyciągnął rękę.

– Robert. Naprawdę cieszę się, że cię poznałem.

– Mam nadzieję, że nie będę tego żałował.

– Nie pożałujesz. Być może znowu będziesz miał temat życia.

– Dość już mam tych tematów życia – jęknął Kniewicz.

Lekarz spojrzał na zegarek.

– I tak straciłeś już znacznie więcej niż pięć minut.

Dziennikarz uśmiechnął się i pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Cóż, jest jeden plus. Przynajmniej teraz nie do mnie strzelają. Wybacz, że tak zaczynamy naszą znajomość, ale musisz wysiąść.

– Rozmyśliłeś się?

– Nie, ale nie możesz słyszeć tej rozmowy.

– Jasne. – Czechowicz szybko wysiadł, rozglądając się uważnie.

Postanowił przejść się na krótki spacer i pozwolić Adamowi swobodnie działać. Był zadowolony. W niecałą godzinę przekonał dziennikarza, że jest niewinny. No, może nie całkiem przekonał, ale przynajmniej zasiał sporo wątpliwości co do prostej wersji policji. Jest dobrze, teraz tylko nie może zrobić żadnego błędu i musi uważać.

Usiadł na pobliskiej ławce i zamknął na moment oczy, próbując się zrelaksować.

Zastanawiał się przez chwilę, czy zadzwonić do Jolki, ale zrezygnował. Pewnie już słyszała w telewizji o całej aferze, a najprawdopodobniej jest obserwowana.

Otworzył oczy i dostrzegł machającego do niego dziennikarza. Wstał natychmiast i podbiegł do samochodu.

– No i jak poszło? – spytał szybko.

– Dobrze. – Adam podał mu kartkę. – Masz tu adres. Bądź tam o szóstej.

– Dopiero o szóstej?

– To nie pogotowie ratunkowe. Spadłeś z nieba, człowieku. Ona, zanim się tobą zajmie, musi załatwić kilka spraw. Poza tym... wiesz, każdy ma szefa. Jego też musi przekonać.

– Ona?

Kniewicz roześmiał się na widok bezradnej miny doktora.

– Tak, ona. Też tak zareagowałem, kiedy ją poznałem. Kilka razy uratowała mi życie i robiła to, jak by ci to powiedzieć, wyjątkowo spektakularnie.

– A kim ona jest?

– Wszystko w swoim czasie. Albo mi ufasz, albo nie.

– W porządku. Co mam do tej pory robić?

– Unikać kłopotów i ludzi. Nie korzystaj z własnego samochodu, nie odwiedzaj miejsc, w których często bywałeś, a już z pewnością nie wracaj do swojego mieszkania.

– Wierzysz mi? – spytał ponownie Robert, obserwując reakcję Adama.

– Na razie, jak to mówią w jednym z programów, wzruszyła mnie twoja historia.

– A ona?

– Co ona?

– Wierzy w moją niewinność?

– Spokojnie. Nie sądzisz chyba, że zdążyłem jej to wszystko opowiedzieć? Skupiłem się na rzeczniku prasowym rządu.

– Umiesz trafić w sedno.

Adam ponownie się uśmiechnął.

– Widzisz, ona między innymi pilnuje, żeby niektórym ważnym osobom nie przydarzały się podobne historie. Muszę jechać.

– Załatwić kilka spraw?

– Właśnie.

Drzwi otworzyła szczupła, wysoka dziewczyna. Miała na sobie jasnoniebieskie dzinsy i sportowy T-shirt. Ciemnoblonde włosy do ramion zasłaniały część twarzy, ale Kniewicz od razu ją poznał.

– Witaj, Ultra, kupa czasu – powiedział, przyglądając się jej z zainteresowaniem.

– Chyba ostro się nudziłeś, skoro znów się spotykamy – westchnęła.

– Urocza jak zawsze. – Adam uśmiechnął się szeroko i pocałował ją w policzek.

– Gdzie ten twój klient? – spytała, wpuszczając go do środka.

– Zaraz powinien przyjść. Oczywiście, jeśli go nie złapali.

Agentka pokiwała ze zrozumieniem głową i zamknęła drzwi.

– Czego się napijesz?

– Wódka z martini, wstrząśnięta, nie mieszana.

– Humorek ci się wyostrzył – zauważyła z przekąsem. – A może być woda, dokładnie zmieszana z wyciągiem z koki i wzbogacona dwutlenkiem węgla?

– Oczywiście. Co to za mieszkanie? – spytał Kniewicz, siadając na kanapie. Papierową teczkę, którą trzymał pod pachą, położył na stoliku.

– Na takie właśnie okazje. – Ultra podała mu szklanekę coca-coli.

Dziennikarz rozejrzał się dookoła. Pokój był niewielki, ale przytulny. Kanapa, dwa fotele, stolik. Na przeciwległej ścianie drzwi do kuchni.

– Kawalereczka?

– Pokój z kuchnią. Trzydzieści jeden metrów, na krótko idealny.

– Co robiłaś ostatnio? – Kniewicz zmienił nagle temat.

– Byłam sporo za granicą. Masz szczęście, że mnie zastałeś. Jestem właściwie na urlopie.

– Co powiedział pułkownik?

– Zainteresował go rzecznik. Wiesz, że się znalazł?

– Nie pisali o tym w gazetach.

– Nie pisali nawet o tym, że zniknął.

– Masz wolną rękę?

– Na razie tak. Przygotowałeś mi to, o co prosiłam?

– Oczywiście. – Adam sięgnął po teczkę, by podać ją dziewczynie.

Ultra wyjęła z niej materiały i szybko przekartkowała.

– To wszystko, co o nim masz?

– Tak. Te na wierzchu są z policji, dalej ze szpitala, kilka prasówek z jego kliniki...

– Skąd tak szybko to wzięłeś?

Kniewicz uśmiechnął się szeroko.

– Miałem na to aż sześć godzin.

– Kokiet. – Ultra pokręciła głową zgorziona. – Dużo ludzi w to wciągnąłeś, profesjonalisto?

– Daj spokój, nic nie wiedzą. Mamy jego list gończy, więc to nic niezwykłego. Policja, jak wiesz, to także nie problem, wspólni przyjaciele od Ryśka Snopczyka, a przy innych sprawach trójka.

Dziewczyna odłożyła na chwilę materiały i zamyśliła się.

– To już rok...

– Tak – powiedział cicho Adam. – Byłem u niego kilka dni temu. Sporo kwiatów. Chłopaki dbają, córka oczywiście też.

Ultra wstała, aby wyjąć z lodówki trochę lodu.

– Ciepła jakaś ta cola – zauważyła.

– Mnie też weź ze dwie kostki.

Kniewicz usłyszał jęk drzwi zamrażalnika.

– Wierzysz mi? – spytała nagle dziewczyna.

– Dotychczas wierzyłem na dziewięćdziesiąt procent. Po tym, jak znalazł się rzecznik, prawie na sto. A co ty o tym sądzisz?

– Muszę z nim pogadać. – Ultra postawiła naczynie z lodem na stoliku i ponownie usiadła na fotelu. – Trochę mnie dziwi, że dałeś się tak szybko przekonać.

Adam wzruszył ramionami.

– Jego opowieść jest logiczna, spójna i bardzo prawdopodobna. Za to wersja, którą dostałem dziś rano od gliniarzy, naciągnięta, nie poparta dowodami i, między nami mówiąc, głupawa. Mam uwierzyć, że szanowany, lubiany przez kolegów, nie karany lekarz bierze ni stąd, ni zowąd udział w przestępstwie przeciwko rodzinie swojego najlepszego przyjaciela? Że strzela niczym zawodowiec do „borowików”, porywa rzecznika prasowego rządu, który zresztą po kilku godzinach się znajduje, wreszcie idzie to odespać i daje się zaskoczyć policjantowi we własnym domu? – Przerwał, aby przyjrzeć się reakcji Ultry. – No, zdecydujmy się – ciągnął. – Albo jest diabelnie bystrym przestępcą, albo idiotą. Ani to, ani to nijak do niego nie pasuje.

Dziewczyna kiwała nieznacznie głową, jakby zgadzała się z tym, co mówi Adam, a równocześnie zastanawiała się, czy przypadkiem w jego myśleniu nie ma istotnych luk.

– Myślisz, że ktoś robi go w konia? – spytała wprost.

– Myślę, że to przypadek. Ktoś chciał czegoś od Morawieckiego, a Czechowicz znalazł się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze. To wszystko. Jest tylko świadkiem, a my musimy się dowiedzieć, kto i czego chce od rzecznika miłościwie nam panującego rządu. To mi śmierdzi polityką.

– Tobie wszystko śmierdzi polityką.

– Zobacz, jak...

Przerwało mu pukanie do drzwi. Ultra szybko wstała, żeby wpuścić gościa. Zanim nacisnęła klamkę, przyłożyła palec do ust, dając Kniewiczowi do zrozumienia, by nie kontynuował.

Kiedy Czechowicz pojawił się w progu, sprawiał wrażenie zmieszanego.

– Ja do pana...

– Kniewicza – dokończyła dziewczyna z uprzejmym uśmiechem.

– Właśnie.

– Wejdz, Robert – powiedział głośno dziennikarz. – Sami swoi, jesteś tu bezpieczny jak u mamy.

Czechowicz wszedł do mieszkania, rozglądając się uważnie. Zatrzymał wzrok na Ultrze i

próbował ocenić pierwsze wrażenie, jakie wywarła na nim osoba, która miała być podobno antidotum na wszystkie jego kłopoty.

– Agentka Ultra – przedstawił dziewczynę wyraźnie rozbawiony Adam. – Doktor Robert Czechowicz, lekarz z przejściowymi kłopotami.

– Witam. – Ultra uśmiechnęła się uprzejmie. – Siadaj. Mogę ci mówić po imieniu?

– Oczywiście. – Czechowicz ze zdumieniem zauważył, że agentka ma rzadką zdolność wzbudzania zaufania, i to niemal od pierwszej chwili. Jej bystre spojrzenie nie miało nic z natarczywości czy podejrzliwości. Zachowywała się naturalnie, nie siląc się na pretensjonalną grzeczność czy nachalną wylewność. Sprawiała wrażenie zwykłej trzydziestolatki. Miała szczupłą, ale wysportowaną sylwetkę, a doskonale dopasowane spodnie i T-shirt zdradzały kłopotliwą prawdę, że jest cholernie pociągająca.

– Jakies dodatkowe kłopoty, o których nie wiem? – spytał wstępnie Kniewicz.

– Nie, nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

– Na razie – zauważyła Ultra.

Robert wciąż jeszcze był nieco spięty, ale starał się nadrabiać to spokojnym tonem.

– Przepraszam, że o to pytam – rzekł niepewnie, ale dość pogodnie. – Ultra to nazwisko?

– Nawet nie próbuj. – Adam się roześmiał. – W życiu ci nie powie, jak ma na imię, nie mówiąc już o nazwisku.

– To taki... pseudonim służbowy – odparła dziewczyna.

– Przepraszam, ja tylko...

– Daj spokój, Robert – przerwał mu dziennikarz. – Musimy pogadać, jeśli chcesz, żebyśmy ci pomogli.

– Mam wszystko opowiedzieć?

– Nie wszystko – rzekła Ultra. – Adam przekazał mi już to, o czym rozmawialiście, ale musisz trochę bardziej wysilić pamięć.

– Powiedziałem wszystko i starałem się być możliwie najbardziej dokładny.

– Chcesz coli? – spytała jakby nigdy nic.

– Tak. Proszę.

– W porządku, wróćmy do przyjęcia. Mógłbyś mi powiedzieć, z kim tam rozmawiałeś?

– Przyszedłem z Jolą, moją przyjaciółką...

– Sypiasz z nią? – przerwała mu Ultra.

Czechowicz przez chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć, ale doszedł do wniosku, że kombinowanie nie ma sensu.

– Tak.

– To było przyjęcie u twoich czy jej przyjaciół?

– Jej.

– Hmm. Co dalej?

– Dłużej rozmawiałem właściwie tylko z jednym człowiekiem. Nazywa się Kamil

Kostecki. To psychiatra i psycholog.

– Miły?

– Raczej tak, ale trochę upierdliwy. Często wracał do jakiejś starochińskiej gry strategicznej. Ma na tym punkcie hopla.

– Go?

Chirurg zmrużył oczy, przyglądając się agentce z podziwem.

– Tak, go.

– Tłumaczył ci, jak się w to gra, mówił o przepisach, partiach?

– Raczej nie. Dość dużo mówił o jakimś zagranium, dzięki któremu przeciwnik zostaje osaczony ze wszystkich niemal stron. Ha...

– Hasami.

Kniewicz pokiwał głową z uznaniem.

– Tak, hasami – potwierdził Robert.

– Zdecydowanie poszerza ci się szósty zmysł, Ultra – roześmiał się dziennikarz.

– Trochę szacunku, gwiazdo mediów. – Posłała mu zalotne spojrzenie. – Jestem pięć kyu.

– A bez metafor?

– To bardzo skomplikowana gra i trudno się jej nauczyć. Dlatego jakieś trzy tysiące lat temu Chińczycy wprowadzili stopnie mistrzowskie, jak w karate czy kung-fu. Sześćdziesiąt kyu to ktoś, kto dopiero dowiedział się, że istnieje taka gra, trzydzieści kyu zna już przepisy i wie, o co chodzi. I tak do jedynki. Po jednym kyu jest pierwszy dan. Dan to już stopień profesorski, jest ich dziewięć. Najwyższy stopień wtajemniczenia to zawodowe dziewięć dan. Proste.

– Często grasz? – spytał Czechowicz.

– Okazjonalnie, ale trwa to już parę lat. Jestem niezła. – Ultra uśmiechnęła się.

– O czym jeszcze rozmawialiście? – spytał Adam.

– O hipnozie – odparł lekarz. – Pytał o moje poglądy dotyczące terapii antylekowej. Próbował przekonać mnie do stosowania hipnozy przed – i pozabiegowej.

– Co ty na to?

– Nie byłem przygotowany na taką rozmowę, mówiąc szczerze, nie zdradziłem specjalnego entuzjazmu.

– Mówiłeś, że był upierdliwy.

– Tak. Zapropował mi nawet krótki seans.

Ultra z zainteresowaniem zajrzała Robertowi w oczy.

– Zgodziłeś się? – spytał Adam.

– Tak.

– No, to jak widać na załączonym obrazku, kilka istotnych szczegółów pominąłeś – mruknęła agentka.

– Nie wydawało mi się to istotne.

– Poddajesz się hipnozie, godzinę później twój przyjaciel, z którym się spotykasz, świruje, a ty mówisz mi, że to nieistotne?!

– Jaki to może mieć związek? – zachnął się Czechowicz. – To ja poddałem się hipnozie, nie on. To nie jest zaraźliwe.

– Mam prośbę – powiedziała spokojnie Ultra. – Nie filozofuj. Umawiamy się tak: jeśli chcesz, byśmy ci pomogli, to mówisz wszystko, a nie tylko to, co tobie wydaje się ważne. Ja ci nie mówię, jak najlepiej wyjmować kamienie z nerek, więc i ty nie ucz mnie zawodu.

– Wyluzuj, Ultra – rzucił litościwie Adam. – Daj mu spokój. Jest zdenerwowany i próbuje poskładać się do kupy.

– Jak wyszedł ten seans? – spytała dziewczyna, rzucając Kniewiczowi wymowne spojrzenie sugerujące, aby się nie wtrącał.

– Miał trwać dziesięć minut, a trwał godzinę.

– To normalne?

– W hipnozie terapeutycznej tak. Ale umawialiśmy się na krótką zabawę.

– Wkurzyłeś się?

– Zadzwoił Morawiecki, więc natychmiast wyszedłem. Skorzystałem z okazji. Zresztą cholernie bolała mnie głowa.

– Wziąłeś jakieś proszki?

– Jolka dała mi dwa panadole, ale nie wziąłem ich. Kostecki powiedział, że po seansie i paracetamolu mogą mieć trudności z prowadzeniem.

– To możliwe?

– Nie można tego wykluczyć. To on napisał z tego doktorat, więc nie miałem powodu, by mu nie wierzyć.

Agentka zamyśliła się.

– Kiedy połknąłeś tabletki?

– Po powrocie do domu. Dlaczego pytasz?

– Bo coś mi się tu nie podoba. Dobrze się po nich czułeś?

– Doskonale.

Kniewicz wzruszył ramionami, czując, że ta spiskowa teoria dziejów do niczego nie doprowadzi. Dziewczyna jednak była uparta.

– Jeszcze raz. Wziąłeś dwie tabletki od tej Jolki, pojechałeś do Morawieckiego, potem do domu i tam je zażyłeś?

– No, prawie. Zażyłem swój domowy panadol, bo tamten dałem Jędrzejowi. Też go łąb wtedy bolał. Ciśnienie było fatalne.

Ultra postawiła ciężko szklankę na stole i spojrzała szybko na Adama, szukając jakiegoś odzewu. Kniewicz poczuł lekki niepokój, ale nic jeszcze nie wskazywało na to, że coś wydaje mu się szczególnie podejrzane.

– Chcesz powiedzieć – rzekła dobitnie Ultra – że dałeś Morawieckiemu tabletki, które

dostałeś od tej kobiety?

– O czym ty myślisz? To były opakowane firmowo panadole. Paracetamol to jeden z najbezpieczniejszych leków. Jędrzej nie był na to uczulony. Nie szukaj tutaj czegoś, co nie jest możliwe. Nie da się podrobić opakowanych, zabezpieczonych leków.

– Naiwniak – powiedzieli niemal równocześnie Ultra i Adam.

Czechowicz pociągnął duży łyk coli i pokręcił z niedowierzaniem głową.

– No dobrze, tylko po co? Jolka to moja przyjaciółka. Po co miałyby dawać mi lek, po którym zacząłbym świrować? To się nie trzyma kupy.

– Trzeba ją o to zapytać – powiedział spokojnie Adam.

– Tak po prostu? – Robert wciąż uważał, że całe to rozumowanie jest idiotyczne.

– Długo ją znasz? – spytała spokojnie Ultra.

Na twarzy Czechowicza pojawiło się coś na kształt wstydu.

– Dwa miesiące – odparł szybko. – Mam do niej zadzwonić?

– Broń Boże. Wiesz chyba, gdzie mieszka?

– Wiem, ale rzadko tam bywałem. Zwykle spotykaliśmy się u mnie.

– W porządku, resztę opowiesz po drodze. – Ultra wstała, dając Adamowi znak, aby się zbierał. – Przejedziemy się.

ROZDZIAŁ 4

Adam wjechał dwoma kołami na krawężnik i zatrzymał samochód. Siedząca obok Ultra przyjrzała się uważnie jasnokremowej kamienicy po drugiej stronie jezdni, po czym odwróciła głowę do tyłu, w kierunku Roberta.

– Na pewno tu? – spytała sucho.

– Na pewno.

– Jak wchodzimy? – zapytał Kniewicz.

Agentka przez chwilę nic nie mówiła, tym razem obserwując wejście do budynku.

– Ja i Robert idziemy, ty, Adam, zostajesz. Jakby co, dzwonisz na moją komórkę. Sprawdź przy okazji, czy jest tu drugie wyjście.

– W porządku – mruknął spokojnie dziennikarz.

– Ty się witasz. – Wskazała na Czechowicza. – Ja jestem twoją przyjaciółką, która ci pomaga. Jak myślisz, może być teraz w domu?

– O tej porze wraca zwykle z pracy.

– Gdzie pracuje?

– W firmie internetowej.

– Byłeś kiedyś u niej w robocie?

– Po co?

– Jasne... – Agentka pokręciła głową z dezaprobatą.

– Ultra, Adam! – Lekarz wychylił się nagle z tylnego siedzenia. – To jej samochód!

Biały seat wyłonił się zza zakrętu i wolno zaparkował na chodniku niedaleko wejścia. Po chwili wysiadła z niego wysoka blondynka, zabrała z tylnego siedzenia torebkę i zatrzasnęła drzwi.

– To ona? – spytał Adam.

– Tak.

– Spadamy stąd – rzuciła niespodziewanie Ultra.

Kniewicz odwrócił się w jej stronę. Niepokój dziewczyny przestraszył go.

- Co jest grane?
- Włącz silnik i spokojnie odjedź. Najlepiej tak, żeby nie zwróciła na nas uwagi.
- Znasz ją? – spytał zdezorientowany Robert.
- Tak. Gorzej, że ty jej nie znasz.

Dziennikarz powoli ruszył. Zjechał z krawężnika, pokonał kilkanaście metrów i skręcił w pierwszą przecnicę w prawo. Jolka nie zwróciła uwagi na ich samochód. Wystukała kod na domofonie i weszła do środka.

- Co chcesz zrobić? – spytał Czechowicz.
- Zastanowić się. Tu możesz zatrzymać – powiedziała do Kniewicza.
- Skąd ją znasz? Co ona zrobiła? Popełniła jakieś przestępstwo? – Czechowiczowi niespodziewanie zadrżał głos.

Adam zatrzymał samochód na poboczu.

– Stawiam nieśmiało tezę, że to jej koleżanka z pracy – mruknął, patrząc za przednią szybę. – Mam rację, Ultra?

- Nie pracuje bezpośrednio ze mną.
- Ale...? – Kniewicz obrócił się w jej stronę i uniósł wysoko brwi.
- Ona... Nie mogę wam powiedzieć, dla kogo pracuje. Przynajmniej dopóki nie udowodnimy jej, że działała na szkodę...

– Państwa? – dokończył dziennikarz. – Słyszałem to w jakimś amerykańskim filmie. Przestań, Ultra! Być może wszyscy narażamy życie. Czym ona się zajmuje?

- Raczej nie jest informatykiem – jęknął Robert.
- Raczej dziwne jest to, że jeszcze żyjesz, skoro znasz ją dwa miesiące.
- To cyngiel – zawyrokował Adam.
- Nie tylko – poprawiła go niechętnie Ultra. – Ale jest w tym bardzo dobra.

Czechowicz kolejny raz pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Jezu, o czym wy mówicie? Służby specjalne, zabójstwa? Przecież nie żyjemy w... Stanach Zjednoczonych? – spytał z przekąsem Kniewicz. – I tam, i tu nazywa się to tak samo: eliminacja osób zagrażających bezpieczeństwu narodowemu.

– Przestańcie! – warknęła Ultra. – Nie macie o tym pojęcia. Naoglądaliście się paranoicznych thrillerów i gadacie głupoty. Dajcie mi się skupić.

- Nie lubisz jej – stwierdził Robert wyjątkowo pewnym głosem.

Ultrę zaskoczyła ta uwaga.

– Powiedzmy, że nie pochwalam jej metod. Ale to teraz nie jest ważne. Ważne jest to, że ktoś kazał jej, by cię pilnowała, ale nie mogę jakoś wpaść po co.

- Nie wiesz, czym się ostatnio zajmowała? – wtrącił dziennikarz.
- Handlarzami bronią. Trochę współpracowaliśmy przy tej sprawie. Nasi ludzie doprowadzili ją do faceta, który miał pewne kontakty z nimi. Drobnny cwaniaczek, ale im bardzo przydatny.

– Goguś... – wyrecytował Robert ze ściśniętym gardłem.

– Co? – spytała Ultra.

– Mnie mówiła, że to jej narzeczony. Poznała go przede mną. On rzeczywiście się w niej zakochał.

– Nie wolno wam o tym z nikim rozmawiać – ostrzegła agentka.

– Jasne – odpowiedzieli niemal równocześnie.

– Mówię poważnie. To ściśle tajne.

– Ściśle rzecz biorąc, to już dupa mnie boli od siedzenia w tym samochodzie – podsumował Adam. – Idziemy tam czy nie?

– Myśle! – warknęła Ultra. – Nie chcę, żeby mnie czymś zaskoczyła. A ty nie patrz tak – rzuciła w stronę Czechowicza. – Nie zawsze można mieć szczęście do kobiet.

– Fakt – burknął lekarz. – Ostatnio poznaję same agentki abstrakcyjnie tajnych służb, o których nikt nic nie wie.

– Na tym polegają tajne służby. – Kniewicz parsknął śmiechem. – Nikt nic o nich nie wie.

– Bardzo śmieszne – syknęła Ultra. – To może sam tam pójdziesz i wyciągniesz od niej to co trzeba?

– W porządku. – Dziennikarz podniósł ręce w geście pojednania. – Będę grzeczny.

Dziewczyna zamyśliła się, ale po chwili klasnęła lekko dłońmi, jakby chciała powiedzieć, że ma już w głowie cały plan.

– Dobrze, w takiej sytuacji idziemy tam wszyscy. Jak zobaczy mnie i ciebie razem – wskazała Roberta – będzie zaskoczona. Przez chwilę nie będzie wiedziała, co robić. Ciebie zna z telewizji. – Spojrzała na Adama. – A to już w ogóle wyprowadzi ją z równowagi. Dopóki nie będzie wiedziała, co jest grane, wyciągniemy od niej wszystko, co się da. Jak opanuje sytuację, to koniec, nic już wtedy nie zdziałamy.

– Przy dziennikarzu niczego nie powie – stwierdził Kniewicz.

– Mylisz się – odparła Ultra. – Jeśli coś nabroila, będzie próbowała się bronić. Ty będziesz jej polisą ubezpieczeniową. Nie wyśpiewa wszystkiego, ale może uda nam się domyślić, po co przykleiła się do Roberta. – Wyjęła spod wiatrówki pistolet i ostrożnie go przeładowała.

– To konieczne? – spytał Czechowicz, wyraźnie się krzywiąc.

– Nie, ale jakoś ręce mi zdrętwiały. Jeszcze jakieś pytania? To idziemy.

– Już idę, misiu! – krzyknęła zza drzwi Jolka, usłyszawszy dzwonek. Po kilku sekundach drzwi otworzyły się na oścież.

Uśmiechnięta twarz przez chwilę tępo patrzyła na gości, a potem pojawił się na niej wyraz totalnego zaskoczenia. Ultra zapobiegawczo postawiła stopę w progu.

– No cóż, to nie misio – rzekła chłodno. – Ale my też zapewnimy ci dobrą rozrywkę.

Jolka przebiegła szybko po nich wzrokiem, najdłużej zatrzymując się na Robercie. Nie

znalazła jednak na jego twarzy żadnej odpowiedzi.

– Co ty tu robisz, Ultra? – spytała z niepokojem.

– A jak myślisz? – odpowiedziała pytaniem agentka, wskazując na Czechowicza.

– Nie mieszaj się do tego. Nie wiesz, o co tu chodzi.

– To mnie oświeć. Bo nawet jak na mój gust trup ściele się zbyt gęsto. Chcesz gadać tu czy może jednak wejdziemy?

Jolka na chwilę zamarła, jakby szybko analizowała sytuację, po czym szerzej otworzyła drzwi, wpuszczając wszystkich do środka.

Idąc do salonu, Ultra nie spuszczała jej z oczu. Pozwoliła sobie na to dopiero, kiedy wszyscy usiedli.

Pokój był dość duży, ale skąpo umeblowany. Zielone ściany niezbyt pasowały do brązowej kanapy i czarnych krzeseł, ale Ultra wiedziała, że to nie jest mieszkanie Jolki. Usiadła ostrożnie na najbliższym krześle, kątem oka rejestrując, że Robert i Adam sadowią się na kanapie.

– Kiedy przyjdzie „misio”? – spytała.

– Najdalej za pięć minut.

– Przesuń spotkanie.

– Nie mogę, to łącznik. Wiesz, do cholery, o czym mówię!

– Nie kłam, zlikwidowałaś Gogusia dwa dni temu! Jolka zacisnęła usta, spoglądając mimo woli na obu mężczyzn.

– Co ty robisz?! – syknęła cicho. – Przy nich mówisz o takich rzeczach?!

– To nie pieprz. On mało przez ciebie dzisiaj nie zginął. – Wskazała na Roberta.

Czechowicz patrzył na Jolkę zmęczonym wzrokiem, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi i słyszy.

– Ten też jest łącznikiem – rzekła już spokojniej, sięgając po słuchawkę.

Ultra obserwowała z podziwem, jak spokojnym, przekonującym tonem przekłada spotkanie.

– Jak ty masz teraz na imię, Olena? Jolka? – spytała, gdy tamta zakończyła rozmowę.

– Olena? – Czechowicz pokręcił z niedowierzaniem głową.

– To jej prawdziwe imię, ale używa raczej tylko pseudonimu Sil – wyjaśniła Ultra. – Z filmu. Koledzy ją tak nazwali. Jakoś przypominała im bohaterkę *Gatunku* – dodała z przekąsem. – Chyba głównie z charakteru.

– Czego chcesz? – spytała niecierpliwie Sil.

– Chcę wiedzieć, kto ci kazał przyhartować Roberta Czechowicza i po co. A przede wszystkim, dlaczego gania go teraz całe miasto.

– Nie patrz tak na mnie, Robert – rzuciła Sil w jego stronę. – Nie spadłby ci włos z głowy. Miałam pilnować, żebyś był zdrowy i cały. Są ludzie, którzy bardzo cię potrzebują. Ta afera z rzecznikiem to zwykła pomyłka. Dałeś mu przypadkowo tabletki ode mnie i wszystko się

spieprzyło. A potem gnoje zaczęli strzelać, no i afera dosięgła nawet ciebie.

Czechowicz wciąż jednak patrzył na nią, nie zmieniając wyrazu twarzy. Przez chwilę nie mógł się zdobyć na żadne pytanie ani odpowiedź. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego, może nawet zrezygnowanego. Piękna twarz Joli z wolna traciła swoje ciepło i zamieniała się w zimne, wyrachowane oblicze Sil – dziewczyny, której nie znał i o której nie miał zielonego pojęcia. Naiwne przekonanie o bezproblemowym, szczerym związku prysło jak bańka mydlana, co było tym bardziej zaskakujące i przykre, że w zamian otrzymał jedynie niepewność i strach.

Ultra wstała i wolnym krokiem podeszła do szafy. Otworzyła ją i uśmiechnęła się gorzko. Pod pustymi półkami i wieszakami leżała wypchana, nie zamknięta jeszcze torba podróżna.

Sil zwiesiła głowę.

– Coś ty narobiła? – zapytała spokojnie Ultra.

– W porządku. Pohandlujemy? – W jej oczach widać było szczerą niepokój, co przekonało Ultrę, aby trochę odpuścić.

– Co masz dla nas? – rzekła pojednawczo.

– Informacje.

– Co my możemy ci dać?

– Zapomnieć o mnie na przynajmniej trzy dni.

– Trudne.

– Opłaci się wam.

Ultra spojrzała na Adama. Pokiwał zdecydowanie głową, jakby zgadzał się na układ. Czechowicz odwrócił głowę w stronę okna i sprawiał wrażenie, że ta rozmowa w ogóle go nie interesuje.

– Co to były za tabletki, Jolu? – spytał nagle, wciąż patrząc tępo gdzieś w przestrzeń za szybą.

– To dość skomplikowane – odparła, biorąc głęboki oddech. – Nie wiem dokładnie, co to jest. Ludzie, dla których pracowałam, nigdy mi tego nie powiedzieli. O ile się orientuję, to jakiś eksperymentalny środek powodujący najpierw krótkotrwałą utratę przytomności, a później bardzo specyficzne halucynacje. Człowiek zmienia osobowość... nie potrafię tego wytłumaczyć.

– A co potrafisz wytłumaczyć? – zainteresował się Adam.

– Oni zajmują się hipnozą i prowadzą na jej temat badania. Te leki w jakiś sposób wspomagają cały proces. Kiedy wprowadzają kogoś w trans, osobowość tego człowieka po prostu się zmienia. Rozumiecie? Pacjent zasypia i budzi się jako ktoś inny.

Robert spojrzał wreszcie na Sil.

– Jak to możliwe?

– To ty jesteś lekarzem, nie ja. Nie mam o tym pojęcia. Moim zadaniem było tylko karmić cię tym co pewien czas.

– Po co?!

– Ci ludzie czasem zabierali cię w nocy i odstawiali nad ranem. Nikt nigdy się nie zorientował. Ty niczego nie pamiętałaś. Rozpuszczałam to w coli, wodzie mineralnej, różnie.

Ultra spojrzała na Czechowicza. Przerazenie w jego oczach kazało jej przejąć inicjatywę.

– To nie ma nic wspólnego z agencją?

– Nie, to prywatna sprawa. Po prostu wynajęli zawodowca. Byli bardzo hojni, ale i ostrożni. Nie przeszkadzało mi to w normalnej robocie. Może nie do końca było to w porządku, ale nikomu nie działa się krzywda. Ta hipnoza była całkowicie bezpieczna.

– Przecież nie masz pojęcia, co to za lek – wtrącił Robert.

– Na ile mogłam, sprawdziłam go. To krótkotrwale działający halucynogen. Kiedyś byłam świadkiem, jak wziął go jeden z tych lekarzy. Nic się nie stało. Bełkotał w jakimś niezrozumiałym języku, zachowywał się dziwnie, ale pozostali pilnowali go i po godzinie mu przeszło. Chciałam mieć pewność, że to czysta robota, i udowodnili mi wtedy, że wszystko jest w porządku.

– Ile razy tam byłem? – spytał Czechowicz.

– W ostatnich dwóch miesiącach... kilka.

Adam spojrzał na Roberta, sprawdzając, czy jeszcze jakoś się trzyma.

– Dlaczego uciekasz? – spytała Ultra.

– Jak to dlaczego? Zginęli ludzie. Nie miałam z tym nic wspólnego, ale jak dowiedzą się o tym w agencji, to już po mnie. Za pół godziny przyjdzie facet, który mnie stąd zabierze. To dobra przykrywka. Ten koleś to prawdziwy łącznik z tymi handlarzami. Wiesz, o co chodzi, Ultra?

– Wiem. A Goguś?

– To pionek, ale dzięki niemu dotarłam do tego co trzeba.

– Co z nim później zrobisz?

– Nic złego, wykonam zadanie. Ale muszę się trzymać z dala od tej bandy konowałów.

– I ja mam w to uwierzyć? – Ultra lekko przymrużyła oczy.

– Nie potrafię ci tego udowodnić. Ci faceci przeprowadzają eksperymenty na ludziach, a do tego zabijają. Gdybym robiła to służbowo, nie byłoby sprawy, ale... no, sama wiesz. To była kupa kasy. Miej trochę zrozumienia...

– O tym, że prowadzą eksperymenty, wiedziałaś już dawno – mruknęła sucho dziewczyna. – Wysyłałaś go na rzeź i nawet gdyby wieszano go tam za lewe jajo, miałybyś to w dupie.

– Uuuu... – Kniewicz skrzywił się z niesmakiem.

– Przestań! – ucięła Sil. – Mam ci przypomnieć twoje wyczyny?

– Nigdy nie robiłam tego na własną rękę. Wykonywałam rozkazy i czemuś to służyło. Nie porównuj mnie do siebie. Tobie chodzi wyłącznie o pieniądze.

– Nie rozumiesz, o co mi chodzi. Chcę was na nich naprowadzić. Oni mają mnie za byłą

policjantkę. Ja już niczego nie zdziałam, ale ty możesz ich udupić. I to w imieniu agencji.

Ultra nabrała głęboko powietrza, aby chwilę zastanowić się, co robić. Niemal na pewno kryło się za tym znacznie więcej, niż mówiła Sil, ale było za wcześnie, aby to z niej wyciągnąć. Postanowiła uważnie jej posłuchać, a co będzie dalej, czas pokaże. Teraz należało jak najszybciej dotrzeć do lekarzy.

– Jak ich znajdziemy? – spytała prosto z mostu.

– Nigdy tam nie byłam, nie znam ich nazwisk. Kontaktowałam się z nimi właściwie tylko przez Kamila Kosteckiego.

– Tego Kosteckiego? – spytał zaskoczony Kniewicz.

– Tak. Dziwisz się, że jest w to zamieszany? A jednak. Czuję przez skórę, że cała ta afera ujawni jeszcze przynajmniej kilku znanych lekarzy. Musicie dostać się do nich przez niego.

– Dobrze. Co jeszcze wiesz?

– Wszystko najprawdopodobniej finansuje bogata firma archeologiczna.

– Firma archeologiczna?! – spytał z niedowierzaniem Czechowicz.

– Nie dziw się. Co prawda wykopaliska archeologiczne finansowane są najczęściej przez bogatych filantropów lub państwo, ale zdarzają się wyjątki. Ta firma żyje z wykopalisk. Znajdują coś cennego, sprzedają to i kopią dalej. Mają oddziały na całym świecie. To wpływowi ludzie, podobno otrzymali pozwolenia nawet od Chińczyków, a kopią wszędzie.

– Co mogą mieć wspólnego lekarze z archeologami? – rzekł Adam, spoglądając porozumiewawczo na Ultrę.

– No proszę, naiwny dziennikarz. Dzisiaj to już rzadkość. A w telewizji wyglądasz na bystrzejszego. Kiedy nie wiadomo, o co chodzi, drogi kolego, to zawsze chodzi o pieniądze. Ale reszty musicie się dowiedzieć sami. Firma nazywa się Pretergate. Nie sądzę, aby dało się im cokolwiek udowodnić. Jeśli tam pójdziecie, spuszcza was z klozetem. Płacą podatki, ze wszystkiego się rozliczają, są czyści. Wiem jednak, że najprawdopodobniej finansują nielegalne eksperymenty, tyle że nie mam na to dowodów.

– Skąd o tym wiesz?

– Tego nie mogę powiedzieć, zresztą nie pomogłoby wam to w niczym.

– Pomogłoby się domyślić, czy nie pakujesz nas w jakieś gówno.

– Ultra, zastanów się. Po co miałabym to robić? Ja też chcę ich dorwać. Mam przez nich cholerne kłopoty. Proszę was, idźcie już.

– Jeszcze jedno. – Ultra podniosła rękę, aby Sil nie wstawała. – Gdzie jest żona rzeczownika?

– Jestem prawie pewna, że trzymają ją u siebie. Gdzie? Nie wiem. To jedyny świadek eksperymentu i dlatego raczej jej nie wypuszczą. Być może już ją zlikwidowali.

Czechowicz ukrył twarz w dłoniach, nie mogąc wydusić ani słowa.

– Jak wyglądali ci, którzy przychodzili w nocy po Roberta? – spytał Kniewicz.

– Zwykle było ich trzech. Dwóch osiłków i facet wyglądający na lekarza. Wysoki, w

okularach, szczupły. Blondyn, lekko łysiejący od czoła, około czterdziestu lat. Często używał medycznych określeń. Nie wiem, jak to robili, że nikt ich nigdy nie widział. Mało mówili. Przychodzili tylko po niego. Idźcie już!

Ultra wstała i kiwnęła na obu mężczyzn.

Sil złapała ją raptownie za ramię.

– Ultra, daj mi wyjechać. – W jej głosie słychać było mieszaninę lęku i nadziei.

– Masz dzień.

– Dwa.

Ultra zatrzymała na niej wzrok, po czym nieznacznie skinęła głową.

– Idziemy – rzuciła w stronę Adama i Roberta. Obaj bez słowa ruszyli w kierunku drzwi. Czechowicz zatrzymał się przy Sil, chcąc jeszcze coś powiedzieć, ale stwierdził, że właściwie nie ma to sensu.

– Chyba się już nie zobaczymy, Jolu? – zapytał spokojnie.

Sil uśmiechnęła się ciepło, jak dawniej.

– Trzymaj się od nich z daleka, Robert. Wiesz tyle, że już nie zrobią ci nic złego.

Gdy drzwi się zamknęły, Ultra zaczęła zbiegać po schodach, jakby dom miał się za chwilę zawalić. Adam i Robert dopadli ją dopiero na ulicy. Dziennikarz złapał agentkę za rękę.

– Puścisz ją tak?! – spytał zirytowany.

Ultra puknęła się w czoło.

– Oczywiście, że nie. Ale nie wierzę, by robiła to na własną rękę.

– Myślisz o agencji, dla której na co dzień pracuje i którą tak przed nami ukrywasz?

– Właśnie dlatego tak ją przed wami ukrywam. Szybko do samochodu. Muszę do kogoś zadzwonić, a nie chcę tego robić na ulicy.

– Kłamała? – spytał Robert.

– Jak z nut – odparła Ultra. – Nie sądzę, by uciekała ze względu na agencję. Myślę też, że wie o lekarzach znacznie więcej, niż mówiła, ale z jakiegoś powodu chce nas w to wciągnąć. Dlatego mam nadzieję, że akurat ta część była prawdziwa.

– Jak mogła to wszystko wykombinować? – skrzywił się Adam. – Przecież nie miała pojęcia, że tu przyjdziemy.

– Może skorzystała z okazji, a my akurat byliśmy pod ręką. Może jakimś cudem przewidziała to. Nie wiem. Ale szybko się dowiem.

Pułkownik Piotr Krentz należał do najbardziej opanowanych ludzi, jakich знаła Ultra, a jednak agentka zauważyła w jego oczach lekki niepokój. Cywil spoza branży z pewnością nie dostrzegłby różnicy w spojrzeniu szefa agencji, ale Ultra znała go zbyt dobrze. Jego z pozoru flegmatyczny sposób bycia zręcznie maskował wszelkie oznaki emocji, czyniąc z niego uosobienie chłodu, opanowania, może nawet wyrachowania.

Piotr Krentz był stosunkowo młodym dowódcą, nie przekroczył jeszcze pięćdziesiątki, lecz na jego skroniach pojawiły się już gdzieniegdzie siwe włosy, dzięki którym wyglądał poważniej.

Ultra skończyła właśnie obszerny meldunek i siedziała naprzeciwko niego, oczekując na to, co powie. Krentz wyjął z kieszeni swoje lekko przyciemniane okulary.

– Sil... – mruknął tak cicho, że agentka ledwie go usłyszała, po czym spuścił wzrok i chwilę przyglądał się niewielkiemu pajakowi spacerującemu po biurku. – Co o tym sądzisz? – spytał swojego zastępcę, Krzysztofa Bauera, szczupłego, wysokiego majora o pogodnej, opalonej twarzy.

Bauer siedział na kanapie ustawionej pod ścianą. Był mniej więcej w wieku Krentza, ale sprawiał wrażenie odrobinę weselszego i, mówiąc wprost, bardziej kontaktowego. Jego żywy, donośny głos wyraźnie kontrastował z niskim pomrukiem pułkownika, niezmiennie zrównoważonym, ale zimnym jak lód.

Cała trójka milczała jakiś czas, zastanawiając się, co może wynikać z faktów przedstawionych chwilę wcześniej przez Ultrę.

– To chyba nie nasza sprawa, Piotr – rzekł Bauer, sięgając po papierosa.

– Nie pal tu – skarcił go Krentz. – Po całym dniu czuję się jak w wędzarni.

– Puścimy ją? – spytała nieśmiało Ultra.

Pułkownik westchnął ciężko.

– A masz lepszy pomysł?

– Przykleić kogoś do niej.

– Zorientuje się – wtrącił Bauer. – To nie dziewczynka ze szkoły wdzięku. Może być z tego więcej kłopotów niż korzyści.

– Śliska sprawa – potwierdził Krentz. – Ona może wykonywać jakieś zadanie, a my nie mamy na razie prawa o nic pytać. Jeśli się wtrącimy, możemy nie tylko wyjść na idiotów, ale przede wszystkim spieprzyć coś cholernie ważnego.

– Tu giną ludzie – zauważyła Ultra.

Pułkownik pokręcił głową.

– Nie brała udziału w tej hecy z agentami UOP-u, a na zlikwidowanie Gogusia dostała zgodę. Nic na nią nie mamy.

– A dostarczanie Czechowicza tym rzeźnikom?

– Daj spokój – rzekł Bauer. – Nic o tym nie wiesz. Może ich rozpracowuje, może nagadała ci głupot, a może w ogóle nie ma żadnych „rzeźników” i sprawa dotyczy czegoś zupełnie innego. Ona pracuje dla rządu, my zajmujemy się sprawami prezydenta. Jeśli coś interesuje jego, interesuje też nas. A na razie sprawa tych lekarzy obchodzi go tyle, co poziom skoków narciarskich w Chinach Ludowych.

– Zwolnij, Krzysztof – mruknął Krentz. – Nie wierzę, że nasza kochana Sil z bratniej agencji stała się nagle tak otwarta i szczerą. To oczywiście, że o coś jej chodzi, nie rozumiem

tylko, jak mogła przewidzieć, że do niej przyjdziecie.

– Nie mogła – odparła Ultra. – Ale mogła wykorzystać sytuację. Jest bystra, po prostu improwizowała. Może było tak: miała zadanie z Gogusiem i tymi od broni, a równocześnie kręciła na boku niegroźną, za to dochodową chałturę. Kiedy tamci zaczęli strzelać, zorientowała się, że wdepnęła w gówno, i usiłowała się jakoś z tego wywinąć. Napatoczyliśmy się, a ona postanowiła skierować nas na odpowiednie tory, żeby móc się ulotnić. My ich załatwiamy, wszyscy wyciszają sprawę, ludzie Maliniaka z jej agencji potwierdzają zgodnie, że Sil nigdy tam nie było.

– Oskarżasz agentkę rządową o korupcję – zauważył Bauer.

– Nie przesadzaj z tą korupcją. – Krentz machnął ręką. – Nie ona pierwsza i nie ostatnia dorabia na boku, ale akurat tutaj nie zgadzam się z Ultra. Tu chodzi o coś więcej. Choć co do Malinowskiego z pewnością masz rację. Kiedy idzie o jego ludzi, zrobi wszystko, żeby ich ochronić. Nawet jeśli złapiemy go za rękę, będzie się upierał, że to nie jego ręka. No dobrze, musimy kończyć. Wasze zdanie?

– To nie nasza sprawa – powtórzył z naciskiem Bauer. – Nie mieszajmy się do tego.

– Ultra?

– Chcę się tym zająć.

Krentz wstał zza biurka i przeszedł się wolno po gabinecie.

– Dobrze – mruknął po chwili. – Zbadaj, co to za firma archeologiczna, i chroń lekarza. Spróbuj dotrzeć przez Kosteckiego do tych ludzi, ale bardzo ostrożnie. Zostaw rzecznika rządu. Wiem, że to może być powiązane, ale nie możemy tego ruszać. Pogadam z Maliniakiem. Podpuszczę go i może coś z niego wyciągnę. Masz codziennie meldować, co jest grane.

– Tak jest.

– Co w tym wszystkim robi Kniewicz?

– To, co zwykle – odpowiedział Bauer za Ultrę. – Wpieprza się, myśląc, że zbawia świat.

– Jeśli coś schrzani – pułkownik uniósł groźnie palec – będzie na ciebie.

– To on znalazł Czechowicza – przypomniała agentka. – Nie mogę go teraz odsunąć.

– Nawet gdybyś próbowała, i tak nic by z tego nie wyszło. Znamy go nie od dziś – mruknął z rezygnacją Krentz. – Ale ty masz już doświadczenie w niańczeniu go.

Bauer parsknął śmiechem.

– Co robimy z Sil? – spytała Ultra.

– Nic. Zostaw ją. Maliniak sam ją znajdzie.

– Oczywiście, jeśli jeszcze będzie chciał jej szukać – wtrącił major.

– Będzie. Nie wierzę, żeby wykombinowała to wszystko sama. Coś mi mówi, że to nie była zwykła, samodzielna chałtura...

ROZDZIAŁ 5

Adam Kniewicz wkroczył do bufetu przy studiu numer trzy. W budynku przy Woronicza 17 telewizja miała pięć takich bufetów na pierwszym piętrze oraz kawiarnię Kaprys na parterze. Adam od pół godziny szukał wszędzie Alicji Mendrzejewskiej, dziennikarki z Redakcji Edukacyjnej, ale dopiero teraz, właśnie w „trójce”, dostrzegł ją przy stoliku pod ścianą. Jadła wolno rybę po grecku, czytając jakąś gazetę. Była starsza od Kniewicza przynajmniej o dziesięć lat, ale ubierała się jak dwudziestolatka, zwykle w sprane dżinsy i luźne, wyciągnięte ze spodni koszule. Miała krótkie włosy koloru świeżej marchewki, zadbane i starannie wymodelowane, ale Adam dostrzegł, że na jej twarzy nie ma nawet cienia makijażu.

– Masz chwilę, Ala? – spytał, podchodząc do stolika.

Mendrzejewska złożyła gazetę.

– Siadaj – odparła rezolutnie. – Co się stało?

– Nic wielkiego, po prostu szukam kogoś, a słyszałem, że ty masz najlepszy zeszyt z dobrze gadającymi specjalistami.

Uśmiechnęła się z dumą.

– Kto to ma być?

– Ktoś od archeologii.

– Jakiej?

– Co „jakiej”?

– Jakiej archeologii? Śródziemnomorskiej, polskiej...?

Adam wzruszył ramionami.

– Nie wiem, po prostu archeologii.

Kobieta połknęła ostatni kawałek ryby.

– Nie zajmujesz się już polityką? – spytała, przyglądając mu się badawczo.

– To dodatkowy temat. Wyjaśnię pewną sprawę.

Mendrzejewska przysunęła się do niego zaciekawiona.

– Jakaś afera? Powiedz coś!

– Żadna afera. – Kniewicz machnął ręką. – Po prostu muszę trochę uzupełnić wiedzę.

– Trutututu pęczek drutu – mruknęła z konspiracyjnym uśmieszkiem. – Niech będzie po twojemu. – Wytarła serwetką dłonie i usta, po czym wyjęła z torebki notatnik elektroniczny. Nacisnęła kilka guziczków i zaczęła przeglądać nazwiska. – Grzegorz... hmm, jest w Tunezji. Kralowa... nie, też nie. Może profesor Czyżewski?

– Od jakiej archeologii? – spytał Adam nie bez ironii.

– To mól książkowy. Właściwie cały czas siedzi w domu i pisze. Bardzo dobrze gada. Chcesz go do programu?

– Możliwe – skłamał Kniewicz.

– Jeśli nie wiesz, o co dokładnie chodzi, ten będzie najlepszy. Poza tym najszybciej go znajdziesz. Powołaj się na mnie. Notuj telefon.

Profesor Marian Czyżewski mieszkał na Pradze w zadbanej willi otoczonej skromnym ogródkiem. Zamiast dobermanów lub owczarków alzackich, które zwykle widuje się na tego rodzaju posesjach, Adam dostrzegł za płotem radosnego yorkshire teriera z kokardką na głowie, który z pewnością bez problemu zmieściłby się mu w kieszeni płaszcza.

– Cześć, kurdupel. – Kniewicz pomachał mu ręką. – Masz jakieś imię?

Pies przyjaźnie zamerdał ogonem. Adam wcisnął guzik przy bramie. Prawie natychmiast odpowiedział mu brzęczyk otwierający furtkę. Równocześnie otworzyły się drzwi willi i stanął w nich dość wysoki sześćdziesięciolatek. Był szczupły, dobrze zbudowany, choć cerę miał raczej bladą. Jego pogodnej twarzy powagi dodawała rozległa łysina ciągnąca się od czoła tuż za czubek głowy. Popołudnie było trochę chłodne, więc profesor zdecydował się na granatowy pulower.

– Dzień dobry, panie profesorze. To ja dzwoniłem – powiedział Adam, podchodząc do gospodarza.

Czyżewski wyciągnął dłoń.

– Witam pana, proszę wejść. Napije się pan kawy?

– Raczej wody lub soku. – Kniewicz podał mu rękę.

– Pani Małgosia zaraz coś przyniesie, niech się pan rozgości. – Profesor uśmiechnął się. – A ty pilnuj domu – rzucił przyjaźnie do zdezorientowanego psa, gdy Kniewicz zniknął w przedpokoju.

Salon, w którym naukowiec przyjął Adama, połączony był z kuchnią i raczej nie przypominał pokoju archeologa. Komplet skórzanych foteli, kanapa, szerokoekranowy telewizor, wysokie ściany ozdobione kilkoma nie znanymi dziennikarzowi obrazami, eleganckie okna i... żadnych trofeów. Po kuchni krzątała się niska, tęga kobiecina w średnim wieku – najpewniej gospoia.

– Dla pana kawka, profesorze? – spytała, odwracając się na chwilę w stronę salonu.

– Tak, pani Małgosiu – odparł Czyżewski i wskazał Adamowi fotel. Sam usiadł na kanapie, założył nogę na nogę i spojrzał pytająco na dziennikarza.

– Przepraszam, że przeszkadzam... – zaczął Kniewicz.

– Nie ma najmniejszego problemu. W czym mogę pomóc? Kniewicz skinął głową, dziękując za zrozumienie, poprawił się w fotelu i zaczął prosto z mostu:

– Panie profesorze, miał pan kiedyś kontakt z firmą Pretergate?

Czyżewski uśmiechnął się szeroko.

– To mniej więcej tak, jakby spytał pan informatyka, czy słyszał o firmie Microsoft. Oczywiście, że miałem kontakt, i to wiele razy. To zhora nas wszystkich.

– Zhora?

– Pozwoliłem sobie na żart, panie redaktorze – uspokoił go profesor. – Pretergate to potężna, nowoczesna firma. Zatrudnia młodą, bardzo zdolną i ambitną kadrę naukową, ale my, starzy, nie za bardzo ich lubimy.

– Dlaczego?

– Mówiąc wprost, to nie nasze pokolenie. My lubimy grzebać się w historii, kopać, odkrywać, a oni... chyba nawet nie obraziliby się, gdyby to usłyszeli... przede wszystkim lubią pieniądze. Pretergate to biznes, ale cóż, nie oni pierwsi wpadli na to, że nawet z archeologii można czerpać regularne, wysokie zyski.

Pani Małgosia podała Adamowi sok jabłkowy. Przed profesorem postawiła kawę.

– Firma archeologiczna – dziennikarz zastanawiał się chwilę – to chyba rzadkość?

– Nie, panie redaktorze. W Polsce jest sporo takich firm i nawet nieźle prosperują, na przykład przy budowie autostrad.

– Nie rozumiem.

– Zanim ktokolwiek wybuduje autostradę, ma obowiązek wynająć archeologa, który sprawdza, czy na tym terenie nie ma pod ziemią istotnych dla nauki przedmiotów.

– I na tym można zarobić?

– Ooo, i to nieźle. – Profesor uśmiechnął się. – Czy pan wie, że nie może nawet zbudować głębokiej piwnicy bez pozwolenia archeologa, który ma prawo stwierdzić, że właśnie w tym miejscu znajduje się stanowisko? I to pan za to płaci.

Kniewiczowi wyrwało się westchnienie pełne szczerzego zaskoczenia.

– A Pretergate?...

– Neeee, oni to zupełnie inna sprawa. Ci ludzie nie szukają drobiazgów. To łowcy, a ich łupy to zawsze skarby z najwyższych półek.

– Czegoś tu nie rozumiem. – Kniewicz pokręcił głową. – Nie znam się na tym, ale chyba... po pierwsze, nie tak łatwo znaleźć coś cennego, za co zapłacono by odpowiednie pieniądze, a po drugie, jeśli ktoś wykopie mumię, relikwię czy broń sprzed kilku tysięcy lat, powiedzmy w Egipcie, wszystko to nadal należy do tego kraju i nie można tych rzeczy ot tak sobie wywieźć.

– Poniekąd ma pan rację – przytaknął profesor. – Ale czasy się zmieniają. Kiedyś było tak, jak pan mówi. No, może z wyjątkiem wód eksterytorialnych, gdzie każde znalezisko zawsze należało do tego, kto je odkrył. Teraz wygrywają silniejsi i skuteczniejsi. Wyprawy archeologiczne spod znaku Pretergate obwarowane są tysiącami umów i innych dokumentów. Słowem, to transakcje.

– Jakiego typu?

– Wytlumaczę to panu. Powiedzmy, że jakiemuś rządowi lub organizacji zarządzającej historycznym majątkiem swojego kraju zależy na posiadaniu określonego znaleziska. Dlaczego tego chce? Bo firma Pretergate powiadomiła ich, że wie, gdzie jest na przykład kronika Li Sy, kanclerza chińskiego cesarza Shi Huangdi, zakończona około 215 roku przed naszą erą. I rząd, w tym wypadku chiński, ma do wyboru: zrezygnować, szukać jej niczym igły w stogu siana przez sto lat lub dostać ją na tacy od Pretergate. Co wybierze? Kontrakt z firmą. Oczywiście to duże uproszczenie, ale tak to mniej więcej wygląda.

– Niesamowite...

– Sporo jest wariatów, mitomanów i oszustów proponujących podobne usługi, ale zwykle to amatorzy i łatwo ich rozpoznać. Co do Pretergate, każdy wie, że oni nie żartują. Są bardzo skuteczni. Wydają setki tysięcy dolarów na badania, dochodzenia, nawet na tak zwanych detektywów historycznych. Zatrudniają archeologów, antropologów, historyków, poliglotów, geografów, kartografów, biologów, geologów, etologów i kogo jeszcze się da. A później oferują swoje usługi, najzwyczajniej w świecie sprzedając zgromadzoną wiedzę. Najczęściej nie muszą nawet kopać, a pieniądze dostają za konsultacje.

– Uczą?

– Tak przynajmniej jest napisane w kontraktach. Najdroższa w dzisiejszych czasach jest, panie redaktorze, informacja. Sam pan to zresztą wie.

– Rzeczywiście są skuteczni?

– Niewiarygodnie. Ostatnie trzy lata zdumiały nawet największe autorytety archeologii i historii.

– Nie wzbudzają kontrowersji w środowisku? – Kniewicz był zdumiony. – Etyka zawodowa... dobro kulturowe...

– To już nie te czasy, panie redaktorze. – Profesor uśmiechnął się dobrotliwie. – Przecież i do nas przyjeżdżają konsultanci z wielu krajów wysoko rozwiniętych, doradzają w sprawach produkcji przemysłowej, biznesu, a nawet kultury i biorą za to tak nieprawdopodobne pieniądze, że nie mieści się to w głowie. Pretergate ceni się wysoko, ale bądź co bądź działa dla dobra wiedzy i kultury historycznej, a pieniądze... Cóż, to jeden z najstarszych wynalazków, panie redaktorze. – Czyżewski przerwał na chwilę, aby wypić łyk kawy. – To jednak nie oznacza, że nie są kontrowersyjni. Tyle tylko że z innego powodu.

– Z jakiego? – zainteresował się Adam.

– Ich ostatnie badania i znaleziska... jak by to najprościej powiedzieć... nie mieszczą się w

ramach przyjętych praw historycznych, które są już w zasadzie aksjomatami. Mówiąc wprost, starają się wywrócić do góry nogami część naszej wiedzy archeologicznej i zaprzeczyć od dawna obowiązującym prawom.

– Chyba nie do końca rozumiem. – Kniewicz pokręcił głową.

– Podam panu kilka przykładów. Pretergate wydała ostatnio ogromne pieniądze na badania tak zwanej kuli z Ottosdal. To potrójnie żłobiona metaliczna kula znaleziona w prekambryjskim osadzie datowanym na dwa miliardy osiemset milionów lat! Rozumie pan, co to oznacza? Nie dość, że kula jest metaliczna, to jeszcze ktoś wyłobił na niej trzy równoległe pasy w okresie, kiedy na Ziemi nie istniało żadne inteligentne życie!

– Fałszerstwo? – spytał zdezorientowany Kniewicz.

– Firma przygotowuje dowody i, jak mówili mi koledzy, obalić je będzie szalenie trudno. Ta kula rzeczywiście tam była. Ogłoszą to, opublikują bestseller, sprzedadzą temat prasie i telewizji. W sumie, znowu nieźle zarobią.

– Trzeba im przyznać, że nudni nie są.

– Takich przykładów jest więcej – ciągnął profesor. – Żelazny kubek z Wilburton datowany na trzysta dwanaście milionów lat, czyli sprzed epoki dinozaurów. Narzędzia neolityczne ze wzgórza Tuolumne Table sprzed pięćdziesięciu milionów lat, a więc skonstruowane na czterdzieści dziewięć milionów lat przed pojawieniem się na Ziemi człowieka. Czaszka z Piltdown, szkielet z Liujiang w Chinach, kości z Trenton... jest tego trochę.

Adam wstał z fotela, by podejść do okna i uporządkować sobie wszystko, co usłyszał.

– Skąd jest ta firma? – spytał po chwili, kierując wzrok na profesora.

– Założycielem jest bogaty Hindus, który w latach dziewięćdziesiątych wyemigrował do Australii. Wraz z kilkoma współnikami utworzył firmę i odniósł nieprawdopodobny sukces. Dziś Pretergate ma oddziały niemal na całym świecie, także w Polsce. Zatrudniają najzdolniejszą kadrę i czerpią z tego zyski.

– Skąd my to znamy...

– No właśnie, nasi najlepsi ludzie. Mamy doskonałych antropologów, geografów, poliglotów. Na przykład doktor Karol Meisner może się pochwalić znajomością ponad czterdziestu języków, w tym kilku wymarłych!

– Nieźle... – Adam kolejny raz pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Imponujące, prawda? Ale są tacy ludzie. Sam nieźle znam osiem. Najtrudniej nauczyć się pierwszych trzech, później idzie szybciej. Łacina pomaga opanować większość zachodnich języków europejskich. Hiszpański jest bardzo podobny do portugalskiego, a dzięki temu ma pan z głowy całą Amerykę Południową. W naszym zawodzie przydają się też greka i arabski.

Dziennikarz uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Znam tylko angielski i trochę hiszpański.

– W pańskim zawodzie wystarczy, jeśli dobrze mówi pan po polsku. U nas jest trochę inaczej.

Dziennikarz westchnął niezauważalnie i ponownie zbliżył się do fotela.

– Panie profesorze – zaczął wolno – ta Pretergate finansuje podobno pewne badania medyczne. Wie pan coś o tym?

Profesor zastanawiał się chwilę.

– Jak panu mówiłem, finansują sporo badań. O medycznych... chyba nie słyszałem, ale to możliwe. Z pewnością nie robią tego bezinteresownie. Może podatki? Może do czegoś im to potrzebne? Tutaj panu nie pomogę.

Adam schylił się po szklankę i wypił resztę soku.

– Dziękuję panu za tę rozmowę. Bardzo mi pomoże w... nowym programie.

– Proszę dzwonić, kiedy tylko będzie pan czegoś potrzebował.

– Raz jeszcze dziękuję – powtórzył Kniewicz, ściskając mocno na pożegnanie dłoń profesora.

– Śpisz? – usłyszał Robert.

Głos był znajomy. Należał do kobiety, którą widział już tak wiele razy.

Otworzył oczy i wstał. Znów przed nim stała, uśmiechając się delikatnie. Była tak piękna i dumna, a jej strój – choć z pozoru dziwny i ponad wszelką wątpliwość pochodzący z dalekiego kraju – paradoksalnie był Robertowi bliski, cała jego symbolika natomiast zrozumiała. Rozumiał też język, którym do niego mówiła, mimo że nawet nie wiedział, z jakiego kraju pochodzi; to szczególnie go zdumiewało.

– Musimy jechać – powiedziała cicho.

– Musimy? – Robert popatrzył dookoła. Siedział na łące otoczonej wysokimi górami. Był pewien, że nigdy tu nie był, a jednak to miejsce również było znajome.

– Pokażę ci, gdzie to ukryłam. Tylko ty będziesz znał tajemnicę.

Czechowicz rozejrzał się z niepokojem.

– Dlaczego... tu jestem?

– Kocham cię – oznajmiła kobieta, zamykając oczy.

– Ja też cię kocham... – Robert powiedział te słowa jak w transie.

– Ale musisz odejść. Oboje o tym wiemy.

– Oboje o tym wiemy – powtórzył jak echo.

Kobieta pogładziła go dłonią po policzku.

– Jedźmy już – rzekła smutno, spoglądając za jego plecy. – Nie mogą nas zobaczyć, pospiesz się – ponagliła.

Czechowicz odwrócił się i spostrzegł dwa konie. Podeszedł do jednego z nich i pogłaskał go delikatnie po szyi. Z zadziwiającą lekkością wskoczył na siodło i ściągnął wodze. Kobieta siedziała już na drugim. Wciąż spoglądała smutno, ale tym razem w stronę gór. Jej koń,

podobnie jak jego, był całkowicie czarny, co przejmująco kontrastowało z białą suknią, która opadała aż za strzemiona. Kobieta odrzuciła włosy na plecy i puściła się galopem wzdłuż wąwozu. Robert ruszył za nią. Jechali coraz szybciej, szybciej...

– Ale kiedy?!... – Czechowicz zerwał się z kanapy, na której zasnął przed kilkoma minutami. Chwilę potrwało, zanim się otrząsnął i zapanował nad przyspieszonym oddechem. Otarł pot z czoła i spojrzął na zegarek – piąta po południu. Poprawił koszulę i spodnie. Rozejrzał się. Wciąż był w mieszkaniu, w którym ukryła go Ultra.

Wieczór w parku Saskim był dość chłodny jak na sierpień, ale na niebie nie widać było żadnej chmury, a wiatr tylko lekko poruszał liśćmi na drzewach. Kaczki i gołębie, rozczarowane coraz mniejszą liczbą dokarmiających je ludzi, wypatrywały ostatnich spacerowiczów, poświęcając całą energię na znalezienie jak najpożywniejszej kolacji. Piotr Krentz szedł wolno alejką, jakby sprowadzała go tu jedynie relaksująca przechadzka. Rozpiął swój długi, czarny płaszcz i sięgnął do kieszeni po chusteczkę. Nie mógł się pozbyć męczącego go od kilku dni kataru, i to mimo kilogramów zażywanej witaminy C i disoprolu.

Zatrzymał się na chwilę. Pięćdziesiąt metrów dalej dostrzegł siedzącego samotnie na ławce Tadeusza Malinowskiego, z którym umówił się w tym miejscu. Przysadzisty, niewysoki sześćdziesięciolatek jakby nigdy nie karmił kaczki. Ubrany był podobnie jak Krentz, w płaszcz, tyle tylko że ciemnozielony. Niemal nie zareagował, kiedy pułkownik dosiadł się do niego, całą uwagę poświęcając ptakom.

– Jak leci, Tadziu? – spytał leniwie Krentz i rozparł się na ławce.

– Wszystko w normie. A u ciebie jak zdrowie?

– Lekkie przeziębienie. Przejdzie.

Malinowski obrócił się, aby przyjrzeć się pułkownikowi.

– Wyglądasz na zapracowanego – zawyrokował.

– Takie życie. Zimą zrobię sobie trochę wolnego. To bezpieczne miejsce?

– Tak. Chłopcy wszystko sprawdzili i są w pobliżu. Co się stało? – Rzucił między kaczki kolejny kawałek chleba.

– Nic wielkiego. Potrzebuję rady.

Malinowski uśmiechnął się szeroko.

– Zaczynam się bać. Powinienem?

– Ależ skąd. To wyłącznie przyjacielska pogawędka. – Krentz przerwał na parę sekund, aby przetrzeć okulary. – Jedna z moich agentek – rzekł – spotkała ostatnio... Sil. Pogadały chwilę, ale Sil była chyba trochę zajęta, więc nie mogła poświęcić jej zbyt wiele czasu. Powiedziała jednak kilka rzeczy, które mnie zaintrygowały. Co mam z tym zrobić, Tadziu?

Malinowski niemal nie zareagował.

– Wiesz, że podobno kaczki i gołębie łączą się w pary na całe życie? – spytał poważnie.

– Słyszałem o gołębiach.

- Wśród gołębi potrafię odróżnić samice od samców, ale wśród kaczek...
- Mówią, że te bardziej kolorowe to samce – odpowiedział Krentz. – Odwrotnie jak u ludzi, tu faceci są piękniejsi.
- Zostaw Sil w spokoju, Piotr. Ona robi swoje – rzekł wyważonym tonem Malinowski. – Jeśli zaczniecie jej przeszkadzać, narobicie kłopotów.
- Przyszedłem tu po radę, Tadziu. Co mam z tym wszystkim zrobić? – Pułkownik rozłożył ręce.
- Zostawić to nam. Wy jesteście agencją prezydencką, my rządową. To dotyczy wyłącznie spraw premiera i jego ludzi. Szkoda waszej fatygi.
- Oczywiście – przytaknął Krentz. – Po prostu odniosłem wrażenie, że Sil potrzebuje niewielkiej pomocy, bo w natłoku zadań, jakie jej powierzyłeś, chyba się trochę pogubiła...
- Panuję nad sytuacją, ale dziękuję, że o nas pamiętasz. – Malinowski kolejny raz uprzejmie się uśmiechnął.
- A tak po znajomości... nie poznałbyś mnie z pewnym interesującym człowiekiem? Nazywa się Kamil Kostecki, to psychiatra.
- Jak sam wspomniałeś, to lekarz. Wystarczy do niego zadzwonić. Ponadto jest osobą publiczną, często wypowiada się w telewizji.
- To prawda – przyznał pułkownik. – Tyle tylko że jakoś nie wypowiada się o swoich związkach z pewną grupą zajmującą się na dość dużą skalę eksperymentami medycznymi. A może ty coś o tym wiesz?
- Nie słyszałem o żadnych eksperymentach medycznych.
- Rozumiem – przytaknął Krentz. – Nie będę ci zawracał głowy. W wolnej chwili poradzę się premiera. Wiesz, szefów rządów interesują czasem takie ciekawostki. Niedługo będzie świetna okazja. Jeśli dobrze pamiętam, pojutrze wszyscy jesteśmy zaproszeni na uroczysty koncert w operze.
- Jesteś uroczy, jak zwykle – rzucił chłodno Malinowski.
- Taki zawód, Tadziu. Trzeba ćwiczyć odporność na stres i przykrości. Mnie na przykład szczególną przykrość sprawia, kiedy starzy przyjaciele wciskają mi kit, a później dziwią się, dlaczego nasza przyjaźń się chwieje. Ale cóż, nam chyba coś takiego nie grozi?
- Prywatny Instytut Leczenia Nerwic i Depresji. Ursynów, tuż pod lasem. Więcej nie mogę ci powiedzieć. Ale uważaj, tam śmierdzi kłopotami na kilometr.
- Czego dowiedziała się tam Sil?
- Daj mi dokończyć to, co zacząłem, Piotr. Obiecuję, że jak będę wszystko wiedział, pierwszy się o tym dowiesz.
- Co to za typy? – spytał spokojnie Krentz.
- Ostrożnie z tym. Zanim czegoś tam dotkniesz, sprawdź, jak bardzo parzy. Przysięgam ci, że na razie sam błędę we mgle. To bardzo niebezpieczni i wpływowi ludzie. Tych kilku konowałów to przykrywką. Ale jednego możesz być pewien: Sil jest w porządku.

Krentz odetchnął głęboko. Ponownie wyjął chusteczkę i wytarł nos.

– Mam prośbę – powiedział po chwili.

– Dużo tych prośb jak na jedno spotkanie.

– Pogadaj z gliniarzami, żeby złuzowali trochę Czechowicza.

Malinowski obrócił się raptownie w stronę Krentza.

– Zwariowałeś?! Zginęli ludzie z BOR-u i facet z CBS! Jak to sobie wyobrażasz?!

– On jest czysty, gwarantuję.

– Nawet gdyby tak było, jest ważnym świadkiem.

– Tydzień.

– Nie ma mowy.

– Dostarczę go prosto przed twoje oblicze, słowo.

– Jego ojciec, były prezes DOTOMILU, siedzi w więzieniu. Wyłudzenie podatku VAT, poza tym...

– Wiesz, że to nieważne – przerwał mu pułkownik.

– Tydzień i ani dnia dłużej, ale zostaw Olenę w spokoju.

– Sil jest twoja. Jeśli nie pracuje dla tych lekarzy, z mojej strony nic jej nie grozi.

Malinowski pokręcił głową.

– Oczywiście nie możecie liczyć, że nie będziecie się wpięprzać?

– Na pewno nie będziemy wam przeszkadzać. Sprawy rzecznika nawet nie ruszymy. Interesuje nas tylko Czechowicz.

– A niby jak to sobie wyobrażasz? Oni się przyjaźnią, a cały bałagan zaczął się od ich ostatniego spotkania.

Krentz zajął Malinowskiemu głęboko w oczy.

– Dobrze wiesz, że cały ten bałagan zaczął się dużo wcześniej. Chcesz mi wmówić, że pracujesz nad tym dopiero od chwili porwania rzecznika?

– Piotr, po co mamy sobie wchodzić w drogę?

– Masz rację, po co? I tu, drogi przyjacielu, jest miejsce na współpracę naszych bratnich agencji.

– Uwielbiam twoje nieśmiertelne poczucie humoru. – Malinowski powrócił do karmienia kaczek.

– Nie żartuję, Tadiusz – odezwał się poważnie pułkownik. – Chcę dobrze załatwić tę sprawę.

– Jasne – rzucił z przekąsem Malinowski. – A niby o co innego mogłoby ci chodzić?

Krentz podniósł się wolno z ławki. Rozejrzał się uważnie i podał rękę Malinowskiemu.

– Bądźmy w kontakcie – rzekł, przytrzymując trochę dłużej jego dłoń.

– A jest inne wyjście? – burknął Malinowski.

– Nie ma i dlatego zawsze tak dobrze się rozumiemy.

Major Krzysztof Bauer roześmiał się głośno, opadł na kanapę, na której Piotr Krentz zwykle przyjmował gości, i z animuszem uderzył dłonią w oparcie.

– Rzeczywiście tak ci powiedział? – parsknął, nie przestając rechotać.

– Nie tylko nakierował nas tam, gdzie mamy sobie zrobić wycieczkę, ale jeszcze dał do ręki przewodnik, żebyśmy się przypadkiem nie zgubili – odparł pułkownik.

Bauer wolno poważniał.

– W co on nas pakuje? – spytał z obawą w głosie.

Krentz rozłożył ręce.

– Malinowski nie jest może ideałem, ale nie wygląda mi na kogoś, kto zrobiłby nam tego typu świństwo. Zaufałbym mu.

– Po co to robi?

– Może nie ma wyjścia. Wystawił Olenę na wabia, a my złapaliśmy haczyk. Rozejrzyjmy się uważnie.

– Nie ufałbym mu tak do końca – westchnął Bauer.

– Nikomu nie można ufać do końca. – Pułkownik się uśmiechnął. – Ale można udawać, że tak właśnie robimy. Gdzie Ultra?

– Już tu idzie.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść! – rzucił Bauer.

Agentka śmiało podeszła do biurka Krentza.

– Jak idzie? – spytał prosto z mostu pułkownik.

– Robimy dokumentację.

– A Robert Czechowicz?

– Dostarczyliśmy mu kilkanaście książek, o które prosił, i pracuje. Siedzi na „mecie”.

– Nie musisz już go tak skrzętnie ukrywać. Dogadałem się z Maliniakiem. Mamy około tygodnia.

– Wspaniale – powiedziała agentka. – To bardzo pomoże.

– Wiem, ale uważaj. Nie tylko gliniarze go szukają.

Ultra ze zrozumieniem pokiwała głową. Przy okazji zerknęła w stronę Bauera, który próbował wyjąć z kieszeni paczkę papierosów, ale skarcony spojrzeniem przez Krentza szybko ją schował.

Pułkownik wyciągnął z szuflady notatnik i wolno go otworzył.

– Dowiedz się wszystkiego, co możesz, o Prywatnym Instytucie Leczenia Nerwic i Depresji na Ursynowie – rzekł po chwili. – A później przejdź się tam. Tylko nie wymachuj żadną legitymacją, a tym bardziej spluwą. Wymyśl coś i postaraj się za bardzo nie zapaść im w pamięć.

– Tak jest.

– Jakies pytania?

– Czy Kniewicz?...

– To twoja sprawa – przerwał jej pułkownik.

– Rozumiem. Odmeldowuję się.

Dziewczyna zniknęła za drzwiami. Krentz spojrział na rozradowanego Bauera.

– No i czego rechoczesz?

– Alergię masz na tego Kniewicza, czy co? – Major ponownie się roześmiał. – Chłopak zawsze był wobec nas w porządku.

Pułkownik zwiesił głowę.

– Jasne, ale widzisz, Krzysiu, od roku, na przykład gdy otwieram własną lodówkę, mam takie lęki, że znajdę go w środku. I trochę mi to przeszkadza.

Bauer ukrył twarz w dłoniach, próbując bezskutecznie spoważnieć.

– Idź stąd, nie denerwuj mnie! – burknął pułkownik. Nie czekając na dalsze zachęty, major poderwał się z kanapy.

– Miłego dnia – rzucił w drzwiach, po czym zatrzaskał je, ratując się przed kolejnym wybuchem śmiechu.

ROZDZIAŁ 6

Robert Czechowicz był tak pochłonięty lekturą, że dopiero po kilku sekundach zwrócił uwagę na zgrzytający w zamku klucz. Drzwi się otworzyły i do mieszkania weszła Ultra, a moment później Adam, który dźwigał sporą paczkę związanych gazet.

– Jak idzie? – spytał Kniewicz, rzucając pod ścianę toból z prasą.

– Już kończę, chodźcie tutaj – odparł lekarz.

– Za chwilę! – krzyknęła z kuchni Ultra. – Ktoś chce herbaty?

– Ja coli – rzekł Czechowicz.

Adam machnął tylko dziewczynie, aby niczego mu nie nalewała, i usiadł przy stole obok Roberta.

– No, to co takiego ciekawego jest w tej hipnozie, panie doktorze? – spytał, przyglądając się książkom rozłożonym na blacie.

Czechowicz wzruszył ramionami.

– Czytam o tym od dobrych kilku godzin i niczego podejrzanego nie widzę. To bardzo pożyteczna metoda terapeutyczna i relaksacyjna, całkowicie bezpieczna dla pacjenta. Chyba nie tędy droga. Jolka musiała coś pokręcić.

– Niemożliwe – zaproponowała Ultra, stawiając na stoliku szklanę z colą. – Coś w tym musi być.

– Byłeś im do czegoś potrzebny – potwierdził dziennikarz. – Coś tam z tobą robili. Z jakiegoś powodu ryzykowali układ z tą całą Sil.

– Sprawdziłeś, czy nie masz śladów igieł lub cięć? – zapytała Ultra.

– Kilkakrotnie. Jestem czysty na sto procent. Żadnych iniekcji, uszkodzeń naskórka, nic.

Adam rozłożył ręce.

– Sam już nie wiem.

– No dobrze. – Agentka podsunęła sobie fotel i usiadła przy stoliku naprzeciw Roberta. – Opowiedz w skrócie, o co tu chodzi. Tylko bez tego bełkotu z amerykańskich horrorów. Co można zrobić z pacjentem za pomocą tej hipnozy?

– Posłuchajcie. – Czechowicz sięgnął po szklanę i wypił łyk coli. – Normalnie umysł człowieka funkcjonuje tak, aby cały czas analizować, porównywać, dostosowywać, zapamiętywać i tak dalej. Dzięki temu mamy określone nawyki, zwyczaje, zasady. Czegoś się wstydzimy, czegoś boimy, czegoś nie lubimy, a coś tam sprawia nam niezwykłą przyjemność. To proste.

Agentka i dziennikarz pokiwali głowami.

– Hipnoza – kontynuował Robert – wprowadza ośrodkowy układ nerwowy w stan tak wielkiej relaksacji, że wyzwala go z większości tych cech.

– To znaczy? – spytała rzeczowo Ultra.

– To znaczy, że umysł zahipnotyzowanego przestaje być psychicznym i obyczajowym cenzorem swojego właściciela, „zapominając” o większości nawyków.

– Jak to się objawia?

– Mówiąc możliwie najprościej, umysł jest tak rozleniwiony i odprężony, że nie chce mu się korzystać z własnych zasobów i przyjmuje niemal każdą sugestię z zewnątrz. Przykładowo, jeśli tysemu każesz się ładnie uczesać, będzie się czesał z przekonaniem, bo jego umysł zapomniał, że człowiek ten nie ma na głowie choćby jednego włosa. Zahipnotyzowany, który śmiertelnie boi się psów, będzie bez najmniejszej obawy przytulał wkurzonego rottweilera, jeśli tylko prowadzący mu to zasugeruje. Rozumiecie, o co chodzi?

– Czyli takiej osobie można wmówić wszystko! – podsumowała agentka.

Czechowicz uśmiechnął się i pokręcił głową.

– O to właśnie chodzi, że nie. Istnieją w nas wrodzone instynkty, których nawet hipnoza nie jest w stanie wymazać. Należy do nich na przykład instynkt przetrwania. Zdrowego człowieka nawet w hipnozie nie da się zmusić do popełnienia samobójstwa albo do wyjścia na ulicę i zabijania, dajmy na to, wszystkich wyglądających na prostytutki kobiet w krótkich spódniczkach.

Adam spojrział na Ultrę, jakby oczekiwał jakiegoś wyjaśnienia.

– Nie wiem. – Agentka wzruszyła ramionami. – To tylko książki. Może ci lekarze wpadli na coś, o czym nikt nie ma jeszcze zielonego pojęcia. Szukają ludzi słabych, uległych, niedojrzałych, którzy stanowią większość klienteli psychiatrów.

– Robert nie pasuje do takiego wzorca – zauważył Kniewicz.

– I dlatego Sil odurzała go prochami – odparła dziewczyna.

– To nie ma sensu. – Dziennikarz pokręcił głową. – Mają tylu pacjentów pod ręką, a ryzykowałiby przestępstwo na lekarzu?! Z jakiegoś powodu musi im chodzić o konkretne osoby.

– Co ty o tym sądzisz? – spytała agentka Czechowicza.

– Nie macie racji.

– W czym?

– To, czy ktoś ma silny czy słaby charakter, nie ma z punktu widzenia hipnozy znaczenia.

Zaradni, niezaradni, łatwowierni, niedowiarki... to bez różnicy. Zasada Ochorowicza.

– To znaczy? – zainteresował się dziennikarz.

– Pod koniec XIX wieku doktor Julian Ochorowicz sformułował zasadę mówiącą o tym, że oczekiwanie na reakcję organizmu na bodziec przyspiesza tę reakcję, niezależnie od wiary czy nastawienia.

– Oczekiwanie na ziewnięcie szybko spowoduje ziewnięcie.

– Właśnie. Ciężko coś takiego przezwyciężyć. To się nazywa ideoplastia. Podobnie jest z hipnozą. Charakter, światopogląd czy dojrzałość psychiczna nie mają znaczenia, jeśli chodzi o podatność na nią. Bodźce powodujące zapadanie w sen hipnotyczny będą działały równie skutecznie.

– Każdego można bez problemu wprowadzić w trans? – spytała dla porządku Ultra.

– Teoretycznie tak, chociaż o podatności na tego typu relaksację decyduje kilka czynników. Nie tych jednak, o których mówiliście. Część ludzi poddaje się temu łatwiej, część trudniej, ale jeśli nie chcesz, nikt cię nie zahipnotyzuje. Wystarczy, że nie będziesz wykonywała poleceń.

Adam wstał, włożył ręce do kieszeni i przeszedł się po pokoju.

– No dobrze – powiedział po chwili. – Załóżmy, że dam się wprowadzić w trans, a hipnotyzer zakoduje mi w podświadomości jakiś wyraz lub hasło, na które po obudzeniu będę reagować w sposób zasugerowany podczas seansu.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – skrzywił się Robert.

– Pamiętasz taki stary film z Charlesem Bronsonem? Miał chyba tytuł *Telefon*. Facet dzwonił do osób „zaprogramowanych” wcześniej podczas hipnozy, czytał im fragment wiersza, który ich podświadomość zapamiętała, i zmuszał do robienia różnych dziwnych rzeczy.

– Bzdury.

– Jesteś pewien?

– Już wam mówiłem. Tego typu zmuszanie, programowanie czy inne cuda, które widziałeś na filmach, nie są możliwe.

– W porządku. – Dziennikarz podniósł ręce, jakby chciał dać do zrozumienia, że się poddaje. – A te całe halucynacje, o których prawdopodobnie wszyscy słyszeliśmy? Oglądałeś chyba ten film na Discovery?

– To zupełnie inna sprawa. Jest coś takiego jak halucynacje pozytywne i negatywne. Można na przykład zasugerować pacjentowi, że trzyma na kolanach puszystego kotka, a on będzie przekonany, że to prawda. Będzie go głaskał i przytulał, choć w rzeczywistości zwierzę nie istnieje.

– Niezłe. – Agentka roześmiała się. – Podoba mi się.

– Efektowne, ale do niczego się nie przydaje – podsumował Czechowicz.

– Nie bądź taki pewien – zaproponowała Ultra. – Jeśli moja robota nauczyła mnie

czegokolwiek, to tego, jak bardzo niewiele jest rzeczy niemożliwych. Nie masz pojęcia, ile nieoczekiwanych zjawisk i niepraktycznych z pozoru przedmiotów wykorzystują przestępcy.

Robert wypił resztę coli, po czym postawił szklanke na stole trochę głośniejszą, niż zamierzał.

– Streściłem wam mniej więcej to, co najważniejsze – oznajmił po chwili. – Co teraz robimy?

– Przejdziemy się tam – rzekła spokojnie agentka.

– Chyba żartujesz? – Czechowicz otworzył szeroko oczy.

– Wręcz przeciwnie.

Lekarz obrócił się w stronę Kniewicza.

– Ma rację – potwierdził dziennikarz. – Inaczej niczego się nie dowiemy.

– Chcecie mnie tam zabrać?

– Tak – odparła agentka.

– Przecież oni mnie tam znają!

– Ale nie wiedzą, że ty znasz ich – zauważył Adam. – Nigdy nie byłeś tam z własnej woli, nie pamiętasz żadnej z tych wizyt. Zawsze zabierali cię nieprzytomnego, niczego się nie domyślą.

Czechowicz potarł nerwowo czoło ręką.

– Jak chcecie to zrobić?

– Spokojnie. – Ultra uśmiechnęła się. – Wszystko ci powiemy. Jeszcze coli?

Kawiarenka mieściła się przy niewielkiej uliczce, jakieś trzysta metrów od głównego rynku w Nowym Targu. Na zewnątrz stały zaledwie trzy stoliki, ale o tej porze to zdecydowanie wystarczało. O jedenastej przed południem klientów było tu jak na lekarstwo i mimo słonecznej pogody tylko dwa zewnętrzne stoliki były zajęte. Przy jednym z nich starszy pan popijał spokojnie kawę, przeglądając gazety. Przy drugim młoda, atrakcyjna kobieta sączyła gin z tonikiem. W środku było kilka osób, ale większość stanowili tubylcy, najczęściej pozbawieni pracy lub stałego zajęcia. Pili piwo „na krechę”, żyjąc nadzieją, że gospodarzowi wystarczy cierpliwości do lepszych czasów.

Do stolika, przy którym siedziała kobieta, dosiadł się elegancki czterdziestolatek. Nie wyglądał na kogoś, kto pochodzi z tych stron, a jego twarz zdradzała nie tylko znużenie, ale i rozdrażnienie. Krytycznie spojrzął przez szybę na pijących w środku, po czym przysunął się bliżej. Teczke, którą miał ze sobą, położył obok krzeselka.

– Jak leci, Sil? – spytał obojętnie kobietę, która sprawiała wrażenie, jakby w ogóle nie zwróciła uwagi na nowego towarzysza.

– Świetnie – odparła chłodno, nadal wpatrując się w drinka. – Co mam robić?

– Zniknąć na pewien czas. Trochę narozrabiałaś i musi się uspokoić.

– Wszystko jest w porządku. Nie wiem, o co ci chodzi. – Dopiero teraz spojrzała na

mężczyznę.

Do stolika podszedł młody chłopak, by przyjąć zamówienie.

– Wodę sodową proszę – mruknął elegancik. Począł, aż kelner zniknie za drzwiami, a następnie znowu zwrócił się w stronę kobiety. – Wkurzyłaś szefa.

– Nie rozumiem. – W oczach Sil dało się zauważyć cień niepokoju.

– Przestraszył go Krentz. Przyszedł i zaczął wywijać kajdankami dla ciebie.

Kobieta nie odpowiedziała. Pociągnęła kolejny łyk ze szklanki i zamknęła na chwilę oczy.

– Co to była za historia z Ultra, lekarzem i tym Kniewiczem? – spytał elegancik.

– Zaskoczyli mnie, ale opanowałam sytuację. Wykonałam rozkaz. Tak jak planowaliśmy, wcisnęłam im tę klinikę i zniknęłam.

– Za wcześnie. Miałaś, do cholery, czekać na sygnał.

Sil nie dała po sobie poznać zniecierpliwienia.

– Co miałam robić? Pojawili się nagle w mieszkaniu, trzeba było szybko reagować. W ten sposób stało się to nawet bardziej wiarygodne.

– Ale wzmogło czujność Krentza.

– Kupili to. Wszystko jest w porządku. Powiedz szefowi, że nie musi się niczym martwić.

Przerwali na moment, widząc, że zbliża się do nich kelner. Postawił na stoliku szklankę z wodą. Elegancik odczekał jeszcze chwilę, a potem powiedział spokojnie:

– Będziemy w kontakcie. Na razie znikasz.

– Powiedz mu – rzekła z naciskiem – że wszystko jest pod kontrolą.

– To się okaże – odparł mężczyzna, nie zmieniając obojętnej miny. – Na razie poobserwujemy, jak pójdzie ludziom pułkownika.

– Co robi Ultra?

– Chyba szykuje wycieczkę do instytutu.

– A lekarz?

– Nic mu nie jest. Zluzowaliśmy go trochę, a gliniarze mają dać spokój na kilka dni. Jak on, do cholery, dotarł do Ultry?!

– Nie mam pojęcia. – Sil mocno zacisnęła dłoń. – Zastanawiałam się nad tym już tysiące razy.

– Wiesz, co będzie, jak wyjdzie na jaw, że narażałaś cywila?! Po cholere mówiałaś im o jego wizytach w instytucie?! – Elegancik podniósł głos, ale szybko się opanował.

– Bo tak było trzeba! – syknęła z naciskiem. – Nie wiedziałam, czego się dowiedzieli, i nie mogłam ryzykować. A ty jak byś się zachował, gdyby któregoś dnia twój klient zjawił się w drzwiach z Ultra pod pachą?! Do tego jeszcze ten dziennikarz! Mogli mnie i całą akcję załatwić na amen, a teraz jeszcze nie wszystko stracone. Na przekonanie ich miałam pięć minut!

– Uspokój się! – Mężczyzna położył znacząco rękę na jej dłoni. – Nie chcę, żeby ktoś

zaczął się nam przyglądać.

Sil nabrała głęboko powietrza w płuca. Potarła delikatnie palcami czoło i ostrożnie się rozejrzała.

– Jedź do Rabki i zostań tam – dodał agent po kilku sekundach. – Skontaktuję się z tobą.
– Szybko wstał, wziął teczkę i odszedł w stronę rynku.

Sil dokończyła drinka, położyła na stoliku trzydzieści złotych i również wstała.

– Pieprzona Ultra! – warknęła przez zęby, ruszając w przeciwnym kierunku niż elegancik.

Andrzej Korwin zapukał do gabinetu Wasylyszyna już trzeci raz w ciągu ostatniej godziny.

– Znowu dzwonili – rzucił od progu.

– Wejdz – mruknął znad biurka profesor, przeglądając jakieś papiery.

– Co z nimi zrobimy? – spytał Korwin. – Ciągłe chcą rozmawiać z panem.

Wasylyszyn podniósł wzrok.

– Trzeba im pozwolić przyjść.

– Jak to? – zaniepokoił się doktor.

Profesor pokręcił głową.

– Nie możemy wzbudzać podejrzeń. Jeśli dziennikarze chcą obejrzeć instytut, nie wolno zachowywać się jak ktoś, kto ma cokolwiek do ukrycia.

Korwin usiadł powoli na krześle. Jego spojrzenie wskazywało, że intensywnie analizuje za i przeciw. Profesor, widząc zafrasowanie asystenta, wypogodniał i spokojnie podał mu paczkę papierosów.

– Nie, dziękuję. – Korwin pokręcił głową.

– Przypomnij mi, co to za ludzie.

– Adam Kniewicz, ten facet z telewizji, jakaś jego koleżanka z redakcji i konsultant medyczny.

– Mówiłeś, że to Czechowicz...

– Właśnie, tego się boję najbardziej. Gdzie oni go dorwali?

Wasylyszyn uniósł dłoń, ponownie uspokajając Korwina.

– On niczego nie pamięta i nie ma pojęcia, że kiedykolwiek tu był. Oddzwoń i powiedz, że mogą zwiedzić instytut, a ty ich oprowadzisz. Niech ten Gorec ma na nich oko i szybko się ich pozbądźmy. Daj delikatnie do zrozumienia, że kręcić nie mogą, ponieważ nasi pacjenci sobie tego nie życzą.

Doktor wciąż nie wyglądał na przekonanego.

– A jeśli to nie jest przypadek? Jeśli rzeczywiście czegoś się dowiedział i teraz ściąga tu pismaków?

– To niczego nie udowodni. Dziennikarze zobaczą wzorową poradnię dla osób z problemami depresyjnymi i wyjdą zachwyceni. Co z tą wynajętą przez Gorca kobietą?

– Powiedziała, że musi wyjechać na tydzień, aby uniknąć kłopotów z szefami. Ona nic nie powie. Za dobrze jej płacimy, a poza tym raczej nikt by jej nie uwierzył. Gorec ma ją w garści: to była policjantka, obecnie pracująca w jakiejś firmie ochroniarskiej.

Tym razem profesor spoważniał, a jego twarz ponownie stała się surowa.

– A co ona wie?

– Tylko to, co dotyczyło Czechowicza. Jest w to wplątana i nie sądzę, aby ryzykowała, mówiąc mu cokolwiek. To ona podawała mu haerotex.

Wasyłyszyn zamyślił się.

– Nigdy jej tu nie przywoźcie.

– Oczywiście – potwierdził szybko Korwin.

– Czy ona wie coś o ostatnich kłopotach Czechowicza?

– Pewnie tak, udawała jego dziewczynę.

– Jak na to zareagowała?

– Trochę się wystraszyła, ale Gorec ją uspokoił. Mimo wszystko chciała wyjechać. Myślę, że dopóki jest przestraszona, nie będzie z nią najmniejszych kłopotów. W razie czego nasi chłopcy zadbają, aby wszystko było w porządku.

– Nie chcę o tym słyszeć.

Korwin po raz pierwszy tego dnia się uśmiechnął.

– Nie musi się pan niczym martwić, profesorze.

– Nie jestem przekonany – mruknął pod nosem Wasylyszyn. – Ale chwilowo to nieważne. W każdym razie dobrze pilnujcie tych dziennikarzy.

Budynek przypominał małą, ale dość nowoczesną dwupiętrową szkołę lub niewielki biurowiec. Stał na granicy lasu otoczony dość wysokim płotem. Ściany z jasnobrązowych metalicznych płyt wyglądały solidnie i wzbudzały zaufanie. Przed wejściem rozciągał się dość duży trawnik z kilkoma ławeczkami, urządzone na kształt parku. Wysypane drobnym żwirem alejki przecinające trawę były zadbane, a ławki przykładnie odmalowane. Napis nad wejściem budynku – Prywatny Instytut Leczenia Nerwic i Depresji – nie był zbyt wielki, jakby projektant chciał zachować subtelną skromność i szacunek dla pacjentów. W środku Ultrę, Adama i Roberta zaskoczył przyjazny, niemal domowy wystrój w żadnym wypadku nie przypominający szpitalnego. Uśmiechnięta sekretarka czekała już na nich przy swoim stoliku kilka metrów od wejścia, po prawej.

– Dzień dobry państwu. – Przywitała ich uprzejmym ukłonem, wstając z krzesła. – Proszę spocząć na kanapie, doktor Korwin zaraz po państwa przyjdzie.

– Pusto tu trochę u was – zauważył Czechowicz.

Na korytarzu nie było żywej duszy.

– Jest wczesne popołudnie, a pacjenci umawiani są na konsultacje zwykle od godziny drugiej – odpowiedziała sekretarka. – W tej chwili odbywają się zajęcia tylko ze stałymi

pensjonariuszami.

Czechowicz skinął głową ze zrozumieniem. Ultra czujnie się rozglądała, Adam więc – sprawiający wrażenie lekko znudzonego – usiadł na kanapie i pociągnął lekko agentkę za bluzkę, dając jej do zrozumienia, by nie rzucała się zbyt w oczy. Dwadzieścia metrów od nich niemal bezszelestnie otworzyły się jasnobrązowe drzwi po prawej stronie korytarza i pojawił się w nich wysoki czterdziestolatek w białym fartuchu. Raźnie podążył w ich kierunku.

– Andrzej Korwin – przedstawił się, wyciągając rękę najpierw do Ultry, a następnie do Adama i Roberta.

Kniewicz wstał, aby podać dłoń lekarzowi.

– Adam Kniewicz z TVP, to moja asystentka Anna Rosłoniak, a to doktor Robert Czechowicz, współpracujący z nami konsultant, który pomoże nam zrozumieć, o co tu właściwie chodzi. – Dziennikarz uśmiechnął się.

– Pan jest psychiatrą? – spytał uprzejmie Korwin, zwracając się do Roberta.

– Nie. – Czechowicz uważnie przyjrzał się rozmówcy, usiłując znaleźć najmniejszą choćby przesłankę potwierdzającą, że się kiedykolwiek widzieli. – Pomagam panu Kniewiczowi, starając się tłumaczyć na język przeciętnego widza tajniki różnych dziedzin medycyny.

Twarz psychiatry była niezmiennie spokojna, wręcz beznamiętna.

– To nie jest program dla specjalistów – pospieszył z pomocą Adam.

– Oczywiście. – Korwin wskazał ręką korytarz, zapraszając gości do zwiedzania.

Szli chwilę w milczeniu, mijając kolejne plakaty reklamowe rozwieszane na ścianach. Po kilkudziesięciu metrach korytarz skręcał w prawo. Korwin doprowadził ich do windy, po czym zatrzymał się, wcisnął guzik i raz jeszcze zwrócił się do Adama.

– Pan raczej specjalizuje się w programach politycznych, prawda? – spytał, przyglądając się uważnie dziennikarzowi.

– Specjalizuję się w tematyce społeczno-politycznej – poprawił go Kniewicz. – Depresja to dziś choroba społeczna, zgodzi się pan ze mną?

– Niestety – przyznał psychiatra, kiwając głową.

Winda przyjechała. Korwin otworzył drzwi, wpuścił wszystkich do środka, wszedł i nacisnął guzik z dwójką.

– Przez telefon mówił pan, że chce się zapoznać z naszymi metodami – upewnił się psychiatra, nie spuszczając wzroku z Adama.

– Z tego, co wiemy, wasze metody są bardzo interesujące i... nowoczesne. – Dziennikarz uśmiechnął się. – Oczywiście, jeżeli to możliwe, chcielibyśmy zwiedzić ośrodek.

Winda zatrzymała się na drugim piętrze.

– To, co nie narusza dóbr pacjentów, przekażemy państwu najlepiej jak potrafimy. – Korwin otworzył drzwi, aby wypuścić gości.

Korytarz na drugim piętrze był zdecydowanie jaśniejszy. Większość powierzchni po prawej stronie stanowiły okna, z zewnątrz widoczne jako brązowe płyty. Po lewej co kilka metrów widać było drzwi, wszystkie zamknięte. Panowała niemal idealna cisza.

Korwin wkroczył do jednego z pomieszczeń i ruchem ręki poprosił gości, aby weszli za nim. Kremowoniebieski pokój, idealnie czysty i – jak się okazało po zamknięciu drzwi – wspaniale wyciszony, zrobił na nich duże wrażenie.

Nie było tu żadnych mebli oprócz białej kozetki, na której leżał wełniany koc, oraz obszernego fotela o regulowanym nachyleniu oparcia. Jasnoniebieski antystatyczny dywan pokrywał całą podłogę.

Doktor Korwin ustawił się naprzeciw gości i odczekał chwilę, aż wszystko dokładnie obejrzą.

– To jeden z pokoiów nazywanych przez nas „gościnnymi” – oznajmił. – Trafiają tu pacjenci z rozpoznanymi nerwicami, zaburzeniami depresyjnymi lub innymi schorzeniami wymagającymi psychoterapii torowej.

Kniewicz skinął głową.

– Mógłby pan wytłumaczyć, na czym polega „terapia torowa”? – spytał, sprawdzając ręką twardość kozetki.

– Oczywiście – odpowiedział Korwin z uśmiechem. – Umownie nazywamy tak dostosowanie metod leczenia do konkretnego przypadku. Zwykle po wizycie u psychiatry pacjenci otrzymują leki i odsyłani są do domów. Następna wizyta odbywa się mniej więcej miesiąc później i na tym leczenie się kończy. My postępujemy inaczej.

Ultra zerknęła w stronę Roberta, sprawdzając, czy się jakoś trzyma, ale jego kamienny wyraz twarzy uspokoił ją.

– Na parterze tego budynku, w zwykłych gabinetach, odbywamy pierwsze spotkania z potencjalnymi pacjentami. Po wstępnym rozpoznaniu, które trwa czasem dość długo, przypisujemy tak zwany wstępny tor działań. Obejmuje on nierzadko współpracę z lekarzami innych specjalności i, oczywiście, psychologami. Zdarza się nawet, że pacjenci zostają u nas kilka lub kilkanaście dni. Pokój, w którym się znajdujemy, służy do spotkań z psychoanalitykiem.

– Imponujące – przyznał Czechowicz, choć bez cienia emocji.

– Dziękuję – zrewanżował mu się Korwin. – Nasze metody mają starannie opracowany harmonogram. Bez przerwy obserwujemy postępy pacjenta i dostosowujemy do nich dalsze poczynania, równoważąc oddziaływanie farmakologiczne, psychoterapeutyczne...

– Hipnozę? – dopowiedziała nieśmiało Ultra.

– Tak, pani redaktor. – Korwin się uśmiechnął. – Domyśliłem się, że to głównie będzie państwa interesować. Postaram się jeszcze o tym dokładniej opowiedzieć. Proszę za mną.

Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Ultra, Kniewicz i Czechowicz raz jeszcze uważnie rozejrzeli się po pokoju, a następnie podążyli za nim. Minęli kilkoro drzwi, gdy Korwin

otworzył kolejne, poczekał, aż wejdą do środka, i zamknął je za sobą.

– To jeden z wielu naszych gabinetów lekarskich. Jak wspominałem, nie interesuje nas działanie wycinkowe. Nie ograniczamy się do podawania leków i odsyłania chorych do domu. W tym miejscu nasi pacjenci mogą liczyć na pełną opiekę medyczną. Depresja często wiąże się, jak pewnie doskonale pan wie – tu wskazał Czechowicza – z różnego rodzaju dolegliwościami, takimi jak duszności, zaburzenia akcji serca, kłopoty z przewodem pokarmowym czy zawroty głowy. Tutaj odpowiedni specjaliści, równoległe z naszymi działaniami, prowadzą leczenie indywidualne dostosowane do konkretnych przypadków.

Pomieszczenie niczym nie różniło się od zwykłych gabinetów lekarskich w przychodniach, tyle tylko że raczej tych dla zamożniejszych klientów. Czechowicz obejrzał uważnie szafkę z lekarstwami, przebiegł wzrokiem po biurku oraz kozetce i ponownie skupił się na opowieści Korwina.

– Jesteśmy przygotowani na wszelkie sytuacje – ciągnął psychiatra. – Możemy wykonać w tym budynku EKG, EEG, ERM, USG i oczywiście badania krwi. Jak więc państwo widzą, jesteśmy niemal całkowicie samowystarczalni.

– To niezwykle, biorąc pod uwagę sytuację naszej służby zdrowia – wtrącił Kniewicz.

– Pragniemy uchodzić za chlubny wyjątek – oświadczył dumnie Korwin. – W Polsce jest już sporo prywatnych ośrodków na dość wysokim poziomie, ale to wciąż kropla w morzu potrzeb. Wszystko jest kwestią...

– Pieniędzy? – podsunęła nieśmiało Ultra.

– Myślałem raczej o odpowiednim podejściu do problemu i właściwym systemie pracy. – Lekarz uśmiechnął się. – Ale oczywiście finanse stanowią niebagatelny element.

– Jeśli to nie tajemnica... z czego się utrzymujecie? – Dziewczyna zrobiła niewinną minę, idealnie wczuwając się w rolę początkującej dziennikarki.

– Mamy kilku hojnych sponsorów, jednak bez ich zgody nie chciałbym się zagłębiać w ten temat. W miarę możliwości staramy się chronić ich interesy. Dokumenty dotyczące finansów są do wglądu wyłącznie dla odpowiednich służb kontrolnych. Prasie ich nie udostępniamy. Ponadto nie ukrywamy, że nasze usługi nie są tanie.

– Spodziewam się – rzekł Kniewicz. – Jesteście także ośrodkiem badawczym?

Pytanie to, wbrew oczekiwaniom całej trójki, nie zmieniło pogodnego wyrazu twarzy Korwina.

– Naszą ambicją jest stałe ulepszanie metod – przyznał. – Prowadzimy różnego rodzaju badania, ale nie sądzę, żeby specjalnie zainteresowały one państwa widzów.

– Niech pan chociaż zdradzi, w jakim kierunku prowadzicie te badania – poprosiła przemile Ultra, wciąż uśmiechając się od ucha do ucha.

Obserwując agentkę, Kniewicz z trudem zachowywał powagę. Kątem oka dostrzegł zamyśloną twarz milczącego od dobrych kilku minut Roberta.

Czechowicz sprawiał wrażenie, jakby nie słuchał rozmowy; uważnie lustrował wzrokiem

całe pomieszczenie. Jego nastrój zaniepokoił dziennikarza. Mógł zdradzić prawdziwy cel ich wizyty, a co najgorsze, rzeczywistą wiedzę o swoich związkach z tym miejscem.

– Właśnie! – wtrącił rezolutnie Adam. – Pan nam opowie o badaniach, a doktor Czechowicz pomoże zrozumieć to wszystko. Prawda, panie doktorze?

– Oczywiście. – Robert wyrwał się z zamyślenia. Na szczęście miał już pogodniejszą minę.

Korwin uśmiechnął się tajemniczo.

– No dobrze – rzekł, kiwając głową. – Jeśli mają państwo ochotę słuchać nudnych wykładów skromnego naukowca, służę.

– Nigdzie nam się nie spieszy – upewnił go Kniewicz.

– Zdaje pan sobie sprawę, że nie możemy wpuścić tu kamer?

– Powiadomiono mnie o tym.

– Będzie pan zdany na osobistą relację.

– Wiem i dlatego staram się jak najdokładniej poznać wszelkie wasze sukcesy.

Korwin zatrzymał na chwilę wzrok na Adamie, po czym znowu szeroko się uśmiechnął.

– W takim razie zapraszam do pokoju, w którym wygodniej nam będzie rozmawiać. – Otworzył drzwi, dając uprzejmie do zrozumienia, żeby szli za nim.

Na korytarzu sięgnął do kieszeni po telefon. Ultra, udając zainteresowanie zupełnie czym innym, uważnie słuchała tego, co mówi.

– Idziemy do was... Wiem... Wszystko gotowe?... Nie przerywajcie... No, cześć. Proszę za mną! – zwrócił się do całej trójki.

Droga była dość długa i kręta. Musieli zejść piętro niżej i kilkakrotnie skrócić różnej wielkości korytarzami, zanim dotarli do ciemnoniebieskich drzwi. Zatrzymali się na znak lekarza.

– Proszę teraz o ciszę – rzekł Korwin poważnie. – W tej chwili za tymi drzwiami prowadzone jest badanie za pomocą hipnozy. Pani Zofia, która zgodziła się na państwa wizytę, jest w transie. Proszę wolno i jak najciszej wejść za mną i niczego na razie nie mówić. Czy wszystko jest dla państwa jasne?

Przytaknęli. Korwin otworzył wolno drzwi i dał znak, aby szli za nim. Kiedy znaleźli się w pomieszczeniu, psychiatra zamknął je ostrożnie. Panował tu półmrok, więc przez chwilę ich oczy przyzwyczajały się do nowych warunków. Sala była dość duża, miała około pięćdziesięciu metrów kwadratowych. Zaciągnięto ciężkie kotary. Słabutkie światło dochodziło tu wyłącznie z dwóch lampek umieszczonych naprzeciwko siebie na ścianach. Tuż obok drzwi stało kilka krzeseł. Korwin wskazał je gościom, dając znak, by usiedli. W głębi na fotelu siedziała z zamkniętymi oczami czterdziestokilkuletnia kobieta w skromnej jasnej sukience. Przy fotelu stał lekarz w fartuchu. Z tej odległości Adam, Ultra i Robert nie widzieli dokładnie jego twarzy, szczególnie że stał bokiem do nich. Na oko był w wieku pacjentki. Drugi lekarz, siedzący na krześle kilka metrów dalej, przyglądał się uważnie

badaniu, ale chyba nie uczestniczył w nim. Być może był praktykantem, na co wskazywałby jego młody wiek.

– Nie lubiłaś Anny? – spytał cicho lekarz.

– Bałam się jej – odpowiedziała pacjentka.

– Jak się czułaś, kiedy dowiedziałas się, że nie będzie już z tobą mieszkać?

– Byłam... nie wiem...

– Nie bój się. Jej tu nie ma.

Na twarzy kobiety pojawił się grymas wysiłku.

– Ona nie da mi spokoju...

– Posłuchaj, Zosiu. Anna nie wróci i nie będzie cię już niepokoić. Jesteś silna i samodzielna. Nie będziesz już się jej bała. Twój strach nie ma podstaw.

– Mój strach nie ma podstaw...

– Twój strach nie ma podstaw.

– Mój strach nie ma podstaw...

– Nie będziesz już się tego bała.

– Nie będę już się tego bała.

– Nie będziesz już się tego bała.

– Nie będę już się tego bała.

– Zosiu...

– Tak?...

– Przed chwilą dołączyli do nas goście.

– To bardzo miłe.

– Pani Maria, pan Wiesław i pan Włodek. Przyszedł też doktor Korwin. Wezmę cię pod rękę i podejdziemy przywitać się z nimi.

– Z przyjemnością.

Lekarz pomógł wstać pacjentce, a następnie podszedł z nią do Ultry, Adama i Roberta. Kobieta wyciągnęła rękę, aby się przywitać. Lekko uściśnęła dłoń każdego z gości, uśmiechając się szeroko.

– Niesamowite... – wyszeptał Kniewicz.

Korwin zdecydowanym ruchem przypomniał mu, aby się nie odzywał. Lekarz prowadzący oparł dłoń na ramieniu pacjentki.

– Pani Maria, pan Wiesław i pan Włodek muszą już iść – powiedział spokojnie, dając równocześnie znak gościom, żeby nie ruszali się z miejsca. – Pożegnajmy ich.

– Do widzenia – szepnęła pacjentka, kłaniając się lekko.

Psychiatra dał znak, że goście mogą się odezwać.

– Do widzenia – mruknęli nieśmiało.

Korwin podszedł do drzwi, otworzył je i po chwili zamknął.

Lekarz prowadzący usiadł na krześle obok Roberta.

– Chodź, Zosiu, usiądź obok mnie.

Pacjentka podeszła i usiadła na kolanach osłupiałego Czechowicza.

– Wiesz, co się stało z panią Marią, panem Wiesławem i panem Władkiem?

– Musieli już iść – odparła pewnym głosem.

– Nie ma ich tu?

– Oczywiście. Przecież wyszli.

– W porządku, Zosiu. Chodźmy do twojego fotela.

Lekarz pomógł wstać kobiecie i dał znak Korwinowi, aby wyprowadził gości. Ultra, Adam i Robert podnieśli się możliwie najciszej i wyszli z sali. Na korytarzu Korwin uśmiechnął się do nich tajemniczo.

– Jak się państwu podobało?

Kniewicz pokiwał głową z uznaniem.

– Robi wrażenie.

– Co się w tej chwili dzieje? – spytał Robert.

– Doktor Lechubowicz wybudza pacjentkę. Zaraz do nas wyjdzie.

– Czy ta pani jest na coś chora? – zainteresował się dziennikarz.

– Cierpi na rodzaj nerwicy lękowej, ale o tym opowie już prowadzący.

Niemal w tym samym momencie otworzyły się drzwi i wyszedł zza nich Lechubowicz.

– Pacjentka jest teraz pod opieką mojego asystenta, możemy chwilę porozmawiać – oznajmił.

– Jak to możliwe, że ta pani nie wiedziała, że siada na moich kolanach?

Lekarz splótł ręce, poświęcając kilka sekund na zastanowienie.

– To, co państwo widzieli, to przykład tak zwanych halucynacji negatywnych. Są one możliwe w hipnozie dzięki całkowitej relaksacji umysłu pacjenta, i to do tego stopnia, że nie ma on ani siły, ani ochoty analizować podsuwanych mu informacji. Taka osoba przyjmuje wszystko... no, może prawie wszystko, co jej się powie, nie poddając tego najmniejszej krytyce.

– Słyszeliśmy jednak, że takiej osoby nie da się zmusić do zrobienia... powiedzmy, krzywdy sobie lub komukolwiek – wtrąciła Ultra.

– To prawda.

– Dlaczego?

– Jest sporo teorii, my również prowadzimy na ten temat badania. W grę wchodzi instynkt, wewnętrzna wrodzona moralność... być może głęboko zakorzeniony w mózgu sygnał alarmowy uruchamiany, kiedy tylko życiu zagraża niebezpieczeństwo. Co do podłoża tych zachowań, pewności na razie nie ma, ale bardzo poważne teorie potrafią już to w znacznym stopniu wyjaśnić.

– Czym zajmują się tu państwo z punktu widzenia badań naukowych? – spytał wreszcie Czechowicz.

Psychiatra ponownie nie odpowiedział od razu. Spojrzał na chwilę w górę, jakby próbował znaleźć jak najprostszą, a równocześnie najbardziej lapidarną odpowiedź.

– Najogólniej rzecz ujmując, badamy tu granice sugestii hipnotycznych, praktyczne wykorzystanie oglądanych przed chwilą przez państwa halucynacji negatywnych i pozytywnych – zaczął, ważąc każde słowo. – Próbujemy zgłębiać sposoby zakorzeniania w pamięci długotrwałej wzmocnień pozytywnych, i tak dalej. Ma to naszym zdaniem ogromne znaczenie przy leczeniu wszelkiego rodzaju depresji, nerwic, a nawet uzależnień i niektórych psychoz.

– Z pewnością poprosimy później doktora Czechowicza, aby nam to przełożył na język laików. – Adam uśmiechnął się. – Ale gdyby mógł pan powiedzieć nam jeszcze kilka słów na temat tych halucynacji...

– Rozumiem. – Tym razem Lechubowicz odpowiedział niemal natychmiast. – Tak zwane halucynacje negatywne mieli państwo okazję obserwować przed momentem. Proszę nie przywiązywać się do pejoratywnego wydźwięku tego słowa. Z medycznego punktu widzenia jest on w tym wypadku nieuzasadniony. Był to dość prosty eksperyment. Nadałem państwu fikcyjne imiona i zasugerowałem, że właśnie opuszczacie salę. Pacjentka przyjęła to do wiadomości, nie rewidując stanu rzeczy, nawet gdy usiadła na kolanach „nie istniejącej” osoby.

– Ciężko w to uwierzyć. – Adam pokręcił z powątpiewaniem głową.

– Proszę wybaczyć – kontynuował doktor – ale jest pan ograniczony sposobem myślenia człowieka całkowicie przytomnego. Mało kto pamięta, że kieruje nami rodzaj „komputera”, którego najmniejsza usterka ma kolosalne znaczenie. Nasz mózg to nic innego jak potwornie sprawna biologiczna maszyna zawiadująca dosłownie wszystkim! Kiedy więc doprowadzimy ten „komputer”, tę „maszynę” do stanu, w którym wykonuje ona tylko część funkcji analitycznych, syntetycznych i rozpoznawczych... mamy taki właśnie obraz.

– Ale jakie to może mieć znaczenie terapeutyczne? – spytała Ultra.

– Zasadnicze. Przecież dzięki temu „bocznymi drzwiami” wprowadzamy do mózgu informacje, które normalną drogą docierałyby tam długie lata. Jeśli ma pani pacjentkę, która boi się jeździć windą, to psycholog tłumaczący jej nonsens tej fobii jest właściwie bezradny w porównaniu z możliwościami sugestii hipnotycznych.

– Mózg zapamiętuje te sugestie? – Dziewczyna uniosła znacząco brwi.

– Zapamiętuje. – Lechubowicz uśmiechnął się, konspiracyjnie zniżając głos. – Ale trzeba oczywiście nad tym popracować. Wprowadzenie sugestii nie oznacza jeszcze, że łatwo zazębi się ona z pamięcią czy zniweluje wstrząsy z przeszłości, ale to temat na znacznie dłuższą dyskusję.

– Nie powiedziałaś jeszcze o halucynacjach pozytywnych – wtrącił Korwin.

– No właśnie... Halucynacje pozytywne to takie, dzięki którym pacjent widzi, słyszy, a nawet czuje nie istniejące przedmioty lub osoby. Można mu na przykład zasugerować

obecność kota, psa czy chomika, wyłącznie o tym mówiąc. Podajemy wtedy zahipnotyzowanemu dosłownie powietrze, udając jednak, że trzymamy zwierzę, i zachwycamy się nim, mówiąc: „Jaki śliczny króliczek...” albo „Jaki miły piesek...” Wiedzą państwo, o co chodzi. Pacjent to podchwytuje. Bierze od nas „zwierzątko”, głaszcze je, opisuje, jakie ma śliczne futerko, a co najdziwniejsze, jest absolutnie przekonany, że rzeczywiście trzyma na kolanach prawdziwego psa czy królika.

– Na co cierpi ta kobieta? – spytał Adam.

– Nie mogę państwu dokładnie o tym opowiedzieć. Dbamy tu o dobro pacjentów. Powiem tylko, że ma złe wspomnienia z dzieciństwa. Wychowywała ją macocha, ojciec wcześniej zmarł. Mimo że wyprowadziła się i wyjechała ponad dwadzieścia lat temu, traumatyczne wspomnienia wciąż hamują ją w wielu dziedzinach. – Lechubowicz klasnął. – Obawiam się, że muszę państwa opuścić. – Grzecznie się uklonił i zniknął w sali.

Korwin przyglądał się chwilę gościom, jakby badał ich reakcję na ten krótki wykład, po czym wskazał drogę do windy.

– Dziś nie możemy już poświęcić państwu więcej czasu – oznajmił. – Gdyby mieli państwo jakiegokolwiek pytania, nasz telefon jest do dyspozycji.

Drogę do wyjścia pokonali w milczeniu. Obojętna mina Korwina rozdrażniła Czechowicza. Nie czuł się tu dobrze i trudno było mu to ukryć. Cały ten blichtr, ta niby domowa atmosfera, nowoczesność, nadopiekuńczość lekarzy robiły na nim wrażenie starannie budowanej hipokryzji. Być może zabrakło mu w tym momencie obiektywizmu, ale całość zdecydowanie trąciła fałszem.

Mijając jednak stolik sekretarki, uprzejmie pożegnał się z nią, podobnie jak Ultra i Adam. Cała trójka podziękowała Korwinowi, a następnie opuściła zakład.

Po kilkudziesięciu metrach pierwsza odezwała się dziewczyna.

– Co myślicie?

– Napchali nas chwytliwymi cyrkowymi numerami i wykopali za drzwi – mruknął dziennikarz, który dopiero teraz pozwolił sobie na okazanie niezadowolenia.

– Ja też tak myślę – stwierdziła agentka. – Ale nie tak to sobie wyobrażałam.

– Forsa kapie ze ścian, a ci lekarze jakby się urwali z jakiegoś horroru – burczał dalej Kniewicz.

– Biedaku. – Ultra roześmiała się. – Taki znany dziennikarz i tak cię olali...

– A ty, jak zwykle, rozkoszna jak skowronek. Co ci się tak humor wyostrzył? Tak ci się podobało?

– Bardzo mi się nie podobało. – Agentka nagle spoważniała. – Jak się czujesz? – rzuciła do Roberta.

Czechowicz wciąż szedł zamyślony.

– W jednym z tych gabinetów w szafce z lekami były ampułki z marciną, efedryną, epinefryną i kilkoma innymi lekami trochę nie pasującymi do psychiatrii – rzekł po chwili.

– Przecież powiedzieli, że pracują tu lekarze różnych specjalności – zauważyła Ultra.

– Tak, ale jakoś o anestezjologach nie wspomnieli. Po cholere im silne leki antywstrząsowe, do znieczuleń oponowych i ogólnych zresztą też?

– Mówisz o takich... do usypiania? – upewnił się Adam.

– Tak – potwierdził Czechowicz.

Właśnie doszli do samochodu.

– Wskakujcie – zarządziła agentka, siadając na tylnym siedzeniu. – Zastanowimy się po drodze.

Kniewicz zajął miejsce za kierownicą, poczekał, aż Robert usiądzie obok niego, zapalił silnik, wyjechał z parkingu i skręcił w stronę lasu.

– Co ty robisz? – spytała agentka, rozglądając się dookoła.

– Parkuję w lesie.

– Po co?

– Wracam tam.

– Co?!

– Rozejrzę się sam, bez pomocy pana Korwina.

– Chyba zwariowałeś?! – Ultra była naprawdę zaniepokojona.

– Nie, nie zwariowałem. – Adam odjechał kawałek i zatrzymał się z boku drogi.

– Idę z tobą – powiedział spokojnie Czechowicz i wysiadł.

– Zostajesz? – Kniewicz odwrócił się do agentki.

– A niby jak chcecie tam wejść?!

– Zaimprovizujemy. Idziesz?

Dziewczyna patrzyła przez chwilę z niedowierzaniem to na jednego, to na drugiego, po czym wysiadła z wozu i z wściekłością trzasnęła drzwiami.

ROZDZIAŁ 7

Sil spieszyła się. Wiedziała, że jest spóźniona, ale sygnał przyszedł zbyt późno. Minęła polanę i wyszła na piaszczystą drogę. Około stu metrów dalej, przy wiejskiej kapliczce na skrzyżowaniu czekał już elegancik. Ujrzawszy go, zwolniła i spokojnie się rozejrzała. Otaczały ją łąny zbóż rozsiane po rozległych pagórkach i tworzące miłą dla oka, urokliwą, a nawet romantyczną dla wrażliwszych duchem kwintesencję krajobrazu przedkarpackiego. Tylko gdzieniegdzie, i to znacznie wyżej, rozciągały się fragmenty lasu zdobiące łagodne szczyty. Prócz elegancika w pobliżu kapliczki nie było żywej duszy. Od spotkania w Nowym Targu agent nie zmienił właściwie wyglądu. Mimo ponad dwudziestu stopni i słonecznej pogody nie zdecydował się nawet zdjąć marynarki.

Sil zbliżyła się do niego, ostatni raz oglądając się za siebie.

– Przepraszam, za późno...

– Nie szkodzi, wiem – przerwał jej. – Jest mała zmiana planów i stąd to spotkanie.

– Nie za dowcipnie tak w takim miejscu?

– Daj spokój. – Elegancik jak zwykle nie grzeszył pogodnym nastrojem. – Wszystko w porządku?

– Odpoczywam. Co mogłoby być nie w porządku?

– W Warszawie nasi przyjaciele wykazują niepokojącą aktywność.

– A co z Ulrą i resztą?

– Działają powoli, właściwie nic nie wiedzą.

Sil pokręciła głową z dezaprobatą.

– Przecież szef chciał, żebyśmy się wycofali.

– To prawda i na razie tak pozostanie, ale musisz częściej zmieniać mety.

– Przecież minęło ledwie kilka dni!

– Nie szkodzi – rzekł agent z naciskiem. – Dziś wyprowadzisz się z Rabki.

Sil spojrzała na drewnianą, zniszczoną już przez korniki Matkę Boską w niebiesko-białej szacie.

– Domyślają się, kim jestem?

Elegancik wzruszył nieznacznie ramionami.

– Ci z zakładu Wasylyszyna raczej nie.

– A tamci?

– Tamci też raczej nie, ale sądzę, że to kwestia czasu.

– Nie powinnam wrócić? – Uznała, że to dobry moment na kolejną próbę.

– Trzymaj się planu. Szef wie, co robi. – Agent odwrócił się. – Jakiś samochód jedzie.

Udawajmy małżeństwo na spacerze.

Ku zdumieniu Sil, elegancik uśmiechnął się nieznacznie i objął ją w pól. Zaczęli wolno iść, czekając, aż wóz ich wyprzedzi. Jak na tak wąską drogę czarne audi jechało dość szybko. Starali się nie patrzeć w tamtą stronę i całą uwagę poświęcali ogromnemu łanowi zboża rozpoczynającemu się kilka metrów za kapliczką. W tę właśnie stronę zmierzali, obejmując się, zdaniem agentki, zbyt ochoczo.

Gdy samochód był jakieś dwadzieścia metrów za nimi, Sil obejrzała się. Chciała zapamiętać twarze kierowcy i ewentualnych pasażerów, na wszelki wypadek. Uznała, że to naturalne, iż przechodnie obserwują przejeżdżające wozy. W samochodzie siedziało dwóch mężczyzn, ale agentka nie zdążyła dobrze im się przyjrzeć.

– Padnij! – krzyknęła, zaskakując kompletnie elegancika, i w sekundę przylgnęła do ziemi.

Agent nie zdążył zareagować, nim padł pierwszy strzał. Sil błyskawicznie zerwała się na nogi i wskoczyła w zboże. Biegła chwilę pochylona nisko, po czym zatrzymała się. Klękła na lewym kolanie i szybko wydobyła broń z kabury przymocowanej do paska. Była pewna, że nie jest ranna, ale nie miała pojęcia, co się stało z elegancikiem. Uznała, że na razie nie powinna się wychylać, więc uważnie nasłuchiwała. Samochód się zatrzymał. Usłyszała, jak otwierają się jedno i drugie drzwi. Nie odbezpieczyła jeszcze pistoletu. Nie chciała, aby napastnicy upewnili się, że ma broń. Rozległ się drugi strzał i Sil zwiesiła głowę bezsilna. Wiedziała, że kula przeznaczona była dla umierającego agenta.

Po chwili zaczęła się przesuwac w lewo, aby móc zaatakować pod innym kątem. Poruszała się bardzo wolno, starając się nie wydawać żadnych odgłosów. Nie było to proste, ale pracujący silnik znacznie zwiększał jej szanse.

– Widzisz ją? – usłyszała męski głos.

– Nie – odpowiedział drugi mężczyzna.

– Zgaś ten cholerny silnik.

Sil zatrzymała się. Teraz najciszej jak mogła odbezpieczyła broń. Słyszała kroki mężczyzny idącego wzdłuż pola. Wsluchiwała się w nie, aby zorientować się, gdzie się znajduje. Czekala, aż zgaśnie silnik, wiedząc, że wtedy drugi mężczyzna będzie zajęty wyjmowaniem kluczyków ze stacyjki i na kilka sekund stanie się niegroźny. Gdy tylko silnik zgasł, błyskawicznie wstała, trzymając pistolet w obu dłoniach. Niemal idealnie wyczuła

położenie idącego wzdłuż pola wysokiego osiłka w brązowej koszuli. Był odwrócony w lewą stronę, dzięki czemu miała dużo czasu. Dwa strzały powaliły natychmiast przeciwnika. Drugi mężczyzna wychylił się z wozu i zamarł. Nie miał w ręku broni. Sil spokojnie wymierzyła w klatkę piersiową i nacisnęła spust. Pocisk rzucił go na samochód, po którym zsunął się na ziemię. Agentka szybko podbiegła do mężczyzny, wciąż trzymając broń w pogotowiu. Przerazenie w oczach rannego przekonało ją ostatecznie, że jest niegroźny.

– Kto was przysłał? – spytała zimno.

– Ja jestem tylko kierowcą – wyjęczał tłustawy blondyn o dość tępych wyrazie twarzy.

– Masz dwie sekundy.

– Zaczekaj! – wrzasnął błagalnie. – Pracuję dla chłopaków z miasta, jego nie znam...

Kazali mi z nim pojechać. On nie jest stąd.

Przerwał mu napad kaszlu i bólu.

– Dla kogo pracujesz?

– Ja... dla Kostyry i Kostka. Kurwa, oni mnie zabijają!

– Nie martw się. Nikogo nie można zabić dwa razy.

– Ty... – Tłusciuch patrzył błagalnym wzrokiem na Sil. – Litości...

– Chyba żartujesz. – Agentka wymierzyła w jego głowę i strzeliła dwa razy. Opuściła broń i podeszła do elegancika leżącego na poboczu. Przykłękała, aby dotknąć jego szyi. Upewniwszy się, że nie żyje, przeszukała marynarkę i spodnie, opróżniając kieszenie. Zza paska wyjęła pistolet, którego nie zdążył nawet użyć. Dziesięć metrów dalej, nie dając znaków życia, leżał osilek. Mimo to podeszła tam, by wpakować w niego resztę magazynka; niemal całkowicie zmasakrowała mu twarz. Rozejrzała się uważnie. Nawet na horyzoncie z żadnej strony nie widać było nikogo. Wyjęła telefon i wystukała numer. Niemal natychmiast w słuchawce rozległ się głos Tadeusza Malinowskiego.

– Słucham.

– Tu Olena.

– Dlaczego dzwonisz pod ten numer?!

– Czarny nie żyje.

– O Boże... Kiedy?

– Przed chwilą, zaskoczyli nas. Miałam sporo szczęścia.

– Ilu ich było?

– Dwóch. Nie żyją.

– Dobrze. Wiesz, co robić?

– Zabezpieczę wszystko. Kto to mógł być?

Malinowski nie odzywał się przez chwilę.

– Chyba oni – mruknął zrezygnowany.

– Na pewno nie ci od lekarzy?

– Raczej nie. Nie znaleźliby cię. A już z pewnością nie zaskoczyliby Czarnego.

– Co mam robić?

– Wracaj, teraz nie ma już co się bawić. Chcę, żebyś przypilnowała Ultrę.

Sil zrećźnie ukryła zadowolenie.

– Wynajęli ludzi z mafii krakowskiej.

– O Boże... ale bagno.

– Może się czegoś dowiem... – powiedziała z nadzieją agentka.

– Nie szalej, Olena. Wróć i dokończ, co zaczęłaś. I tak już nie da się niczego ukryć.

– Będę ostrożna, może...

– Dobrze – przerwał Malinowski. – Masz czas do jutra. Jeśli się nie uda, chcę cię widzieć pojutrze rano.

– Tak jest.

– Olena! – powiedział to, kiedy Sil chciała się już rozłączyć.

– Tak?

– Trzymaj spluwę za paskiem. Nie chcę nowych kłopotów.

– Tylko się rozejrzę – odparła uspokajająco.

– Znamy się nie od dziś, więc chcę ci zadać bezpośrednie pytanie. Czy jest szansa, że zamiast wciskać mi kit, po prostu postarasz się choć przez pewien czas być grzeczną dziewczynką?

– Będę rozsądna, szefie. Ma pan to jak w banku.

Malinowski rozłączył się, ale agentka wiedziała, że raczej jej nie uwierzył. Nie dziwiła mu się. Ona sama chyba by sobie nie uwierzyła.

Płot z metalowej siatki nie był zbyt wysoki, miał najwyżej trzy metry, więc Adam pokonał go bez problemu. Ultra z niepokojem rozglądała się, próbując jeszcze go powstrzymać.

– Robisz to bez żadnego przygotowania! – szeptała nerwowo, zaciskając dłonie. – Nie znasz się, do cholery, na tym!

– Ultra! – Kniewicz obejrzał się za siebie i dał znak Robertowi, że może przechodzić. – Nie poznaję cię. Pamiętasz, ile razem przeszliśmy? Pamiętasz, co się działo rok temu?

– O co ci chodzi? – Agentka pokręciła głową.

– Pamiętasz Dąbki? Denię? Christa?

– Oczywiście – odparła zniecierpliwiona.

– I porównujesz to do tego?! – Adam wskazał energicznie tylną część budynku instytutu, przy której się znajdowali. – Przy tamtej hecy to jak zabawa w przedszkolu!

– Powiedziałabym raczej, że jak zabawa na polu minowym. – Ultra z trwogą zauważyła, że Robert pokonał już płot.

Kniewicz ponownie rozejrzał się uważnie.

– Chodź tu szybko! – syknął do agentki.

– Żartujesz?!

– A śmiejemy się?

– Masz nakopane! Gdzie będziesz szukał? W piwnicy?! – Wbiła w niego stanowcze, zniecierpliwione spojrzenie.

– Dobra myśl – rzucił Adam do Roberta.

Czechowicz przyglądał się chwilę Ultrze, rozłożył przepaszając ręce, a następnie odwrócił się i ruszył wolno w stronę budynku. Kniewicz podążył za nim.

Dziewczyna miała ochotę wyjąć pistolet i zastrzelić ich. Błyskawicznie wspięła się na płot i niemal bezszelestnie przeskoczyła na drugą stronę.

– Tylko się rozejrzemy – próbował ją uspokoić Kniewicz.

– Akurat – mruknęła ze złością.

– Może wejdziemy tędy? – zaproponował Czechowicz, wskazując niewielkie drewniane drzwi przypominające wejście kuchenne.

– W porządku. Ostrożnie – odparł Adam.

Podeszli możliwie najciszej, uważnie obserwując teren. Ku ich zdziwieniu Czechowicz bez trudu otworzył drzwi i znaleźli się w niewielkim, słabo oświetlonym korytarzu. Podłoga była kamienna, a dość intensywny zapach przekonał ich, że rzeczywiście są w pobliżu kuchni. Kilka metrów dalej, po prawej ujrzeli otwarte drzwi, zza których dochodziły odgłosy gotowania, smażenia i głośne rozmowy. Na wprost dostrzegli niewielkie schody prowadzące na górę.

– Co robimy? – spytał Adam, ostrożnie wyglądając zza wejścia do kuchni.

– Na razie same głupoty – warknęła Ultra.

– Widzę, że wciąż brakuje ci optymizmu i zapału – skomentował krytycznie dziennikarz.

– Poczekajcie! – przerwał im Robert. – Chyba ktoś idzie tymi schodami.

Zamilkli na chwilę. Usłyszeli kroki gdzieś wyżej, ale na razie nikogo nie widzieli. Schodki po kilku stopniach zakreślały w prawo i niknęły za ścianą.

– Spieprzajmy stąd – zaproponowała stanowczo Ultra.

– Ona ma rację, Adam – poparł ją Robert. – Innym razem.

Odwrót był szybki i niestety znacznie głośniejszy, niż planowali. Tuż przed drzwiami agentka obejrzała się do tyłu. Człowiekiem idącym po schodach okazał się wysoki, krótko ostrzyżony mięśniak w białej koszulce na ramiączkach. Widziała go nie dłużej niż sekundę, ale i to wystarczyło, by przekonać się, że mają kłopoty.

– Szybciej! – syknęła błagalnie, popychając Kniewicza.

Wypadli na zewnątrz.

– Kto to? – spytał szybko Czechowicz.

– Chyba jakiś ochroniarz – rzuciła szybko dziewczyna. – Biegiem do płotu!

Jest chyba coś w twierdzeniu, że ucieczka przed niebezpieczeństwem odkrywa w ludziach sprawność i umiejętności, o które nawet by się nie podejrzewali. Gdy skrzypnęły drzwi i

pojawił się w nich osiłek, cała trójka była już po drugiej stronie płotu. Nikt jednak nie przyglądał się ochroniarzowi. Biegli przez las w stronę samochodu. Adam widział go już między krzewami, kiedy nagle wyrósł przed nim młody mężczyzna. Miał najwyżej dwadzieścia kilka lat, ale jego wzrok nie wróżył nic dobrego. Musiał być ukryty za jednym z drzew, podobnie jak jego kolega, którego po chwili dostrzegli kilka metrów dalej. Kniewicz nie zdążył się zatrzymać. Mężczyzna wymierzył mu cios prosto w splot słoneczny. Uderzenie powaliło dziennikarza na ziemię i pozbawiło na kilka sekund oddechu. Czechowicz rzucił mu się na pomoc, ale drugi mężczyzna, znacznie starszy, lecz, jak się okazało, niezwykle silny, pchnął go brutalnie na najbliższe drzewo. Lekarz uderzył się dotkliwie w głowę i również upadł. Młodszy napastnik doskoczył do Ultry i grzbietem otwartej dłoni trzasnął ją w prawy policzek na tyle mocno, że i ona straciła równowagę. Agentka przyłgnęła do ziemi, ale błyskawicznie podniosła wzrok i nie zwracając uwagi na ból, uważnie obserwowała rozwój wypadków. Młodszy z mężczyzn podszedł do Czechowicza i stanął nad nim, jakby go pilnował. Starszy schylił się nad Kniewiczem. Widząc to, Ultra sięgnęła powoli za pasek, gdzie miała broń. Była pewna, że upadając, nie odsłoniła jej i napastnicy nie mają pojęcia, że jest uzbrojona. Położyła dłoń na pistolecie i czekała. Mężczyzna złapał brutalnie dziennikarza za kołnierz.

– Posłuchaj uważnie, pismaku – mruknął spokojnie, ale groźnie. – Jeszcze raz cię tu zobaczę... albo któreś z nich – wskazał Roberta i dziewczynę – a tak zdrutuję ci szczękę, że będziesz mógł robić za antenę satelitarną. Zrozumiałeś?

Adam skinął głową.

– Jeszcze jedno: nie widziałeś nas tu.

Kniewicz ponownie skinął głową, krzywiąc się z bólu.

Mężczyzna chwilę przyglądał się mu, po czym puścił jego koszulę i skinął na młodszego. Ultra zdjęła dłoń z kabury. Obaj napastnicy upewnili się, czy nikt nie widział zajścia, i odeszli spokojnie w stronę instytutu.

Czechowicz rozmasował sobie tył głowy i szybko podszedł do podnoszącej się agentki. Wyciągnął dłoń, aby obejrzeć jej twarz.

– Odpieprz się! – warknęła, odtrącając jego rękę. Kniewicz z trudem stanął na nogach, wciąż jeszcze trzymając się za brzuch.

– Oddychaj wolno i spokojnie – rzekł Robert, który podszedł też do niego, aby sprawdzić, w jakim jest stanie.

– Słuchajcie! – Głos Ultry natychmiast dał im do zrozumienia, że z pewnością nie żartuje.

– Od tej chwili albo robicie, co wam mówię, albo zjeżdżam stąd i widzimy się ostatni raz!

Nie sprzeciwiali się. Byli przestraszeni i niemal bez zastanowienia skinęli potulnie głowami.

Agentka jeszcze chwilę patrzyła na nich mściwie, po czym ruszyła w stronę samochodu.

– Odwieźcie mnie teraz do domu – rzuciła przez ramię. – Mam was dość na dzisiaj.

Robert szybko sprawdził, czy Adam ma całe zębra.

– Jak wrócimy, zbadam cię dokładniej – mruknął cicho.

– Nic mi nie jest.

Czechowicz obserwował, jak dziewczyna wsiada do samochodu i zatrząskuje drzwiami.

– To ma być ta twoja superagentka? – szepnął do dziennikarza. – A gdzie jej kung-fu? Instykt Rambo? Chyba czegoś ją uczyli na szkoleniach. Nawet nie wyjęła spluwy!

Kniewicz raptownie odwrócił się do niego, obserwując, czy Ultra go nie słyszy.

– Czyś ty zwariował?! Wiesz, co by było, gdyby wyjęła pistolet albo zaczęła wymachiwać nogami?! Na razie oni myślą, że jesteśmy niegroźnymi dziennikarzami. Spuścili nam mały łomot, bo wiedzą, że nigdzie tego nie udowodnimy. I na tym koniec. Ale gdyby dowiedzieli się, dla kogo ona pracuje...

– Przepraszam – rzucił szybko Czechowicz. – Trochę się przestraszyłem...

Adam poklepał go po ramieniu.

– Chodź, odwieziemy ją do domu i fundniemy coś słodkiego. Lubi słodczyce.

Emil Szymański był niewysokim, dość szczupłym mężczyzną w – jak to lubił ostatnio mówić – wieku chrystusowym. Nie był niestety dokładnie zorientowany, czy Jezusa z Nazaretu ukrzyżowano w trzydziestym drugim, trzecim czy czwartym roku życia, ale stanowiło to dla niego problem drugorzędny. Szczera wiara, oddanie Bogu i regularne studiowanie Pisma Świętego były znacznie istotniejsze niż częściowe braki w edukacji religijnej. Okoliczność łagodzącą stanowił z pewnością fakt, że jako oddany wierny Kościoła odnalazł się stosunkowo niedawno, więc powoli, acz konsekwentnie wypełniał cnotami swoją duszę, wiedzę niestety lekko zaniedbując.

Świat otaczający Emila Szymańskiego wydawał mu się brudny i grzeszny, choć jego dopiero co nabyty chrześcijański instykt mówił mu, że każdy jest z gruntu dobry i szlachetny, a tylko szatański obraz naszych czasów niszczy pierwotną, dziewiczą ludzką czystość. Naprawa świata jest więc, jak sądził, w naszym zasięgu, a bezczynność to największy grzech. Okoliczności, które zmusiły Emila do tak zdecydowanego zwrotu moralnego, były być może nietypowe, ale nietypowe było przecież całe jego życie. Zbrodnia i występki czyniły ślepą na cnotę niejedną zbłąkaną duszę na tym łez padole, nie był więc wyjątkiem. Nie lubił myśleć, że grożące mu 25 lat więzienia to decydujący argument, ale widać opatrność dała mu jeszcze jedną szansę.

Szedł teraz wolno do swojego domu. Rozmyślał, jak zwykle, o różnych sprawach (nie zawsze doczesnych), przy okazji zachwycając się urokiem zapadającego zmierzchu. Otwierając furtkę, zauważył po raz kolejny z troską, że jego ogródek jest już tak zaniedbany, iż kolejne przełożenie porządków nieodwracalnie zamieni go w zwykły śmietnik. Przyrzekł sobie i wszystkim świętym, że jutro zajmie się tym nieodwołalnie, i pewnym krokiem wszedł do domu.

– Aaaaa!!! – wrzasnął przestraszony nie na żarty, kiedy minąwszy przedpokój, ujrzał rozpartą w fotelu na środku salonu atrakcyjną blondynkę, trzymającą na kolanach grafitowego glocka.

– Niespodzianka – rzekła niewinnie dziewczyna, sprawdzając uważnie, czy przyszedł sam.

– Olena! – odetchnął głęboko Emil. – Jak tu weszłaś? – Zerknął na klawiaturę alarmu umieszczoną tuż przed wejściem do salonu.

– Tajemnica zawodowa. Siadaj – rozkazała.

– Po co ci ten pistolet? – spytał z pretensją w głosie.

– Na wypadek gdyby wieści o tym, że właśnie odnalazłeś Chrystusa, były przesadzone.

Szymański zacisnął ze złością wargi.

– Nie kpij ze spraw, których nie rozumiesz!

– Siadaj! – powtórzyła Sil, tym razem bardziej zdecydowanie.

Emil opadł na krzesło tuż przy wejściu do salonu.

– Nie można powiedzieć, że żyjesz jak pustelnik – stwierdziła agentka, rozglądając się dokoła.

W rogu stał nowoczesny sprzęt stereo, obok szerokoekranowy telewizor z systemem kina domowego, pośrodku elegancki stół, dalej skórzany komplet wypoczynkowy i szafka z trunkami.

– Czego chcesz? – warknął coraz bardziej rozdrażniony Szymański.

– Muszę pogadać z Kostyrą.

– Po co?!

– Gównu cię to obchodzi. Gdzie go znajdę?

Emil wstał gwałtownie, ale szybko usiadł z powrotem, widząc, że Sil mocniej zaciska palce na chwycie pistoletu.

– Zlituj się, przecież to mój brat!

– Twój brat wysłał właśnie do mnie dwóch morderców – odparła zimno.

– Niemożliwe! Wiedziałbym o tym...

– Nic byś nie wiedział. Nie tylko ja mam cię za idiotę. Odpowiedz na pytanie.

– Jak ci powiem, znów urządzisz jatkę!

– Jak nie powiesz, w tempie gazeli wylądujesz w pierdłu na dwadzieścia pięć lat!

Szymański teatralnie ukrył twarz w dłoniach. Lewa noga zaczęła mu drżeć, a oddech stał się szybszy.

– Ile to ma jeszcze trwać?! – jęknął rozpaczliwie. – W końcu ktoś się zorientuje, że wam donoszę.

– To twój problem. I przestań skomleć – ucięła obojętnie. – Nie mam czasu niańczyć kogoś takiego jak ty. Gdzie Kostyra będzie dziś wieczorem?

– Mogę się napić? – spytał cicho.

Sil skinęła głową.

– Zrób mi gin z tonikiem.

– Jasne. – Szymański poderwał się i podreptał w stronę kuchni; nie była oddzielona od salonu i znajdowała się na lekkim podwyższeniu. Wyjął z lodówki tonik, podszedł do szafki po gin i whisky, ustawił wszystko na stole i w milczeniu rozlewał alkohol do szklanek. Po chwili podszedł do dziewczyny i podał jej ostrożnie drinka.

– Chcę z tym skończyć i gdzieś wyjechać. Chcę mieć czas dla Boga. Muszę przemyśleć pokutę i nie grzeszyć... Rozumiesz? – jęknął płaczliwie.

Sil przyglądała się chwilę Emilowi wzrokiem, jakim lustruje się nie do końca bezpiecznego dla otoczenia szaleńca.

– Tobie rzeczywiście odważyło – oceniła krótko, nie spuszczać go z oka.

Szymański pokręcił głową z dezaprobatą.

– Zastanawiałaś się kiedyś nad tym, co w życiu najważniejsze? – podjął z pasją. – Miłość, dobroć, szerzenie dobrego słowa...

– W ustach brata szefa krakowskiej mafii brzmi to szczególnie wiarygodnie.

– Zmieniłem się! – wrzasnął niemal histerycznie. – To, co teraz robię, jest darem dla mojej rodziny! Ma ich wyzwolić! Sprowadzić na dobrą drogę...

– Uspokój się – powiedziała rzeczowo Sil. – Nie chcę nikomu robić krzywdy. Potrzebuję tylko wiadomości.

– On nie jest gotowy na rozmowę z tobą – odparł, krążąc wokół jak zranione zwierzę.

– Przekonam go.

– Tak jak zwykle?

– Powiedziałam ci już: nikomu nic się nie stanie. Nie histeryzuj. Po prostu umów spotkanie.

– A niby jak? Domyśli się, że z tobą współpracuję.

– Nie domyśli się – zaprzeczyła dziewczyna. – Jeśli tylko zrobisz to, o co poproszę.

– Muszę się wysikać – bąknął Emil po chwili namysłu.

– A trafisz sam do kibla?

Szymański zacisnął mocno pięści, ale nie zareagował. Wspiął się po trzech schodkach i wszedł do toalety położonej między salonem a wejściem do domu. Agentka miała cały czas te drzwi na oku, wiedząc, że nawet tam są w oknie kraty. Nie podejrzewała zresztą Emila o żadne niespodzianki. Zdawała sobie sprawę, że boi się jej jak mało kogo, a jakkolwiek próba oporu miałaby dla niego tragiczne konsekwencje. Nie ryzykowałby próby zlikwidowania jej, wiedząc, że po takim numerze nie przeżyłby doby.

Usłyszała odgłos spuszczonej wody i w drzwiach pojawiła się z maltretowanymi przemyśleniami twarz Szymańskiego.

– Co mam robić? – wydukał.

– Weź telefon, zadzwoń do niego i powiedz, że zaskoczyłam cię i trzymam ci właśnie

pistolet przy głowie.

– O Boże, znowu każe mi chodzić z goryłami – jęknął ponownie. – Ledwo się ich pozbyłem.

– Nie uczestniczysz w jego interesach, więc wie, że nikt nie będzie do ciebie strzelał.

– Chyba że z zemsty – poprawił Emil.

– Nie żartuj, przecież teraz jesteś święty.

– Nie boję się śmierci. Chcę tylko być z dala od tego brudu i grzechu...

– Piękne słowa – mruknęła Sil, podając mu słuchawkę.

Szymański wystukał numer.

– Słucham – padło niemal natychmiast w słuchawce.

– Tu Emil, Grzesiu. Mam kłopot.

– Jak zwykle. O co chodzi?

– Pamiętasz taką kobietę, którą nazywali Sil?

– Kurwa! Co się stało?!

– Nie przeklinaj tak, Grzesiu, nie ma powodu się unosić.

– Emil, znowu zaczynasz pierdolić?! Mam cię zamknąć u czubków?! Co się dzieje?!

– Ona... celuje teraz do mnie.

– Kurwa mać! Gdzie są chłopcy?!

– Poprosiłem, żeby dali mi spokój.

Emil usłyszał hałas przewracanych mebli. Znał dobrze brata i wiedział, jak wyładowuje złość.

– Czego chce? – warknął wreszcie Kostyra.

– Pogadać z tobą.

– Daj ją.

Sil wzięła słuchawkę.

– Czego chcesz, dziwko?! – burknął.

– Zamknij ryj i słuchaj – rzuciła dziewczyna. – Za dwadzieścia minut masz być w knajpie U Rympałka. Punktualnie i bez numerów.

– Bo co?!

– Bo ja tak mówię. Swoich gnojników zostawiasz w samochodzie. Nic nikomu się nie stanie, mam kilka osobistych pytań.

– Nie jestem kapusiem.

– Nie chodzi mi o wasze sprawy. Nic nie kombinuj, uspokój się i przyjedź pogadać, to wszystko będzie w porządku. Nie radzę się spóźnić. – Odłożyła słuchawkę. – Widzisz, jak miło? – mruknęła do Emila.

– Co teraz?

– Teraz jedziesz ze mną.

– Dobrze zrobiłaś – powiedział Piotr Krentz, wstając zza biurka.

Ultra uśmiechnęła się nieznacznie.

– Chodź – zachęcił ją pułkownik. – Sokrates już na ciebie czeka. Jesteś zmęczona?

– Nie – odparła, podnosząc się z fotela. – Na razie nie było czym się zmęczyć.

– Stajesz się zarozumiała. – Krentz roześmiał się, otwierając szeroko drzwi.

Ultra odpowiedziała pogodnym, może nawet zalotnym spojrzeniem, a następnie wyszła z gabinetu zwawym krokiem zadowolona, że szef jest w dobrym humorze. Ostatnie wydarzenia zrelacjonowała mu krótko, nie ukrywając, że oczekuje rady. Na pułkowniku nie zrobił specjalnego wrażenia nawet incydent z lasu pod instytutem, ale wyraźnie zaniepokoił go sposób, w jaki reagował na to wszystko Kniewicz, a także poszukiwany lekarz.

– Czy jest jakaś nadzieja na to, że dziennikarz przestanie się wtrącać? – spytał poważnie.

Agentka popatrzyła na Krentza, jakby ten opowiadał o szansach swojego dobermana na zbliżających się szachowych mistrzostwach Polski.

– No tak – westchnął pułkownik, nie czekając już na odpowiedź. Zamknął drzwi na klucz i ruszył korytarzem. Dziewczyna szła obok niego, szukając przez chwilę jak najlepszego argumentu tłumaczącego zachowanie Kniewicza.

– To on przyszedł z tym do nas – przypomniała nieśmiało.

– Co nie oznacza, że ma patent na wszechwiedzę. To, że przywiozłem syna do szpitala na usunięcie wyrostka robaczkowego, nie znaczy, że będę prowadził operację.

Ultra rozłożyła ręce. Wyglądało na to, że Krentza rozbawiła cała ta sytuacja. Poklepał ją lekko po ramieniu, kolejny raz uśmiechając się szczerze.

– No cóż – zawyrokował – chyba taki już twój los. Będiesz musiała go niańczyć, aż zmądrzeje, a wygląda na to, że nie nastąpi to szybko.

Agentki jakoś nie rozbawiła prorocza myśl szefa. Pokiwała tylko z rezygnacją głową.

– Muszę iść na naradę. – Krentz zatrzymał się przed schodami. – Pozdrów ode mnie Sokratesa. – Podał jej rękę na pożegnanie i ruszył dalej korytarzem.

– Tak jest – odparła Ultra, po czym zeszła schodami na poziom „-2”, gdzie znajdowały się biura oficera naukowego.

Aby otworzyć ciężkie metalowe drzwi, trzeba było sporo siły. Sokrates, jak miał w zwyczaju, krążył zamyślony wokół stołu, na którym spoczywały liczne notatki, wykresy, a nawet menzurki do jemu chyba tylko znanych eksperymentów. Każdy włos na głowie sterczał mu w innym kierunku, a przybrudzony fartuch i neurotyczne ruchy wykonywane w najmniej oczekiwanych momentach dopełniały obrazu szalonego naukowca niemalże wyciętego z klasycznego filmu. Ultra nie potrafiła zrozumieć, jak ten roztargniony, żyjący niezmiennie metr nad ziemią dziwak, mimo że nieprzeciętnie inteligentny, mógł skończyć jakąkolwiek szkołę oficerską.

Co ciekawe, w agencji zadomowił się bez najmniejszych problemów, a warunki do pracy miał tu naprawdę dobre. Oddano mu do dyspozycji trzy duże pomieszczenia, z których jedno

zamienił na biuro, drugie na laboratorium, trzecie zaś na salę, w której przeprowadzał próby związane z różnymi przedsięwzięciami, chociażby nowego sprzętu.

Sokrates właściwie cały czas spędzał pod ziemią, w laboratorium, przy komputerze lub w bibliotece. Ciężko go było oderwać od pracy, a już prawdziwą tajemnicą było, kiedy i co jada. Sprawiał wrażenie samowystarczalnego, doskonale czującego się w swoim towarzystwie robota, który nie znosi rutyny dnia codziennego.

Oczywiście z największą chęcią wymyślał nowe zabawki dla agentów, widząc w sobie wcielenie Q z filmów o Jamesie Bondzie, ale głównie wykorzystywano go jako doradcę w sprawach naukowych. Jego sposób myślenia dość znacznie odbiegał od żołnierskiego standardu, stąd być może wzięło się nadane mu już dość dawno przezwisko. Postrzegany był bardziej jako zabawny filozof i ekscentryk niż wynalazca czy konstruktor.

Sokrates, słysząc dźwięk otwieranych drzwi, odwrócił się błyskawicznie i wbił wzrok w agentkę.

– A Ultra, Ultra, Ultra... no tak. Wejdz, już kończę. Ponownie schylił się nad stołem, by pogrzebać w papierach. Agentka odczekała, aż Sokrates odtańczy swoje przy biurku, po czym zadała konkretne pytanie:

– Masz to, o co prosiłam?

– Nie – odpowiedział poważnie.

Ultra przyjrzała się z niepokojem jego drobnej, niewysokiej postaci.

– Żartowałem! – wybuchnął nagle śmiechem i uderzył się z rozbawieniem dłońmi w kolana.

– Aha... – Dziewczyna zmusiła się do uśmiechu, jak zwykle przyglądając mu się podejrzliwie.

– Ciekawa firemka ta Pretergate. – Naukowiec pokiwał palcem. – Ciekawa...

– Co może mi się przydać? – spytała. – Jak bardzo się kryją?

– No cóż, firma została ukryta w taki mniej więcej sposób, w jaki Ruscy ukryli kiedyś w Warszawie Pałac Kultury i Nauki.

Ultra uniosła brwi.

– A bez metafor?

Sokrates zamarł na chwilę, jakby nie wiedział, o co jej chodzi.

– No wiesz... trudno ukryć trzydziestokilkupiętrowy, obrzydliwy wieżowiec, nawet gdyby się chciało. Ale o podziemnych korytarzach, schronach i tajnych biurach za czasów komuny nikt nie wiedział.

– Do dzisiaj zresztą mało o tym wiadomo – przyznała dziewczyna.

– Dziś wszystkich to guzik obchodzi. Ale do rzeczy. Pretergate to bardzo duża i wpływowa firma, mająca oddziały na całym świecie.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem.

– Jeden z najważniejszych oddziałów znajduje się w Polsce, a jego kontakty z instytutem,

który cię interesuje, są bardzo żywe. Nikt nie ukrywa istnienia firmy ani tego, czym się ona zajmuje, ale...

– No właśnie, co to za „ale”?

Sokrates nie odpowiedział od razu. Podrapał się po głowie, wprowadzając na niej jeszcze większy nieład.

– Widzisz... w ostatnich latach ta cała Pretergate odniosła kilka naprawdę spektakularnych sukcesów, ale nie spieszyli się z nagłaśnianiem tego w mediach. Zgodnie z tym, co powiedział ci ten dziennikarz, prowadzą dość ekscentryczne badania dotyczące nietypowych znalezisk archeologicznych, ale bardzo niechętnie rozmawiają o tym z prasą.

– Zastanawiasz się, o co tu naprawdę chodzi?

– To niby nic trudnego, bo gdy nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze, tylko że w tym wypadku sprawa się na tym nie kończy.

Ponownie przerwał na chwilę, by przetruchtać wokół stołu, jakby szukał natchnienia.

– No wyduś wreszcie, co ci leży na wątrobie – ponagliła go Ultra.

Sokrates rozłożył ręce.

– Z naukowego punktu widzenia to właściwie niemożliwe!

– Co?

– Taka skuteczność. Trafiają w sedno niemal w stu procentach i nawet nie zależy im na rozgłosie. Stąd zresztą tak mało wiedzą o nich zwykli ludzie. Popytałem trochę kolegów archeologów, oczywiście tych nie związanych z nimi, i wszystko to jest co najmniej dziwne. Badania i wykopaliska, które prowadzą, to jak... szukanie igły w stogu siana, a jednak niemal zawsze im się udaje! Szukają czegoś, podpisują na to kontrakt i prędzej czy później znajdują.

– Adama też to dziwiło – wtrąciła dziewczyna.

– Mówisz o tym dziennikarzu?

– Tak.

– No właśnie. Wyobrażasz sobie biegacza, który niemal zawsze wygrywa, a stroni od pełnych stadionów i dziennikarzy, uciekając od sławy?

– Fakt, to dziwne.

– To nienaturalne i po prostu podejrzane.

Teraz z kolei agentka rozłożyła ręce.

– O co ich mamy oskarżyć? Że są za dobrzy? Że są skromni? Że profesjonalnie szkolą kadry i wspomagają instytucje charytatywne?

– Nie wiem. – Sokrates raz jeszcze podrapał się po głowie. – To billingi rozmów między nimi a instytutem, który cię interesuje. W ciągu ostatniego miesiąca dzwonili do siebie częściej niż ja do swojej staruszki mamy. – Podał jej papiery.

– Dbasz o mamę? – spytała, uśmiechając się lekko.

– Bardzo – fuknął urażony. – Ty też powinnaś!

– Powinam – przyznała dziewczyna. – Co proponujesz?

– Przyjrzeć się im. Z tego, co wiemy, nikt jeszcze tego nie robił. Na razie uważani są za prymusów-skaucików, ale może tą drogą dotrzesz do instytutu, i to z tej strony, o którą ci chodzi.

– Co jeszcze?

Sokrates sięgnął po zieloną teczkę.

– Przygotowałem ci dość dokładny raport. Historia, sukcesy, moja analiza naukowa ich ważniejszych badań i opublikowanych odkryć.

– Po polsku?

– Staralem się. – Naukowiec uśmiechnął się potulnie.

Ultra wzięła od niego teczkę i otworzyła.

– Do czego mi się to przyda?

– Przez jakiś czas będziesz mogła udawać doktorantkę.

– Słucham?!

– Polacy kopią obecnie w Platamonas. Jeśli chcesz uważnie im się przyjrzeć, nie da się inaczej, jak przejechać się tam i... podejść jak najbliżej.

Agentka obserwowała go kilka sekund.

– Gdzie to jest?

– W Grecji, a żeby było nastrojowo, w pobliżu Olimpu.

– O Boże. Nie mogli kopać gdzieś na Mazurach?

Sokrates pokręcił z dezaprobatą głową.

– Oni nie szukają drobniaków, dziecinko. Jak już jadą, to po takie starocie, na widok których każdemu opada szczena!

– Czego tam szukają?

– Tak zwanego ołtarza Manetona.

– A co to takiego?

Sokrates zrobił tajemniczą minę.

– Dokładnie nie wiadomo. Zdobyliśmy trochę nieoficjalnych informacji, ale korzystaj z nich tylko w ostateczności. Maneton był kapłanem egipskim żyjącym w trzecim wieku przed naszą erą. Napisał historię swojego kraju od czasów mitycznych aż do śmierci Aleksandra Wielkiego. To wie każdy historyk. Ale już nie każdy wie, że Maneton znał, a może nawet przyjaźnił się z Ariomachem z Samos, podróżnikiem i, jak byśmy to dziś powiedzieli, poszukiwaczem przygód. Ariomach był Grekiem, jednak wielokrotnie odwiedzał Egipt i spotykał się z Manetonem. W czasie jednej z tych wizyt Egipcjanin podarował mu coś, co obecnie archeolodzy nazywają ołtarzem Manetona, tyle że nikt dokładnie nie wie, czym naprawdę jest ów skarb. Wiadomo tylko, że to coś bardzo ważnego. Podejrzewa się, że może to być nawet jego zaginiona historia Egiptu. Do dziś zachowały się tylko jej fragmenty. Nie muszę ci mówić, jakie by to miało znaczenie, gdybyśmy nagle dowiedzieli się na przykład, kto zamordował Tutanchamona, co stało się z Amenhotepem III, a może nawet... kto

naprawdę wybudował piramidy.

– Ariomach znał pismo egipskie?

– Nie wiem, ale chyba nie musiał. Maneton doskonale władał greką, zresztą jego historia napisana jest po grecku.

– A te nieoficjalne informacje? – spytała Ultra.

– Polacy z Pretergate odkryli niedawno, że ołtarz został ukryty w Grecji, właśnie w pobliżu Platamonas. Mało tego, dowiedzieli się podobno bardzo dokładnie, gdzie kopać. Nikt nie wie skąd i w jaki sposób.

– Nikt ich nie pytał? – zdziwiła się agentka.

– Oczywiście, że pytał. Zaslaniają się jednak tajemnicą zawodową i nic nie można na to poradzić. Nie popełniają przestępstwa. To nie prawo karne, które nie pozwala zatajać informacji dotyczących śledztwa. To archeologia. – Uniósł filozoficznie palec. – Zresztą postępują dość sprytnie. Najpierw proponują swój udział w wykopaliskach, na przykład w poszukiwaniach grobowca Nechona, ale twierdzą, że gromadzeniem informacji zajmą się dopiero wtedy, gdy zobowiąże ich do tego umowa. W ten sposób sugerują, że nic nie wiedzą, więc nie ukrywają niczego przed nauką. Później prowadzą bardzo skrupulatne dochodzenie historyczne i... najczęściej trafiają w dziesiątkę!

– Jak bardzo są bogaci?

– Dość, ale bez przesady. To zamożna firma, lecz w skali światowej nie należą do kreuzosów. Żyją z zamówień, są dofinansowywani przez państwa, na terenie których prowadzą badania, a także czerpią zyski z tak zwanych *deep-down treasures*.

– Skarby?

– To potoczna nazwa. Na świecie jest wielu poszukiwaczy skarbów i wiele miejsc, w których można tych skarbów szukać. Najczęściej w głębinach morskich. Oczywiście Egipcjanie, Grecy czy Chińczycy nie dadzą ci wywieźć niczego, co uznają za swój skarb narodowy, ale jak już wspomniałem, jest wiele miejsc, w których jak ktoś coś znajdzie, to jego. Nie muszę ci mówić, że w tym również są dobrzy.

– A te akcje charytatywne, współfinansowanie badań medycznych? – spytała Ultra.

– Stać ich na to. Poza tym, z różnych punktów widzenia, to opłacalne. Szczegóły znajdziesz w raporcie.

Agentka zamknęła teczkę i wzięła do ręki billingi. – Ryzykowna nazwa... Pretergate. – Zastanawiała się chwilę, pytając wzrokiem o zdanie Sokratesa.

– Prawda? Trochę judząca. Od czasu Watergate Amerykanie lubią dodawać końcówkę – *gate* do nazw afer czy skandali politycznych. Wiesz, Irangate i tak dalej. *Alepraeterita* to po łacinie po prostu „przeszłość”. I tak zamiast intrygująco prowokującej nazwy otrzymujemy nudne i dość pretensjonalne „wrota do przeszłości”. Ot, i cała afera.

– Dziękuję za to. – Ultra wskazała na teczkę. – Myślałeś kiedyś o zmianie fryzury?

– Jakiej fryzury? – spytał poważnie Sokrates.

– Nieważne. Szef kazał cię pozdrowić.

Kostyra długo nie wychodził z samochodu.

– Nie idź tam, szefie – ostrzegł po raz kolejny siedzący wraz z nim na tylnym siedzeniu potężny, ostrzyżony na zapałkę grubas.

Kostyra wciąż nic nie mówił, patrząc zaciętym wzrokiem w odległy punkt gdzieś za boczną szybą. Ochroniarz siedzący z przodu, podobnie jak kierowca, również milczał, czekając na rozkazy.

– To może być pułapka! – nalegał grubas.

– Tutaj? Wśród setki ludzi? – mruknął jakby od niechcenia Kostyra.

– Tych od Ludka wyrznęła do ostatniego! W jedną noc! Pamiętasz, szefie? Ona i jej ludzie. Wyrznęli wszystkich, a do telewizorni nadali, że to my. Jak najdalej od niej, szefie!

– Ludek rozwalił ich człowieka – powiedział cicho Kostyra, nie odrywając wzroku od szyby.

– Kurwa, fajnie się z nim pracowało...

– Zamknij się, Kolo, myślę.

Przez kilkadziesiąt sekund w samochodzie panowała całkowita cisza.

– Może chcą, żebyśmy wycofali się z centrum? – odezwał się wreszcie ochroniarz.

– Możliwe – przyznał Kostyra, odwracając się wreszcie od szyby.

– Nic na nas nie mają – wtrącił Kolo.

– Wiem, ale skoro tu przyjechała, coś się musiało stać. Co się ostatnio działo?

– Nic! – jęknął bezradnie grubas. – Od kilku tygodni cisza i spokój, tylko drobne interesy, na pewno nie na ich kaliber.

– No dobra – zawyrokował Kostyra. – Siedźcie tu i ma być spokój. Nie chcę kłopotów. Nie prowokujcie niczego. Nie może jej spaść włos z głowy, bo znowu będzie jatka.

– A jak zacznie strzelać?

– Jakby chciała strzelać, inaczej by to urządziła. Siedźcie tu i uważajcie, a jak coś spierdolicie, zajebię!

– Jasne, szefie. – Kolo pokiwał głową w imieniu wszystkich.

Kostyra wysiadł wolno z samochodu i wszedł do restauracji. Knajpa U Rympałka nie należała do najelegantszych, ale była duża i tania, więc bywało w niej sporo ludzi. Nie inaczej było i tym razem. Brzęk kufli z piwem, głośnie rozmowy, czasem wesołe bądź gniewne pokrzykiwania klientów wypełniały jak co dzień lokal, od lat stawiając go wśród nieco lepszych, ale jednak „mordowni”.

Kostyra tu nie bywał i Sil doskonale o tym wiedziała. Dostrzegł ją siedzącą w towarzystwie Emila przy stoliku pod ścianą. Rozejrzał się oczywiście dokładnie i podszedł ostrożnie. Ona poznała go natychmiast, mimo że od ostatniego, niezbyt zresztą miłego ich spotkania upłynęło ponad pół roku. Był przeciwieństwem swojego brata. Wysoki, potężnie

umięśniony za sprawą setek godzin spędzonych na siłowni, pewny siebie i arogancki. Nie znosił upokarzających spotkań z takimi jak ona ludźmi, których musiał się bać; doprowadzały go one do furii. Dobrze jednak pamiętał, do czego jest zdolna ona i ludzie, którzy ją otaczają, więc nie miał wyjścia.

– Siadaj – rzuciła sucho w jego stronę, wskazując krzesło.

– Czego chcesz? – spytał spokojnie Kostyra.

– Pogadać.

– To wszystko?

– To zależy od odpowiedzi.

Opadł na krzesło, nie spuszczać z niej wzroku.

– Opatrzność jest po naszej stronie, Grzesiu – wtrącił uspokajająco Emil.

Kostyra zamknął na chwilę oczy, starając się nie zwracać uwagi na to, co mówi ten idiota, jego brat.

– Daj mu stąd wyjść – poprosił, wskazując na niego palcem. – On nie bierze udziału w żadnych interesach.

– To nie potrwa długo. – Agentka wyjęła z kieszeni nieduże zdjęcie i pokazała mu dyskretnie, uważając przy tym, aby nikt im się nie przyglądał. – Widziałeś ostatnio tego faceta?

Kostyra drgnął.

– Chyba żartujesz... – bąknął szybko, odrywając wzrok od fotografii.

– Przyszedł do ciebie i zapłacił za rozwalenie dwójki agentów, mam rację? – Spojrzenie Sil stało się lodowate jak syberyjska zima.

– Jakich agentów?! – Kostyra powiedział to nazbyt głośno.

Dziewczyna wyraźnie odczuła, że pytanie nie tylko go zaskoczyło, ale i nie na żarty przestraszyło.

– Nie mam czasu na pierdoły, zginął mój partner! – warknęła.

– Posłuchaj... – Gangster uniósł rękę, starając się zachować spokój. – Nie szalej. Masz nas za głupców? Myślisz, że pakowalibyśmy się w taki szajs po tej historii z Ludkiem?

– Zadałam ci pytanie. Był u ciebie czy nie?

Kostyra przez chwilę milczał. Patrzył to na agentkę, to na Emila, zaciskając bezsilnie dłonie.

– Nie miałem pojęcia, o co chodzi. A już na pewno nie wiedziałem, że chodzi o ciebie – wydusił wreszcie.

– Nie o to pytałam.

– Nic mi nie mówił. Poprosił tylko o kierowcę znającego teren. Dałem. Był z jakimś facetem. Wysoki blondyn, elegancki.

Agentka jeszcze przez pewien czas przyglądała mu się uważnie, po czym spokojnie opuściła wzrok, jakby chciała się nad czymś zastanowić.

– Uwierz mi, niczego nie wiedzieliśmy! – nalegał Kostyra. – Jak mam ci to udowodnić?
Sil nie spieszyła się z odpowiedzią. Emil od pewnego już czasu miał zamknięte oczy i nieznacznie poruszał ustami.

– Modlitwy chyba nie wystarczą – mruknęła dziewczyna, patrząc na niego z dezaprobatą.

– Powiedz wreszcie, czego chcesz! – wybuchnął Kostyra.

– Wierzę ci – odparła spokojnie. – Ale wszystkie sprawy trzeba załatwić do końca.

– To znaczy?

– Chciałabym, żebyś wyświadczył mi przysługę.

– Co miałbym zrobić?

Kobieta pogładziła delikatnie blat stołu.

– Ten człowiek jeszcze do ciebie przyjdzie. Wysłuchasz go uważnie, a później dyskretnie zlikwidujesz.

– Co?!

– Nie przerywaj mi – ucięła stanowczo. – I nie odmawiaj. Bardzo by mnie to zasmuciło.

– Nie wiesz, kim on jest?! – jęknął Kostyra. – To tak, jakbyśmy sami założyli sobie pętle na szyje.

– On jest nikim – odparła powoli Sil. – To tylko pionek wysłany przez ważnych dla nas ludzi. Chcę im coś przekazać i tak to odbiorą. Będą doskonale wiedzieli, że nie wy to wykombinowaliście. Jeśli załatwicie to po cichu, nie będzie kłopotów. Tym razem nawet gdybyście opisali to w gazecie, zemsta będzie ostatnią rzeczą, o której pomyślą.

– Widzisz, jaki masz dar przekonywania? – mruknął Kostyra, kręcąc z rezygnacją głową.

– Kilka słów z twych pięknych ust i znów jestem beztroski jak osesek.

– Przestań się mazgaić! – przerwała rozdrażniona agentka. – Zachowujesz się jak ten kretyn. – Klepnęła w ramię modlącego się wciąż Emila. – Masz dwie możliwości: my albo oni. Jeśli dobrze postawisz, będzie jak dawniej. Ale jeśli zaczniesz kombinować...

– Dobra, dobra... coś się wymyśli. – Kostyra się rozejrzał. Nikt nie zwracał na nich uwagi.

– Jaką mam gwarancję?

– Pojebało cię? – Sil mocno puknęła się w czoło. – Weź stąd tego idiotę, zanim wyklepie jakieś nieszczęście, ale dopiero pięć minut po moim wyjściu. – Wstała, nie spuszczając z niego wzroku.

– Co z tym blondynem? – spytał cicho.

– O blondyna nie musisz się już martwić, ale jeśli on – popukała palcem w odwrócone zdjęcie leżące na stole – przyjdzie z kimkolwiek, to... sam wiesz. Nikt nie może wrócić stąd żywy.

– Boże – jęknął Kostyra. – Jesteś potworem.

– I kto to mówi – rzuciła lekceważąco, zabierając kurtkę z krzesła. – Miłego wieczoru dla całej rodziny!

ROZDZIAŁ 8

Schody zdawały się nie mieć końca. Robert uniósł wzrok. Labirynt ginął w ciemnych, niemal czarnych chmurach. Pod stopami rozciągała się bezkresna przepaść, której dna nie sposób było dostrzec. Kobieta trzymała go za rękę. Znowu była tak samo ubrana – w białą wschodnią szatę, lekką i zwiewną, zakrywającą całkowicie stopy. Szła wolno, lecz pewnie, co jakiś czas odwracając się, aby na niego spojrzeć. Podążając za nią, Robert nie był zaniepokojony. Nie interesowała go przyszłość ani przeszłość. Nie chciał wiedzieć, jak długo będą się wspinać ani dokąd prowadzą schody. Otaczająca ich szarość nie przerażała go. Czuł się bezpieczny i szczęśliwy – jakby wrócił do miejsca i czasu, w których najbardziej był sobą, z kimś, kogo kochał tak mocno, że zapomniał o jakichkolwiek celach, przyczynach czy wydarzeniach. Chciał zatrzymać ten moment. To, co się musiało stać za chwilę, miało tak nikłe znaczenie, że niewarte było nawet zastanowienia. Niepokoiła go tylko wiedza. Pojawiła się nagle i pogłębiała z każdym pokonywanym stopniem. Wypełniała go, czyniła silniejszym, ale na końcu każdej myśli pozostawało zawsze pytanie.

– Chcesz wiedzieć? – spytała kobieta.

– Nie wiem – odpowiedział.

– Nie bój się, nie zostaniesz sam.

– Ty odejdiesz...

– Tak, ale równocześnie zawsze tu będę. Przekonasz się. To nie jest trudne. Trudna jest tylko świadomość tego, co da ci wiedzę.

Robert nagle zauważył, że nie trzyma już jej za rękę.

– Nie! – Jego krzyk odbił się echem, ale on nie był w stanie dostrzec niczego prócz labiryntu schodów. Żadnych ścian, murów czy górskich zboczy.

Kobieta była coraz dalej.

– Nie! – Czechowicz zerwał się z poduszki.

Zapalił błyskawicznie lampkę nocną i otarł pot z czoła. Pościel leżała na podłodze. Oddychał szybko, ale zaczynał już dochodzić do siebie. Spojrzał na zegarek – była druga w

nocy. Podniósł kołdrę i powoli położył się na plecach. Postanowił poczekać kilka minut, nim znowu spróbuje zasnąć.

Andrzej Korwin szedł korytarzem tak, aby jak najpóźniej dotrzeć do gabinetu Wasylszyna. Idący obok Gorec, szef ochrony, podobnie jak doktor nie miał zbyt zadowolonej miny. Ciężko go było oskarżyć o zdolność do jakiegokolwiek głębszej refleksji, ale tym razem jego twarz zdradzała zamyślenie wykraczające zdecydowanie poza obowiązki, które tu przed nim postawiono. Wizyta u profesora od pewnego czasu napawała go niepokojem, więc z ulgą przyjął deklarację Korwina, który zobowiązał się wziąć na siebie zadanie wytłumaczenia wszystkiego Wasylszynowi.

– Od jak dawna się nie zgłasza? – spytał lekarz.

– Nie mamy z nią kontaktu już prawie tydzień. Ma wyłączony telefon, nie stawiała się na umówione spotkanie, nie wiemy, gdzie jest – odpowiedział szczerze Gorec.

– Na ile może nam zaszkodzić?

– To zwykła ekspolicjantka, a w tej chwili w dodatku skorumpowana – stwierdził z przekonaniem ochroniarz. – Przestraszyła się po tamtej hecy i prysnęła.

– Jesteś pewien, że to tylko była policjantka?

– Sprawdziłem. Wiem, gdzie pracowała, ludzie, którym ufam, sporo o niej wiedzą.

– A jej obecni pracodawcy się nie niepokoją?

– Ci ochroniarze?

– Tak.

– Jest na urlopie. Dobrze wykorzystała moment.

– Co o tym myślisz?

– Poczekajmy dwa tygodnie, aż z tego urlopu wróci. Mamy na nią tyle haków, że będzie siedziała cicho. Może być pan pewien.

Korwin westchnął cicho.

– Może masz rację. Bardziej niepokoją mnie nasi ostatni goście.

– Trochę ich wystraszyliśmy. Nawet gdyby próbowali rozrabiać, nikt im nie uwierzy.

– Mam dziwne przeczucie, że nie są tymi, za których się podają.

– Doktorze, to zwykle dzieci telewizji. – Gorec uśmiechnął się z wyższością. – Żeby pan widział, jakie mieli gęby. Daliśmy im po klapsie, a miny mieli takie, jakby przejechał po nich czołg.

– Nie wspominaj o tym staremu.

– Jak pan sobie życzy, doktorze. Naprawdę, na razie nie ma się czym martwić.

– Tym, że straciliśmy kontrolę nad Czechowiczem, też nie?

Gorec spuścił wzrok. Chwilowo nie przychodziła mu do głowy żadna światła myśl, więc wolał się nie odzywać.

Do drzwi gabinetu Wasylszyna zostało im najwyżej kilka metrów i drogę tę pokonali w

milczeniu. Korwin zapukał cicho, ale donośny głos profesora natychmiast mu odpowiedział:

– Proszę!

Tym razem Wasylyszyn nie był niczym zajęty. Wyraźnie czekał na tę wizytę. Kiedy pokazali się w drzwiach, przyglądał im się uważnie, jakby z każdego ich ruchu chciał wyciągnąć jakąś informację.

– Dzień dobry, panie profesorze – powiedzieli niemal równocześnie.

– Kiedy zobaczę znowu Czechowicza w gabinecie? – spytał prosto z mostu Wasylyszyn.

– Jest mały kłopot z tą łączniczką – odezwał się nieśmiało Korwin.

– Zamieniam się w słuch – mruknął groźnie profesor.

– Ona znikła... – zaczął Gorec, ale szybko przerwał, widząc pełne dezaprobaty spojrzenie doktora.

– Znikła? – spytał Wasylyszyn, nie żałując sobie ironii.

– Przestraszyła się. Mówiłem panu, profesorze – wyjaśnił spokojnie Korwin. – To nic nie znaczy. Zresztą to tylko chwilowe opóźnienie, znajdziemy inne dojście do Czechowicza.

– Klienci się niepokoją. Andrzej, to zaczyna nam szkodzić. Jeśli się nie pospieszycie i ich zawiedzimy, wylądujemy w wynajętym mieszkaniu na Ursynowie jako banda konowalów szukających rozpaczliwie pacjentów. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Doktor przez chwilę się zastanawiał.

– Gorec, możesz nas zostawić? – rzucił nagle do ochroniarza.

– Oczywiście – odparł osiłek bez zastanowienia. Ukłonił się nieznacznie profesorowi i zniknął za drzwiami.

Wasylyszyn, mimo że nie zmienił specjalnie wyrazu twarzy, oczekiwał natychmiastowych wyjaśnień, a Korwin szybko to wyczuł.

– Panie profesorze – zaczął nieśmiało – będzie nam potrzebna pomoc... no, wie pan kogo. Proszę pozwolić mi do nich zadzwonić.

– To ostateczność – odparł sucho Wasylyszyn.

– Być może nie ma powodów do niepokoju, ale ta policjantka i ci dziennikarze...

– Co ty chcesz zrobić?!

– Chcę, aby dobrze ich sprawdzono.

– Kłamiesz. Chcesz zabić dziewczynę i unieszkodliwić tych dziennikarzy – mruknął groźnie profesor.

– Nie możemy ryzykować.

– Chcesz zabijać ludzi?! Czyś ty postradał zmysły?! Jesteś lekarzem! Robimy to, co robimy, w tajemnicy, bo nasze niezbyt bystre niestety społeczeństwo nie dorosło jeszcze do tego, aby to zrozumieć. My tu posuwamy naukę o lata świetlne, a te twoje bydlaki strzelają do policjantów i porywają ludzi, z którymi nasze badania nie mają nic wspólnego. Możesz mi powiedzieć, co ja mam zrobić z tą żoną rzecznika rządu?!

– Sam pan mówił, że nasze plany będą wymagały poświęceń, a może i ofiar.

– Tak, ale tylko tych koniecznych! – Profesor wyraźnie podniósł głos.

– Kontakt, o którym panu mówiłem, jest konieczny – naciskał Korwin. – Jeśli przestaniemy być czujni, wszystko, co do tej pory osiągnęliśmy, może lec w gruzach.

Wasyłyszyn oparł łokcie na biurku i ukrył twarz w dłoniach.

– Nie chcę o niczym słyszeć – westchnął cicho po chwili. – Zadzwoń, jeśli musisz, i powiedz im prawdę. Nic poza tym. Niczego im nie sugeruj. Nie strasz ich konsekwencjami. A już na pewno nie sugeruj im zabijania ludzi. Oni się na tym znają znacznie lepiej od nas. Niech sami pomyślą, co trzeba zrobić. Ja... nie chcę o niczym słyszeć.

– Oczywiście, panie profesorze.

– Sprowadź mi tu z powrotem Czechowicza, resztę załatw tak jak trzeba.

– Nie musi się pan o nic martwić.

Wasyłyszyn podniósł głowę i zlustrował Korwina groźnym spojrzeniem.

– Posłuchaj, Andrzej. Jestem być może stary, ale nie jestem idiotą. Więc nie traktuj mnie tak i zniknij mi z oczu, zanim naprawdę się zdenerwuję.

– Przepraszam, panie profesorze, ja tylko chciałem...

– Wyjdź!

– Tak jest, panie profesorze.

Mieszkanie Ultry nie zmieniło się specjalnie od ostatniej wizyty Adama. Dwa pokoje, mała kuchnia, skromna łazienka. Porządek i czystość. Niewiele mebli, niewiele ozdób, styl raczej ascetyczny. Dominowała tu biel przypominająca nieco sterylny klimat siedzib braminów, który pamiętał z domu Janti, tajemniczej, wychowanej na Wschodzie kobiety, którą poznał rok temu dzięki Ultrze. Od tej chwili wyczulony był na wszelkie podobieństwa do tamtego miejsca i zachowywał ogromny sentyment dla wszystkiego niemal, z czym się wówczas zetknął. Choć więc do magii domu Janti było tu daleko, ciepłe wspomnienia wywołały uśmiech na jego twarzy.

Teraz spokojnie przyglądał się agentce pakującej do torby najpotrzebniejsze rzeczy, rozparty na jedynym tu chyba krześle. Stopy położył wyżej, wychodząc z założenia, że taka postawa poprawia krwiobieg i ułatwia myślenie.

– Będziemy tam siedzieć cały czas w hotelu? – spytał trzeci już chyba raz tego dnia.

– Możesz nie jechać.

– Jestem ci potrzebny.

– Robert jest mi potrzebny. – Ultra się uśmiechnęła. – Ty, jak zwykle, znacznie mniej.

– Ja też cię lubię, ale dlaczego każesz nam się nudzić w jakiejś greckiej ruderze, kiedy sama będziesz spacerowała po jaskini lwa.

Spojrzała na niego z politowaniem.

– To niebezpieczne, daj sobie pomóc – dodał potulnie Kniewicz.

– Nie przesadzaj – zachnęła się agentka. – To, że podejrzewamy ich o kontakty z ludźmi,

których podejrzewamy o eksperymenty, które jak podejrzewamy, są nielegalne, to jeszcze nie koniec świata. To po prostu zwykła obserwacja. Agencja umieściła mnie tam jako doktorantkę, wy nie będziecie mieli szans zrobić dwóch kroków za ogrodzenie.

– Wow! Jak to zrobili?

Ultra ponownie uśmiechnęła się szeroko.

– Korzystasz z każdej okazji, cwaniaku?

– Wiesz, jak jest. Taki zawód.

Dziewczyna przerwała na chwilę pakowanie.

– I co ci przyjdzie z takich informacji? Opublikujesz je? Przecież wiesz doskonale, że nigdy ci na to nie pozwolimy.

– Chodzi o to, że zaczyna mi się podobać ta robota – mruknął zaczepnie.

– Nie miałaś dosyć rok temu? Mało najadłeś się strachu?

– A wyglądam na przestraszonego?

Ultra pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Proszę bardzo. Zapraszam do szkoły oficerskiej, potem dwuletnie, potwornie ciężkie szkolenie, praktyka w szkole FBI w Quantico i możesz się do mnie zgłosić po referencje.

– Już biegnę, ale wcześniej powiedz, co mam zabrać do tej Grecji.

– Napiszę ci na kartce. Osobistych rzeczy jak najmniej.

Dzwonek telefonu oderwał na chwilę agentkę od torby.

– Słucham.

– Tu Robert – rozległo się w słuchawce.

– Czechowicz?

– Nie, de Niro. Co mam zabrać?

Ultra wzniosła oczy ku niebu.

– Następny – warknęła zniecierpliwiona. – Nie jedź na razie do domu i siedź na tyłku na mecie. Ja pójdę po to, co trzeba.

– Przecież sama mówiłaś, że mam już spokój.

– Przyjedziemy do ciebie za godzinę. Pooglądaj telewizję, zjedz kanapkę, palnij sobie colę i nie truj. Zajmiemy się wszystkim.

– Jak chcesz – odparł mrukliwie i się rozłączył.

– Jest podobny do ciebie sprzed roku – rzuciła Ultra do Adama, odkładając słuchawkę.

– Jest podobny do każdego, komu przytrafia się taki numer. Co to? – spytał, widząc niewielkie czarne pudełko, które wyjęła z szuflady biurka stojącego niedaleko łóżka.

– Zapalniczka.

– Ale nie do papierosów?

– W środku ukryte są specjalny czujnik i mikrofon, który odczytując odpowiednio fale dźwiękowe, jest w stanie przekazać rozmowę z bardzo dużej odległości.

– Jak to wygląda w praktyce?

– Nie wolno ci z nikim o tym rozmawiać.

– Oczywiście.

– Można przymocować go na przykład do rury od kaloryfera i przy odpowiednim ustawieniu podsłuchać rozmowę z mieszkania kilka pięter wyżej.

– Nie wierzę – przyznał szczerze Kniewicz.

– To starość. – Ultra machnęła ręką. – Takich rzeczy Stasi używała jeszcze w latach osiemdziesiątych.

Adam ponownie z uznaniem pokręcił głową.

– Ale to – agentka wyjęła z szuflady buteleczkę wyglądającą jak pojemnik z aerozolem – jest już trochę nowsze.

– Środek zabijający w sekundę?

– Nie. Sztuczny piesek. Mój ulubiony.

– No proszę...

– Spryskujesz tym dyskretnie delikwenta, a potem możesz go śledzić lub odtworzyć trasę, jaką się poruszał. Jeśli zasuwał pieszo, można to zrobić nawet kilka godzin później.

– Tak długo zostaje ślad zapachowy?

– Bardzo długo. Oczywiście dla śledzonego i dla nas to bezwonna substancja, ale dla psa to takie wrażenie, jakbyś ty znalazł się w samym środku smażalni kurczaków.

– Są specjalnie do tego szkolone psy?

– Tak, ale obecnie rzadko już się je wykorzystuje. Wystarczy ten czujnik. – Ultra wyjęła kolejne, tym razem zielone pudełko wyposażone w kilka diod.

– Sztuczny piesek – roześmiał się Kniewicz.

– Prawie tak samo czujny, a nie żre i nie wyrywa ci ręki ze stawów, kiedy widzi sukę.

– Co to za zapach?

– Kiedyś robiono go z hormonów rozrodczych samic owczarków. Teraz został trochę zmodyfikowany, ale zasada jest podobna. Mógłbyś nie gnieść mojej kiecki? – spytała z nadzieją dziewczyna, widząc, jak Adam opiera rękę na leżącej na łóżku sukience.

– Przepraszam. – Kniewicz szybko się zreflektował i wygładził z szacunkiem pognieciony materiał.

– Żebyś nie pytał bez przerwy „A co to?”, na koniec zagadka: Ile mam na sobie aparatów fotograficznych?

Dziennikarz uważnie przyjrzał się agentce.

– Pod bluzką... może w broszce?

– Pudło. W jednym z guzików, w klamercie paska i w bucie. – Ultra klasnęła z zadowoleniem. – Przecież takie rzeczy są nawet w filmach szpiegowskich.

– Na lotnisku nie wykryją tego?

– Nie ma szans. Zresztą daj spokój, zimna wojna się skończyła. Nikt nie będzie szukał takiego sprzętu. Pomóż mi zamknąć torbę.

Adam wstał i docisnąwszy kolanem, z dużym trudem zapiął zamek błyskawiczny.

– Jak tam u ciebie? – spytała nagle dziewczyna, gdy ponownie usiedli.

Kniewicz odpowiedział pytającym wzrokiem.

– No, dawno nie pytałam... Co tam u Marty?

Dziennikarz uśmiechnął się szeroko.

– W porządku. W tej chwili wyjechała z ekipą na Śląsk, coś tam kręca.

– Jak wam leci?

– Jak zwykle, nieźle. Potrzebowaliśmy trochę czasu, by odreagować tamte sprawy, ale na razie do psychiatry nie chodzimy.

– To dobrze. Ożeniłeś się z nią?

– Jeszcze nie, ale trzeba będzie o tym pomyśleć. Będziesz świadkiem?

– Zawsze i wszędzie.

– Jesteś kochana. – Adam spoważniał, przyglądając się dziewczynie.

– Dobrze cię widzieć w dobrej formie po roku. Myślałam, że po tamtej aferze już się nie spotkamy – powiedziała cicho.

– Ja też tak myślałem – odparł, nie spuszczać z niej wzroku. – Ale teraz wygląda na to, że jeszcze będziesz miała mnie dość.

Agentka podniosła się i rozprostowała ręce.

– Tego jestem pewna – stwierdziła rezolutnie. – Chodź, pojedziemy po naszego doktora.

– To ty, synku? – usłyszał głos w słuchawce.

– Tak. Jak długo możesz rozmawiać?

– Trochę mogę. Wszystko w porządku?

Czechowicz zastanowił się chwilę.

– Tak – skłamał. – Bez problemów. A u ciebie?

– Ostatnio trochę ciężko. Ale jest tu psycholog, jakiś tam resocjalizator i można wytrzymać. Gadają, gadają i jakoś czas leci.

– Tato...

– Tak, synku?

– Muszę wyjechać, ale oczywiście cały czas będę pod komórką, jak teraz.

– Ostatnio dzwoniłem i nie odbierałaś.

– Musiałem na pewien czas wyłączyć, ale teraz wszystko jest już w porządku.

– Na pewno nic się nie stało?

– Nie... wiesz, jest taka dziewczyna... nie chcę odbierać jej telefonów.

– Aaa. – Ojciec roześmiał się, co Robertowi sprawiło dużą przyjemność. – Zawsze miałeś do tego dryg.

– To taka krępująca sytuacja, nie chcę zwracać ci tym głowy.

– Nie wygłupiaj się, ja tu mam czas, ale... – przerwał na chwilę – muszę kończyć. Do

zobaczenia. Wpadniesz w przyszłym miesiącu?

- Wpadnę.
- Na pewno niczego przede mną nie ukrywasz?
- Tato, daj spokój.
- No, to trzymaj się, synku.

Lech Wasylyszyn wszedł wolnym krokiem do swojego domu. Piękna, stara willa, w której mieszkał od ponad trzydziestu lat, zachowała swój rzadki urok, mimo że właściwie nigdy nie przeszła generalnego remontu. Gospodarze dbali o nią jednak na tyle troskliwie, że jak oceniano, jeszcze przynajmniej kilka lat żadne radykalne interwencje nie będą potrzebne.

Profesor wszedł do sieni, zdjął buty i włożył kaptcie. Pokonał krótki korytarz i otworzył drzwi do kuchni, w której krzątała się trzydziestokilkuletnia kobieta ubrana w zabawny czerwony fartuszek. Miała dość krótkie włosy, była szczupła i niezbyt wysoka. Jej twarz, poważna, może nawet trochę smutna, miała łagodne, ciepłe rysy, choć trudno ją było uznać za szczególnie piękną. Staromodne okulary dodawały jej uroku, ale sprawiały też, że wyglądała na trochę starszą.

– Cześć, tato. – Cmoknęła go w policzek. – Jak w pracy?
– Trochę ciężki dzień. Jak się dziś czuje mama?
– Lepiej niż wczoraj. Nawet pospacerowała po ogródku.
– To dobrze. Pójdę do niej. – Przeszedł ciężkim krokiem do sypialni. Zastał żonę leżącą w łóżku i oglądającą kreskówki. Zbliżył się cicho i usiadł obok niej. – Dobry wieczór, Marysiu.
– Troskliwie objął jej siwą głowę i pocałował w czoło.

– Jesteś już, Leńku. – Maria Wasylyszyn dopiero teraz oderwała się od telewizora. – Poczytasz mi?

– Oczywiście, tylko się umyję. – Uśmiechnął się ciepło.
– Późno dziś wróciłeś, Leńku. Nie męczą cię tam bardzo?
– Nie, Marysiu, wszystko jest w porządku. Jak ci minął dzień?
– Wspaniale. – Starsza pani radośnie uderzyła dłońmi w kołdrę. – Był... to znaczy był... ten...

– Hydraulik.

– No właśnie. Ale niepotrzebnie. Kazio takie rzeczy naprawia szybciej i lepiej i... w ogóle chyba on był niepotrzebnie.

– Popsuł nam się kran nad wanną, więc trzeba było wezwać hydraulika – wyjaśnił cierpliwie profesor.

– Powinieneś zadzwonić do Kazia.

Wasyłyszyn pogłaskał ponownie żonę po głowie.

– Marysiu, nasz syn nie żyje od dziesięciu lat – rzekł po jakimś czasie.

W pierwszej chwili starsza pani nie zareagowała, a następnie sięgnęła po pilota i zrobiła

głośniej.

– Pójdę się odświeżyć – powiedział profesor, wstając. – A jak wrócę, to ci poczytam.

– To, co czytałeś mi wczoraj? – spytała, wpatrując się w ekran.

– Tak. Bardzo lubisz tę książkę. – Wasylyszyn schylił się, podniósł z podłogi stary, wysłużony egzemplarz *Ani z Zielonego Wzgórza* i położył go na stoliku.

– Ach, tak... To poczytaj mi, Leńku. Nie chce mi się jeszcze spać.

– Przynieść ci herbaty?

– Herbaty? Hmm, tak, wypiję herbatę. Mój kochany Leńku, tak cię męczą w tej pracy.

Wasylyszyn raz jeszcze pocałował żonę i wyszedł do łazienki.

Odkręcił kran i z zadowoleniem stwierdził, że hydraulik dobrze się spisał. Dopiero teraz zdjął marynarkę i powiesił ją w niewielkiej drewnianej szafce zrobionej kilka lat temu specjalnie na jego zamówienie. Łazienka była na tyle duża, że w niczym to nie przeszkadzało, a ułatwiało życie starszym już przecież lokatorom. Profesor rozsunął krawat i podwinął rękawy koszuli, by umyć ręce, lecz nagle poczuł, że musi na chwilę usiąść na brzegu wanny. Kilka razy odetchnął głęboko i rozmasował starannie kark. Nie miał zbyt wiele czasu, który mógłby przeznaczyć wyłącznie dla siebie. Bardzo jednak potrzebował chociażby kilku chwil by odpędzić złe myśli. Dawno już przyzwyczyił się do nich, a wiedza doświadczonego lekarza niewiele tu pomagała.

Pomagały wspomnienia. Marzec 68 roku, piękna doktorantka z etnologii, której nabił guza, biegnąc ulicą. Mieszkał niedaleko, zaprosił ją więc do domu, zapewniwszy, że jest dobrze zapowiadającym się lekarzem, choć nie nadmienił, jakiej specjalności. Do tej pory trudno mu było uwierzyć w miłość od pierwszego wejrzenia, ale pamiętał dobrze, jak wtedy opatrywał jej głowę, trzęsąc się niczym uczeń w obawie, że zbyt szybko wyjdzie, a on nigdy już jej nie zobaczy. Śmiała się później wielokrotnie, że została ranna podczas demonstracji, ale nie z winy milicji, tylko przyszłego męża. Potem ciężkie czasy, usunięcie Marii z uniwersytetu, wyjazd do Koszalina, w którym spędzili kilka biednych, ale szczęśliwych lat. I wreszcie pobyt za granicą. Tam urodziła się ich córka, dwa lata później syn...

Profesor zauważył, że okno, w które wpatrywał się od kilku minut, traci ostrość. Szybko otarł wilgotne oczy ręcznikiem, zdjął krawat i wstał, by sprawdzić, czy strumień ma odpowiednią temperaturę. Nie spieszył się. Wyregulował wodę tak, aby była dość chłodna, i dokładnie umył ręce aż po łokcie, a następnie twarz. Zmoczył trochę ręcznik, żeby wytrzeć szyję. Chłód na karku sprawił mu ulgę, a przy tym lekko orzeźwił. Podniósł głowę znad wanny i spojrzął w lustro. Nie potrafił zdobyć się na uśmiech, ale jego twarz zachowała spokój i równowagę.

Wolno wyszedł z łazienki. Zerknął do kuchni, jednak postanowił nie przeszkadzać córce zajętej przygotowywaniem obiadu.

– Pomóc ci w czymś? – spytał na wszelki wypadek w progę.

– Nie, tato, wiesz przecież, że lubię gotować sama – odparła, nie odwracając się od dymiących garnków.

– Pójdę do mamy – mruknął cicho, bardziej chyba do siebie niż do niej.

Maria zareagowała na powrót męża nie skrywaną wesołością. Usiadła, poprawiając sobie poduszkę, i nawet przestała interesować się telewizorem.

– Co będziemy dzisiaj robić? – spytała rezolutnie.

– Poczytam ci, tak jak obiecałem.

– Aaa, tak... A jaką książkę?

– Tę, co wczoraj, dalszy ciąg.

Widząc zakłopotanie na twarzy żony, sięgnął po leżący na stoliku egzemplarz *Ani z Zielonego Wzgórza*, aby jej pokazać.

– Nie chcę tej! – zdecydowała zniechęcona.

– W porządku. – Uśmiechnął się ciepło. – Wybierzemy coś innego. – Przeszedł na drugą stronę sypialni, gdzie stał niewielki regał z najbardziej niezbędnymi książkami. Sięgnął po jedną z nich i pokazał żonie. – Może tę?

– O czym jest? – spytała.

– Zobaczysz – rzekł, siadając obok niej na brzegu łóżka. Otworzył książkę i zaczął czytać: – „Pewnego jesiennego dnia w drugiej ćwierci szesnastego wieku w starożytnym mieście Londynie urodził się chłopiec w ubogiej rodzinie Canty...”

– O czym to jest? – przerwała mu żona.

Wasyłyszyn zamknął na chwilę książkę.

– O chłopcu z biednej rodziny, który przez przypadek zamienił się miejscami z księciem Edwardem, późniejszym królem Anglii. Opisał to Mark Twain. Pamiętasz tego pisarza?

Pani Maria zastanawiała się chwilę.

– A ty go znasz, Leńku?

Profesor otworzył ponownie tom.

– Posłuchaj dalej. „Tegoż dnia urodziło się inne dziecko angielskie w bogatej rodzinie Tudor, która pragnęła go bardzo. Pragnęła go cała Anglia...” – Przerwał na moment, dostrzegłszy, że oczy Marii powoli się zamykają. Przeczytał jeszcze kilka zdań, czekając, aż zaśnie, po czym położył książkę na stoliczku. Maria Wasylyszyn nie obudziła się nawet wtedy, gdy profesor uniósł ją lekko, by ułożyć w pozycji do snu. Nie sprawiło mu to specjalnej trudności. Wciąż był silny, a ona nie była ani tęgą, ani wysoka. Poprawił troskliwie koldrę i cicho wyszedł do kuchni.

– Przepraszam, że podam tak późno – powiedziała córka, widząc, że wchodzi. – Mama bardzo mnie dziś absorbowwała.

– Nie szkodzi, nie przejmuj się, Aniu – uspokoił ją. – Trzeba pojechać po zakupy?

– Nie dzisiaj. – Machnęła ręką. – Mamy trochę zapasów.

– Kiedy pani Jadzia przyjdzie posprzątać?

– Jutro.

– To dobrze.

Profesor podszedł do stołu i usiadł na swoim krześle.

– Kędy przestanie nas poznawać, tato? – spytała nagle Anna, nie odwracając się od kuchni.

Wasyłyszyn nie odpowiedział od razu.

– Nie wiem, możliwe, że już niedługo.

– Śpi?

– Tak. – Profesor wyczuł, że Anna bliska jest płaczu. – Nie myśl o tym wszystkim, córeczko.

– Tato... ja tylko – cisnęła ścierką w kierunku zlewu – chciałabym, żeby...

– Nie myśl o tym, córeczko – przerwał jej łagodnie. – Nie myśl...

Jechali wynajętym samochodem już co najmniej trzy godziny. Dobrze, że zbliżał się wieczór, bo o drugiej, kiedy wysiedli z samolotu, upał był nie do zniesienia. Opel był duży i wygodny, ale niestety miał uszkodzoną klimatyzację. Prowadził Adam, a siedząca obok Ultra obserwowała z zainteresowaniem widoki. Krajobraz wzdłuż autostrady z Aten do Salonik, biegnącej niemal wyłącznie wybrzeżem, był mieszaniną bogatej śródziemnomorskiej roślinności oraz skalistych wzgórz, a w niektórych miejscach nawet dość wysokich szczytów. Grecja, w większości górzysta, tylko w części Tesalii, na niektórych wyspach i gdzieś tam na wybrzeżu zbiega niemalże do morza, ukazując rzadką urodę swych nizin. Jednak właśnie najwyższy grecki masyw górski, słynny Olimp, leży prawie nad samym morzem. I choć dawno już przestał gościć groźnych, mściwych bogów, nadal ściąga skutecznie turystów napychających kieszenie potomkom odkrywców demokracji i filozofii życia.

– Jak oni nie łamią sobie języka na tych nazwach? – mruknął z tylnego siedzenia Robert, wpatrując się w przewodnik.

– Thessalonike? – roześmiał się Adam.

– Saloniki to pół biedy – Czechowicz machnął ręką – ale powtórz na przykład szybko Agios Pantelemonas albo Boreios Euboikos Kolpos.

Dziennikarz pokręcił z rozbawieniem głową.

– Daj spokój. Daleko jeszcze?

– Powiem ci, jak trzeba będzie skręcić do Platamonas. Myślę, że godzina to minimum.

– Kto w ogóle nazwał to autostradą? Przecież tu są tylko dwa pasy! – jęknął niecierpliwie Kniewicz.

– Jak to kto? – Ultra wzruszyła ramionami. – Grecy, żeby jakoś rozliczyć się z pieniędzy przekazanych na ten cel przez Unię.

– Pierwszy raz widzę dwupasmową autostradę. Nawet nasza „katowicka” ma cztery pasy – pomstował Adam.

– Nie narzekaj – mruknęła agentka. – Nie ma tłoku, odpoczniesz w hotelu. – Przetarła dłońmi oczy i odwróciła się do Roberta. – Podaj mi teczkę.

– Tę z papierami?

– Tak, chcę raz jeszcze ją przejrzeć.

– Opowiesz nam trochę o tym?

– W hotelu.

– A co niby mamy teraz innego do roboty? – wtrącił się dziennikarz.

Ultra wzięła podaną przez Czechowicza teczkę, otworzyła ją i chwilę szeleściła dokumentami, starając się jakoś je uporządkować.

– Jak chcecie – zgodziła się. – Może zacznijmy od kontaktów. Billingi wskazują na to, że Pretergate i instytut na Ursynowie dzwonią do siebie bardzo często.

– Skoro jedni sponsorują drugich... – przypomniał Kniewicz.

– Ile można gadać o sponsoringu? – zaproponowała dziewczyna. – To podejrzenie częste kontakty. Nie ma dnia bez przynajmniej dwóch, trzech rozmów. Wniosek może być tylko taki: muszą mieć jeszcze inne interesy oprócz tych, o których wiemy.

– Tak sądzą twoi ludzie w agencji?

– Tak.

– Kto z kim gada?

– To trudno ustalić, bo w billingach mam tylko numery, ale fakt jest faktem.

– Powiedz o ludziach – wtrącił Czechowicz.

Ultra szukała jakiś czas odpowiedniej kartki.

– O Pretergate wiecie dość dużo: bogaci, tajemniczy, hojni, bardzo skuteczni. W Polsce oddział prowadzą Karol i Jan Gęśliccy. Bracia. Bardziej biznesmeni niż archeolodzy. Zajmują się forszą i organizacją. Od prawdziwej roboty jest niejaki Leszek Goźlakow, typowy jajogłowy. Doktorat w dwudziestym piątym roku życia, liczne prace na temat metodologii badań archeologiczno-historycznych, analizy, wykopaliska, interpretacje danych i tak dalej. Rozwiedziony, nie ma dzieci. Zatrudniają wielu ciekawych ludzi, na przykład Karola Meisnnera, językoznawcę i poliglotę. To nieprawdopodobne, ale facet zna ponad czterdzieści języków! Siedzi głównie za granicą, lecz często wpada do Polski. Podobno dość blisko przyjaźni się z Goźlakowem. Jest tu sporo nazwisk, jednak chyba nie ma sensu, żebym o wszystkich wam teraz mówiła. Jeśli ktoś będzie szczególnie potrzebny, wtedy go przerobimy.

– A instytut? – spytał Robert.

Agentka znów poświęciła kilka sekund na wydobycie odpowiedniego dokumentu.

– Podobnie jak Pretergate, to dość młoda firma, jeśli można tak powiedzieć o miejscu, w którym leczy się nerwice i psychozy. Istnieje od dziesięciu lat. Założycielem i dyrektorem generalnym jest profesor Lech Wasylszyn, wybitny psychiatra. Dziesięć lat temu jego syn zginął w wypadku, najechał na niego pijany kierowca. Mieszka z żoną i córką. Żona ma Alzheimera, ale opiekuje się nią w domu.

- O Boże – westchnął Adam. – Nie ma facet łatwego życia...
- Doktor Mengele też nie miał łatwego życia – burknął Czechowicz.
- Bardzo pomaga mu córka, z wykształcenia filolog, ale nie pracuje – wyjaśniła Ultra. – Całe życie mieszkała z rodzicami, nigdy nie wyszła za mąż.
- A ten, który nas oprowadzał? – spytał Kniewicz.
- Doktor Andrzej Korwin, asystent Wasylyszyna. Kawaler, samotnik, podobno bardzo ambitny. O instytucie mówił prawdę, ich metoda to tak zwane działania wielotorowe. Zatrudniają mnóstwo lekarzy różnych specjalności. Zdaniem naszych chłopców większość z nich nie ma pojęcia o nielegalnych eksperymentach firmy. Być może odpowiedzialna jest za to jedynie garstka wtajemniczonych.
- Wiemy coś o tych mięśniakach, od których dostaliśmy wpierdziel? – spytał ponownie Adam.
- Na razie niewiele, ale za kilka dni powinniśmy dostać więcej danych. Szefem ochrony jest niejaki Zenon Wellman, pseudonim Gorec. Pracował w kilku agencjach ochrony, zatrudniał się też do strzeżenia Ruskich na Stadionie Dziesięciolecia. Żywe kontakty z Pruszkowem, ale nigdy nie był karany. Od lat współpracuje z Romanem Rogalskim, znanym jako Rosłon. Ponadto instytut zatrudnia w tym charakterze jeszcze przynajmniej dziesięć osób.
- Lewa ta ochrona – podsumował Kniewicz. – Chociażby za to można by się do panów z instytutu przyczepić.
- Nie takie to proste – zaprzeczyła Ultra. – Żaden z nich nie był karany. Sprytnie to urządzili. Wybrali ludzi z odpowiednią przeszłością i słono im płacą. Żeby ich napocząć, trzeba by najpierw cokolwiek im udowodnić.
- Pacjenci nie byliby zadowoleni, gdyby się dowiedzieli, kto pracuje dla ich lekarzy – zauważył Czechowicz.
- Masz rację – przyznała dziewczyna. – Można by im zaszkodzić, może nawet zdyskredytować ich w oczach klientów, ale nic poza tym. Ich trzeba udupić, Robert. Udowodnić winę i wysłać do pierdła.
- Czechowicz pokiwał głową.
- Przejrzyj te papiery. – Podała mu teczkę. – Kiedy już tam wejdziesz, będę miała do ciebie kilka pytań.

Hotel Hellas w słonecznym Platamonas był trzypiętrową budą ustylizowaną na model, jak to określali starzy bywalcy, „średniopółgrecki”. Większość wysiłków wkładanych przez właścicieli takich przybytków tubylczej gościnności w wyciąganie forsy od turystów od lat skupiała się na dostosowaniu jedzenia, atmosfery czy mieszkania do takich warunków, aby wczasowicze mieli wrażenie, że w pełni chłoną „greckość”, a równocześnie dziwnym trafem czują się jak w domu. Stąd polski turysta może przeżyć niemały wstrząs, znajdując w karcie

takie pozycje, jak „bigos po grecku” czy „schabowy a la Olimp”; Anglicy bywają powiadamiani o słynnym greckim zwyczaju spożywania herbatki o piątej; Włosi zaś łamią sobie język na przedziwnej nazwie greckiego placka z roztopionym serem, fragmentami mielonego mięsa, cebuli i innych warzyw, który ciężko im doprawdy odróżnić od swojskiej pizzy. Nie jest już obecnie tajemnicą, że coraz trudniej znaleźć na greckim wybrzeżu prawdziwą grecką knajpę, w której podadzą tztziki czy gyros, nie siląc się na dostosowywanie tradycyjnych potraw do dającej gwarancję dobrego zarobku macdonaldyzacji. Niestety, prawdziwa Grecja zaczyna się dopiero kilkadziesiąt kilometrów od morza i nic się na to nie da poradzić. A styl dość eufemistycznie zwany „półgreckim” zanika wprost proporcjonalnie do malejącego prawdopodobieństwa, że w okolicy może się zabłąkać jakiś niezbyt rozgarnięty turysta.

W miejscowości takiej jak Platamonas łatwo zrozumieć, na jakich przesłankach opiera się powiedzenie „udawać Greka”, i to od razu dogłębnie. Adam Kniewicz, mieszkający na ostatnim piętrze hotelu Hellas, okazał się wielce pojętnym uczniem. Zerwał się na równe nogi o pierwszej w nocy, gdy zorientował się, że jego łóżko jest całkowicie przemoczone.

– Kurwa mać! – wrzasnął, lądując na podłodze.

– Co się dzieje? – spytał zaspany Robert Czechowicz, przecierając oczy.

– Chyba pada deszcz! – warknął Kniewicz przez zęby.

– Zdarza się.

– Ale wprost na moje łóżko! – dokończył dziennikarz.

– Jak to możliwe? – Lekarz usiadł i zapalił lampkę nocną.

– Ten cholerny dach przecieka! – jęknął Adam.

– Ja mam sucho.

– Bo śpisz po drugiej stronie pokoju, a dziura jest nade mną!

Czechowicz wstał i wolno podszedł do łóżka Kniewicza, aby lepiej się przyjrzeć.

– Cholera – przyznał nie bez zdziwienia – cieknie jak z kranu.

– Co ty powiesz...

– Chodźmy do właściciela. – Sięgnął po leżący na krześle dres.

Kniewicz stał osłupiały.

– No, idziesz? – spytał Czechowicz.

– Idę – burknął Adam, po czym wciągnął krótkie spodenki.

Czechowicz otworzył drzwi i wyszli na korytarz. Na dole słychać było odgłosy zabawy, co dawało nadzieję, że właściciel jeszcze nie śpi. Zeszli po schodach. W recepcji nie było nikogo, ale przez otwarte drzwi restauracji dostrzegli faceta, który przedstawił im się wczoraj jako Mikis, właściciel hotelu. Siedział uśmiechnięty, przyglądając się dwóm tańczącym parom oraz szczerbatemu akordeoniście ochoczo przygrywającemu niedobitkom bardzo już nietrzeźwych gości. Mikis miał około czterdziestu lat, gęste, czarne włosy oraz twarz niezbyt oświeconego rolnika. Ujrzawszy w drzwiach dwójkę nowych gości, podniósł się i podszedł

do nich.

– Kłopoty ze snem? – spytał po angielsku.

– W naszym pokoju z sufitu leje się woda – zaczął prosto z mostu Czechowicz.

– Bo pada deszcz – odparł Mikis.

Lekarz przez chwilę nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Zaklej dach albo daj nam inny pokój – warknął Kniewicz.

– *I don't... excuse me?* – Mikis nagle zapomniał angielskiego.

– Mój kolega nie może spać! – burknął gniewnie Robert.

– *Who?*

– Adam, mój kolega!

– *Who?*

– *Who, who, who?! Co ty, kurwa, sowa jesteś?! – nie wytrzymał Kniewicz. – Ja! Rozumiesz?! Dawaj inny pokój!*

– *I'm sorry, I don't understand... I speak poor... I must go... professional duties...* – Mikis odwrócił się, by uciec.

– Tu masz obowiązki! – krzyknął jeszcze za nim Kniewicz. – Wracaj!

Grek ruszył szybko w kierunku kuchni. Machał bezradnie rękami w odpowiedzi na wrzaski Roberta i Adama, od czasu do czasu odwracał się w ich stronę, by z uśmiechem wyznać *Sorry, I don't understand*, i wreszcie zniknął za drzwiami dla obsługi.

Oślupiali turyści stali jeszcze jakiś czas, a ich północnoeuropejskie umysły starały się pojąć, jak mogło dojść do tak abstrakcyjnej sytuacji. Gdy się wreszcie odwrócili, dostrzegli czekającą na schodach Ultrę.

– O co poszło? – spytała spokojnie.

– O dziurę w dachu – wyjaśnił wściekły Kniewicz.

– Może jednak zmienimy hotel? – zaproponował Robert.

– Wolałabym nie. Z pewnością jutro dziura w dachu zniknie.

– Przecież słyszałaś, co powiedział! – jęknął dziennikarz.

– Tacy już są. Będą machali rękami, udawali, że nie wiedzą, o czym mówisz, a o piątej rano wyślą na dach robotników. Zobaczycie.

– Może jednak...

– Nie chcę się rzucać w oczy w jakimś wypasionym hotelu – przerwała dziewczyna. – Prześpijcie się dzisiaj w moim pokoju, a jutro wszystko wróci do normy.

Chwila ciszy oznaczała, że nie są zadowoleni z takiego rozwiązania.

– Mielicie robić to, o co was poproszę – przypomniała im.

Czechowicz rozłożył ręce.

– Jak uważasz – mruknął cicho i ruszył w kierunku schodów.

Wciąż niepokieszony i wyprowadzony z równowagi Kniewicz podążył za nim, pomstując mściwie.

Zbliżając się do gabinetu premiera, Jędrzej Morawiecki miał złe przeczucia. Mimo że nie był w najlepszym stanie psychicznym, po dwóch latach pracy na stanowisku rzecznika rządu potrafił wyczuwać niebezpieczeństwa i zręcznie je omijać. To jednak dotyczyło głównie przeciwników politycznych, dużo trudniej natomiast było stawiać czoło zagrożeniom we własnych szeregach. „Strzeż mnie, Boże, od przyjaciół, z wrogami sam sobie poradzę”, przypomniał sobie aforyzm i nacisnął klamkę potężnych drzwi.

Premier siedział przy biurku i czytał jakieś sprawozdanie. Nie zareagował na szmer otwieranych drzwi. Miał mniej więcej sześćdziesiąt lat, całkowicie siwe, ale gęste i starannie uczesane włosy oraz zdrową, opaloną cerę. Jego twarz sprawiała wrażenie, że jest lekko uśmiechnięty, ale każdy, kto znał go osobiście, doskonale wiedział, że nijak nie przekłada się to na jego aktualny nastrój. W rzeczywistości szef rządu był człowiekiem chłodnym i raczej mało kontaktowym.

– Wzywał mnie pan... – zaczął Morawiecki, zbliżając się do biurka.

– Już kończę – mruknął premier znad dokumentów.

Rzecznik usiadł w fotelu i przymknął na chwilę oczy. Był spokojny. Roztarł starannie dłonie i rozmasował szyję.

– Jak się trzymasz? – spytał premier, odkładając raport na prawą stronę biurka.

– Biorąc pod uwagę sytuację, oceniam, że dobrze.

– Czyżby? – Szef rządu zatrzymał wzrok na rzeczniku.

– To nietypowa i stresująca sytuacja.

– Bardzo nietypowa i dlatego musimy poważnie o tym porozmawiać.

Morawiecki wyczuł w chłodnym tonie premiera zakłopotanie.

– Co pan przez to rozumie? – spytał z wysiłkiem.

– Nie zdołamy dłużej ukrywać przed prasą, że zaginęła żona rzecznika rządu.

– Zdaję sobie z tego sprawę, ale śledztwo, o ile wiem, toczy się bardzo... jest intensywne.

Premier sięgnął po szklankę z sokiem, która zawsze towarzyszyła mu w gabinecie.

– Wiem, Jędrzej, jak toczy się śledztwo. Codziennie dostaję raporty, ale to nie zmienia postaci rzeczy. Musisz odpocząć.

– To znaczy? – zaniepokoił się Morawiecki.

– Notowania rządu spadają, mamy dużo kłopotów. Nie stać nas na kolejne wpadki. Mówiąc wprost, w poniedziałek mianuję rzecznikiem Burzyńskiego. – Uważnie obserwował twarz Morawieckiego.

– Kiedy mam się podać do dymisji? – zapytał spokojnie Jędrzej.

– Natychmiast. W sprawy zdrowotne nikt nie uwierzy, ale jako powód możesz podać „ważne sprawy rodzinne”. Całość i tak prędzej czy później wyjdzie na jaw. Będziemy kryci.

Spokój i opanowanie Morawieckiego zaimponowały premierowi.

– Nie traktuj tego jako odsunięcia. – Uśmiechnął się, wstając z fotela. – W tej drużynie

nadal jesteś jednym z najważniejszych trybów. Chciałbym, abyś to zrozumiał.

– Oczywiście.

– I wpadnij na jutrzejsze przyjęcie.

– Moja sytuacja raczej nie sprzyja zabawom – stwierdził dosadnie Morawiecki.

Premier przyjął z pokorą sposób, w jaki został skarcony. Pokiwał znacząco głową, podszedł do Jędrzeja i poklepał go lekko po ramieniu.

– Dowiemy się, kto za tym wszystkim stoi – zapewnił, ruszając w kierunku drzwi, co oznaczało koniec spotkania.

Morawiecki wstał ciężko z fotela i również podszedł do drzwi. Podał rękę premierowi i wyszedł bez słowa.

– Pieprz się, skurwysynu! – mruknął pod nosem, gdy tylko drzwi się zatrzasnęły.

Szli wolno pod górę piaszczystą drogą. Skały, przecinające rzadki w tym miejscu, typowo śródziemnomorski las, dodawały niewątpliwie uroku i tak znanemu już na całym świecie z urody środkowemu wybrzeżu kontynentalnej Grecji. Upalna pogoda poprawiała trochę nastrój idącym, ale wilgoć po nocnym deszczu nieco jednak męczyła, zmniejszając tempo marszu.

– Udało wam się jeszcze zasnąć po tej awanturze? – spytała nagle Ultra.

– Ja padłem natychmiast – przyznał Robert.

– A ty? – Obróciła się w stronę Adama.

– Jest w porządku – burknął Kniewicz.

– Uspokoileś się trochę?

– Wypiłem kilka litrów nervosolu, będę spokojny do następnej zimy.

Czechowicz parsknął śmiechem.

– Miałas rację – przyznał. – Jak wychodziliśmy, widziałem robotników na dachu.

– Ja też. – Agentka pokiwała głową, dostrzegając w oddali początek metalowego ogrodzenia. – Zaczekajcie tu chwilę, aż wejdem. Przejdźcie się później dokoła jakby nigdy nic i wracajcie.

– A jak coś zauważymy? – spytał dziennikarz.

– Moim zdaniem nie ma tu nikogo prócz jajogłowych z łopatkami i szczoteczkami do czyszczenia znalezisk.

– To czego tu szukamy? – spytał Robert.

– Śladów tych, którzy pociągają za sznurki. Może będziemy mieli trochę szczęścia.

– Ci ludzie muszą coś wiedzieć. – Adam wzruszył ramionami. – Nie mówcie mi, że nie mają pojęcia, czego szukać.

– I co z tego? – Ultra zatrzymała się. – Mamy na nich tylko to, że finansują nielegalne eksperymenty medyczne. Ci archeolodzy mogą nie mieć z tym nic wspólnego. Pracują w dobrze prosperującym molochu i wykonują swoją robotę. Wiedzą, że są skuteczni, wiedzą

dłaczego i ja też wiem: bo mają forsy jak lodu. Stać ich na dowolne badania w każdym niemal kraju. Ich kasa otwiera najbardziej strzeżone sejfy, wyciąga największe, do tej pory z różnych względów ukrywane tajemnice. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie fakt, że te pieniądze są zwyczajnie brudne. Pochodzą być może z zakrojonego na szeroką skalę handlu ludzkimi organami, z produkcji broni, o której nie mamy pojęcia, albo z gigantycznego międzynarodowego szantażu, nie wiem. Strzelam, bo, do cholery, nie wiem nawet, jak się do tego zabrać. Zmieniają ludziom osobowość. Może robią z nich żołnierzy samobójców, może produkują psychopatów mających zabijać ludzi niewygodnych dla rządów. Pieniądze można zrobić na wszystkim.

– Nie strasz mnie – wtrącił Czechowicz.

– Z tobą nic nie zdążyli zrobić, jesteś łagodny jak baranek.

– To się okaże.

– Teraz ty mnie nie strasz. – Adam pokręcił głową. – Jak zaczniesz obrastać w sierść i wyrosną ci szpony, koniec z przyjaźnią.

– Bardzo śmieszne – skomentowała ponuro Ultra.

– A co nam pozostało? – Kniewicz wzruszył ramionami. – Zrobiłaś się zręczliwa jak moja kierowniczką produkcji.

– Zostaw ją. – Robert machnął ręką. – Wkurza się, bo nic nie wiemy.

– Żebyś wiedział – obruszyła się dziewczyna.

– O której miałaś tam być? – spytał praktycznie dziennikarz.

– Spokojnie, mam jeszcze kilka minut.

– Handel informacją. To może być dobry trop. – Czechowicz doszedł do wniosku, że rozmowę należy skierować na poprzednie tory.

– Też tak myślę – przyznał Kniewicz. – Ruscy przez dwadzieścia lat ukrywali niezbite dowody na śmierć Hitlera, Anglicy nie nagłaśniali Katynia, gdzieś w tajnych archiwach FBI jest napisane, kto zabił Kennedy’ego. Takich skrywanych tajemnic, nierzadko kompromitujących ważnych ludzi jest mnóstwo.

– No dobrze. – Ultra klasnęła cicho, jakby chciała podsumować ten wątek. – Zrobię tam trochę zdjęć, spróbuję pociągnąć za język kilka osób. Wieczorem może coś z tego ulepimy i będziemy mieli od czego się odbić.

– Leć już – ponaglił ją Adam.

– W porządku. Jak wejde, poczekajcie kilka minut i dopiero wtedy...

– Już to mówiłaś – zauważył Kniewicz.

– No tak... trzymajcie się.

– Ty się trzymaj – rzekł poważnie Czechowicz.

Agentka spojrzała raz jeszcze na torebkę, którą przewiesiła przez ramię, i ruszyła w stronę wejścia.

Teren nie wyglądał na wyjątkowo silnie strzeżony, ale strażnicy byli dobrze widoczni.

Ultra przeszła dość dokładną kontrolę i otrzymała specjalny identyfikator. W torebce nie miała oczywiście żadnego sprzętu, który mógłby wzbudzić podejrzenia ochrony, a mikroaparatów nie byłoby w stanie wykryć zwykli strażnicy dysponujący półamatorskim sprzętem.

– Proszę tu chwilę zaczekać – powiedział po angielsku kędzierzawy dryblas stojący przed drewnianą wartownią. – Zaraz ktoś po panią przyjdzie.

Ultra rozejrzała się. Z tego miejsca niewiele było widać, a wykopaliska częściowo skrywały się za lasem. Teren jednak był pagórkowaty, więc agentka widziała gdzieś w oddali pracujących ludzi. Na oko ogrodzenie otaczało sporą powierzchnię.

Zza drzew wyłonił się niewysoki, dość tęgi jegomość; wyraźnie podążał w jej kierunku. Podeszedł i raczej obojętnie podał jej rękę.

– Pani Anna Jędrzejczak?

– Tak.

– Nazywam się Wojciech Burchard i polecono mi, abym się panią zajął. Rekomendował panią profesor Mrowiec z Warszawy. Pisze pani doktorat z analizy artefaktów, mam rację?

– Konkretnie z...

– Mówiąc szczerze, niezbyt oryginalne – przerwał jej Burchard. – Coś jeszcze da się w tym względzie wymyślić?

– Zawsze się da. – Ultrę rozdrażniła opryskliwość archeologa. – Prezentuje pan dziwny pogląd, biorąc pod uwagę rangę firmy, w jakiej pan pracuje.

– Ja swój doktorat już obroniłem, więc proszę mnie nie pouczać. Idzie pani?

Agentka ruszyła, mając jednak nadzieję, że nie będzie skazana na tego obleśnego typa przez cały dzień. Szli w milczeniu. Minęli kilka prowizorycznych drewnianych budek, najpewniej przeznaczonych do przechowywania sprzętu. Po mniej więcej pięciuset metrach na dość rozległej polanie Ultra dostrzegła grupę ludzi krzątających się wokół kilku okazałych rowów. Podzielone były siatkami odkrywcowymi, a na ich obrzeżach widniały tabliczki *Platamonas/C2/2*, *Platamonas/C2/3*, kawałek dalej S3, 50, 3,5 h-7. Przy każdym z dołów piętrzyła się okazała hałda. Dziewczyna podeszła do jednego z nich. Wewnątrz dostrzegła porozkładane miarki, całówki, niwelator, a nawet teodolit.

– To stanowisko numer siedem – mruknął Burchard. – Kieruje nim doktor Kuc. Jest w tej chwili na naradzie, na której ja również muszę się zaraz zjawić. Nim wróci doktor, może się pani rozejrzeć, ale przed zapoznaniem się z regulaminem proszę niczego nie ruszać. Muszę już iść. – Obrócił się na pięcie i szybko odszedł.

Agentka przez chwilę stała w miejscu, nie bardzo wiedząc, co robić.

– Najtrudniejsze za tobą! – usłyszała za plecami.

– Słucham? – Dopiero teraz dostrzegła wychodzącą z najbliższego wykopu rudą trzydziestolatkę. Kobieta miała na sobie krótkie granatowe spodenki i zieloną koszulkę na ramiączkach. Miała ładną, pogodną twarz, a przy tym donośny, niski głos.

– Najtrudniejsze za tobą – powtórzyła. – Poznałaś największego dupka w promieniu wielu kilometrów. – Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

Ultra odpowiedziała jej uśmiechem.

– Kamila. – Kobieta wyciągnęła rękę.

– Anka – przedstawiła się agentka.

– Jesteś tą doktorantką?

– Tak. Już wszyscy tu o mnie słyszeli?

– Tylko na „siódemce”, nie przejmuj się. Ludzie tu w większości są w porządku.

– To dlaczego nagle uciekają?

– Idą na lunch. Chcesz coś zjeść?

– Nie. A ty...? – spytała dziewczyna.

– Jestem z ekipy Kuca, z Krakowa.

– Dawno w firmie?

– Pół roku.

– I jak?

Kamila usiadła na ziemi.

– Super. Na razie super.

Agentka uśmiechnęła się i spoczęła obok niej.

– Nie idziesz jeść?

– Mam własne jedzenie, nie lubię tych ich tutejszych wynalazków. – Wyjęła sporą kanapkę z niewielkiego plecaka leżącego obok hałdy.

– Czego tu szukacie? – spytała Ultra.

Kamila pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Nie musisz się wstydzić. Ja, w przeciwieństwie do tego kretyna, wiem, że jesteś geologiem, a nie archeologiem. – Uśmiechnęła się zawadiacko. – To żadna tajemnica. Istnieją poważne przesłanki ku temu, że na tym terenie ukryte są różnego rodzaju dowody na ścisłe związki niejakiego Ariomacha z Egiptem.

– Nie wiem, czy nadażam... – przyznała się Ultra.

Kamila machnęła ręką.

– Nie przejmuj się, zawsze gadam na skróty. Ariomach był dość znanym w swoich czasach podróżnikiem i często bywał w Egipcie. Miał tam wielu przyjaciół i właśnie jego kontakty, szczególnie z kapłanami, najbardziej nas interesują. Pamiętaj, to było dwa tysiące trzysta lat temu.

– Nieźle...

– Dlatego kopiemy. Skupiamy się przede wszystkim na jego związkach z Manetonem z Heliopolis.

– Coś o tym słyszałam. Podobno Maneton był historykiem.

– Z dzisiejszego punktu widzenia tak – przyznała Kamila. – Przede wszystkim był

kapłanem, ale jak to wówczas bywało, kapłani lubili zajmować się astronomią, medycyną, historią, a nawet inżynierią.

– W szkole pani o tym wspominała. – Agentka się uśmiechnęła.

– No właśnie. Maneton, jak pewnie wiesz, jest autorem najlepszej historii Egiptu od okresu predynastycznego do Aleksandra Wielkiego. To dzięki niej tak wiele dzisiaj wiemy o Egipcie. Ważne jest to, że być może pod wpływem Ariomacha Maneton spisał swoje dzieło po grecku. A więc olewając kamień z Rosetty, moglibyśmy czerpać wiedzę o najstarszych faraonach od stuleci!

– Dlaczego kopiecie właśnie tutaj?

– To dłuższa opowieść.

– I tak muszę czekać na koniec jakiejś narady.

Kamila ponownie machnęła charakterystycznie ręką.

– O historii mogę gadać w kółko. Na pewno cię to nie nudzi?

– Skądże.

– Egipt był w tych czasach niezależnym krajem, ale hellenistycznym. Pamiętaj, to był okres Ptolemeuszy. Prawdą jest, że językiem urzędowym był już wówczas grecki, ale wielu kapłanom, których władzę dzięki opanowaniu systemu biurokracji egipskiej stale ograniczali spadkobiercy Sotera, niezbyt się to podobało. Jeśli więc kapłan, i to tak światły i odważny jak Maneton, napisał dzieło o historii swojego kraju w obcym języku, to prawie na pewno ktoś musiał na niego wpłynąć. Może właśnie był to Ariomach.

Ultra wyjęła z torby czapkę i włożyła ją na głowę.

– Cholerny upał – stwierdziła Kamila.

– To prawda, nie jestem przyzwyczajona.

– Może chcesz coś do picia?

Agentka jakiś czas nic nie mówiła, oddając się poszukiwaniom kremu z odpowiednim filtrem.

– Nie, dziękuję – rzekła po chwili. – Mogę jeszcze o coś zapytać?

– Jasne.

– Jaki był Egipt w tamtych czasach? Zamknięty, odosobniony, otwarty, słaby, mocny?

– Sporo już na ten temat wiemy, ale mamy nadzieję, że te wykopaliska znacznie poszerzą naszą wiedzę. Za Ptolemeuszy nastąpił gwałtowny rozkwit kultury. Aleksandria stała się głównym ośrodkiem wielu nauk: matematyki, astronomii, medycyny, sztuki. Hellenistyczna i orientalna kultura przenikały się, a owocami tych czasów są na przykład założone przez Ptolemeusza I słynne Muzeum Aleksandryjskie czy wspaniała Biblioteka Aleksandryjska. Z tego punktu widzenia było naprawdę niekiepsko. Grunt, na którym wyrosła przyjaźń Manetona i Ariomacha, mógł być wówczas szczególnie twórczy. Dlatego tu jesteśmy.

– No właśnie, dlaczego tutaj?

Kamila pokiwała głową.

– Bo tutaj mieszkał Ariomach.

– Tu stał jego dom?

– Tak. Pochodził z wysp, ale mieszkał tutaj.

Ultra zebrała się w sobie, aby przybrać jak najbardziej obojętną minę.

– Skąd o tym wiecie? – spytała ostrożnie.

– Ha! – roześmiała się głośno Kamila. – To jest Pretergate. Tu każdy ma swoje miejsce. My jesteśmy od kopania. Ten facet – wskazała wysokiego mężczyznę ubranego całkowicie na zielono – jest od pilnowania obiektów, a grupa starannie wybranych naukowców jest od badań i tak zwanych śledztw historycznych. Oni tylko przekazują nam informacje przez kolejną grupę, która do tego właśnie służy, i tak to się kręci. Skąd to wiedzą? Nie mam pojęcia. Z pewnością to długi i skomplikowany proces badawczy. Prawdę mówiąc, nie interesowałam się ich metodami, za to bardzo intensywnie wynikami.

Ultra pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Nigdy nie byłaś ciekawa, dlaczego są tak skuteczni?

– Wiesz, to jest tak jak z telewizorem. Mówiąc szczerze, ma dla mnie drugorzędne znaczenie, jak to się dzieje, że na ekranie pojawiają się postacie, barwy i kształty. Interesują mnie one same w sobie, i to mi wystarcza. Podsumowując, mam jak najbardziej profesjonalnie wykonywać swój zawód, nic poza tym. A ty co? Na stare lata chcesz zostać detektywem?

Ultra zrećnie ukryła zaniepokojenie tym pytaniem.

– Nie śmieć się ze mnie – odpowiedziała. – Po prostu jestem ciekawska. Musisz mi wybaczyć. Kiedy się jedzie na badania do tak słynnej firmy, to sama wiesz...

– Jasne. – Kamila ponownie machnęła ręką. – Rozumiem cię doskonale. Też na początku taka byłam, ale tu się codziennie robi tyle ciekawych rzeczy, że ciężko się zajmować czymkolwiek innym.

– Co spodziewacie się znaleźć?

– Choć po domostwie, jak widzisz, nie został nawet ślad, według naszych informacji Ariomach właśnie gdzieś tu ukrył „ołtarz” swojego przyjaciela. Może coś z tego przetrwało.

– Ołtarz?

– Jak nam przekazano, we wszystkich źródłach powtarza się sformułowanie „ołtarz Manetona”, ale uważamy, że oprócz różnych pamiątek z Egiptu może to być po prostu *Historia!*

– O!

– Podejrzuje się, że Ariomach miał pełną jej kopię. Jak wiesz, do dzisiejszych czasów zachowały się tylko fragmenty. A co będzie, jeśli wykopimy całutką, wspaniale zachowaną *Historię!* Wszystkim egiptologom gacie spadną z wrażenia. Byłoby to największe odkrycie od czasów – Kamila zastanowiła się chwilę – powiedzmy, odnalezienia grobowca Tutanchamona.

– To prawda – przyznała Ultra.

– Tyle tylko że Tutanchamon, kiedy go zamordowano, był kalekim dzieckiem zastraszonym w dodatku przez Ayę i jego kumpli, a tu mamy spuściznę po wielkim historyku z najważniejszego starożytnego kraju. Słowem, bomba!

– Też tak myślę – powiedział nagle, zaskakując obie panie, przystojny czterdziestolatek, który zjawił się ni z tego, ni z owego za ich plecami.

– Pan doktor... – Kamila uśmiechnęła się zalotnie.

– Michał Kuc – przedstawił się z uśmiechem Ultrze, wyciągając rękę na powitanie.

– Anka Jędrzejczak.

– Wiem. Podobno mój kolega wziął panią za archeologa.

– Twój kolega, Michałku, pobił rekordy arogancji – oświadczyła Kamila z oburzeniem.

– Przepraszam za doktora Burcharda – rzekł Kuc. – Bywa nieprzyjemny, ale to dobry fachowiec. Przejdziemy się?

– Z przyjemnością. – Ultra wstała z ziemi i otrzepała spodnie. – Dzięki za ciekawą rozmowę – rzuciła w stronę Kamili.

– Do usług – odpowiedziała wesoło kobieta.

Kuc wskazał ścieżkę wiodącą do następnego stanowiska.

– Pokażę pani wszystko, co tu mamy, a później pójdziemy na lunch, dobrze?

– Jasne. Nieczęsto bywa się na wykopaliskach Pretergate.

Doktor machnął ręką niemal tak samo, jak robiła to Kamila.

– Myślę, że za kilka lat rynek pełen będzie takich firm. Kiedy archeolodzy uniezależnią się finansowo od rządów czy kapryśnych sponsorów, przedsięwzięcia podejmowane przez Pretergate staną się standardem.

– Aż trudno uwierzyć...

– Prawda? Ale pani zajmuje się...

– Związkiem biochemicznej koncentracji wanadu z systemem wód powierzchniowych – dopowiedziała Ultra.

– W środowisku śródziemnomorskim?

– Tak. Robiłam już analizy porównawcze w Hiszpanii i we Włoszech. Na koniec zostawiam sobie Francję.

– Nie mam o tym zielonego pojęcia. – Kuc uśmiechnął się. – Zostało nam niewiele czasu, chodźmy więc przyjrzeć się „szóstce”. Wczoraj znaleźliśmy tam kilka naprawdę ciekawych rzeczy. Właśnie tam i oczywiście na „siódemce” będzie pani mogła pobrać najwięcej próbek. Jak długo będziemy panią gościć?

– Z profesorem umówiłam się na razie na trzy dni. Później ewentualnie jeszcze tu wrócę.

– Oczywiście. Proszę tędy.

ROZDZIAŁ 9

Mugadi był przerażony. Obserwował tych dziwnych ludzi, nie mając najmniejszego pojęcia, gdzie się znajduje i skąd się tutaj wziął. Co się stało na drodze? Czy ktoś go uderzył i stracił zmysły? Jeśli ci ludzie go porwali, to co zrobili z Agidą i Raedem? Najgorsze było to, że jeżeli nie dotrze na czas do Kasifa, może go to kosztować głowę. Patrząc bezradnie na starego siwego mężczyznę w białej szacie i na brodatego olbrzymę stojącego obok niego, czuł, że ogarnia go coraz większy strach. Ten, który stał najbliżej, był z nich najmłodszy, ale także w sile wieku. Mówił jednak tylko brodac.

– *Korik al blakaa?*

– *Ame kai, ame kai!!!* – wrzasnął Mugadi.

– *No ben kai! Korik al blakaa?!*

Dlaczego on tego żąda? Dlaczego twierdzi, że zabił Kasifa?! Mugadi zamknął na chwilę oczy. Wyjechaliśmy o wschodzie słońca, jechaliśmy długo, aż do przełęczy. Nad rzeką postanowiliśmy odpocząć, bo konie były bardzo zmęczone. Skrzynie zostały bezpiecznie ukryte, to pewne. Ale jeśli nie dojedziemy na czas do Kasifa, uzna nas za zdrajców. Co się stało nad rzeką?! Co się stało nad rzeką?! Jakiś szum... potem nagle tętent, ale nikogo nie było widać, a później ciemność. Co robić?! Co robić?!

– *Kasif morte ka me! Ame kai!!!* – wrzasnął ponownie Mugadi.

– *Kasif me dattoa. Kale? Kasif me dattoa. Korik al blakaa?*

– *Nooooo!!!*

Karol Meisner, mężczyzna o imponująco długiej i gęstej brodzie oraz wyjątkowo przenikliwych oczach koloru mocnej kawy, odwrócił się w stronę Lecha Wasyłyszyna.

– Mówi, że się boi i że jeśli nam powie, o co prosimy, Kasif go zabije.

– Mówiłeś mu, że zabiliśmy już Kasifa i że nic mu nie grozi? – spytał profesor.

– Tak. Nie chce uwierzyć.

Wasyłyszyn przyglądał się jakiś czas pacjentowi, aż w końcu kiwnął ręką do Meisnera.

– Wyjdźmy na chwilę – rzekł.

– Pilnuj go – rzucił brodacz do Andrzeja Korwina stojącego tuż przy przerażonym pacjencie.

Doktor skinął głową.

Profesor nacisnął klamkę i wyszedł z sali zabiegowej. Meisner stał jeszcze moment, jakby się nad czymś zastanawiał, po czym ruszył za nim.

– Co proponujesz? – spytał Wasylyszyn, gdy byli już na korytarzu.

– Odłożyć sprawę do jutra, profesorze.

– Przestań, do cholery, mówić do mnie „profesorze”! Co cię napadło?!

– Jak chcesz, ale uważam, że przy ludziach...

– Powiedz lepiej, co mam przekazać klientowi.

– To, co zwykle: że będzie gotowy na czas.

– A będzie?

Meisner przyglądał się zaniepokojonemu profesorowi, usiłując przybrać jak najspokojniejszy wyraz twarzy.

– Każę Korwinowi wybudzić pacjenta – rzekł po chwili i wszedł do sali zabiegowej.

Wasylyszyn ruszył wolno w stronę swojego gabinetu. Po kilku sekundach usłyszał za sobą ciężkie kroki. Meisner dogonił go, dając znak, że wszystko jest w porządku. Przez chwilę szli w milczeniu, ale sapanie profesora dowodziło zniecierpliwienia, może nawet niepokoju.

– Nie martw się. Coś dzisiaj wymyślę i jutro wszystko będzie w porządku – powiedział Meisner pewnym sobie tonem i spokojnie czekał na reakcję.

– Ile lat się znamy? – spytał nagle Wasylyszyn.

– Nie pamiętam – odparł zaskoczony brodacz. – Sporo.

– Nigdy nie pytałem o to, ale... Jak ty to robisz?

– Co?

– Mam na myśli biegłość w tak różnych językach. Ponad czterdzieści skomplikowanych, różniących się od siebie systemów. Wciąż mnie to zadziwia.

Meisner zorientował się, że to rewelacyjny temat zastępczy, więc ochoczo zaczął wyjaśniać.

– Wbrew pozorom języki nie aż tak bardzo się różnią. Jest oczywiście kilka grup, są różnice geograficzne i historyczne, ale to nie takie straszne, na jakie wygląda. Najtrudniej nauczyć się pierwszych trzech, czterech, a później już jakoś leci.

Widząc uśmiech na twarzy przyjaciela, Wasylyszyn również się rozchmurzył.

– To nawet nie chodzi o to, że nauczyłeś się ponad czterdziestu języków. Mówię o tym, jak potrafisz utrzymywać to wszystko na zawodowym poziomie. Ja znam tylko angielski, francuski i szwedzki, a wciąż muszę sobie przypominać najważniejsze zwroty. Jak ty to robisz?

– Ćwiczę – odparł pogodnie Meisner. – Szczególnie wymarłe, jak ten, w którym przed

chwilą próbowaliśmy coś zdziałać. Z tego żyję i, jak wiesz, nieźle zarabiam. Zresztą mogę cię zapewnić, że są lepsi. Nancy Cunningham z Kanady zna pięć języków więcej, w tym płynnie dialekt buszmenów, a to, wierz mi, duża sztuka.

Wasyłyszyn pokiwał z uznaniem głową.

– Na czym najlepiej się zarabia? – spytał.

– Oczywiście na wymarłych, ale teraz pracuję dla was.

– Będziesz wiedział, co zrobić z Czechowiczem?

Profesor kolejny raz zaskoczył Meisnera. Brodacz bez trudu zauważył ściągnięte brwi Wasyłyszyna i ten chłodny wzrok skierowany w bliżej nie określonej przestrzeni.

– Wiesz, gdzie on jest? – spytał nieśmiało.

– Wiem.

– Skąd?!

– Od pewnych ludzi, którzy nam pomagają. Ale o nich nawet ty nie możesz wiedzieć.

Ultra rozłożyła zdjęcia na stole.

– Są gotowe – oznajmiła.

Robert i Adam podeszli bliżej.

– Miałam możliwość obejrzeć cały teren, później zabrali mnie do czegoś w rodzaju polowej stołówki – powiedziała, przyglądając się jeszcze raz odbitkom. – Były robione trochę na oślep, ale widać na nich wiele osób. Skup się, doktorze.

Czechowicz wziął do ręki kilka fotografii i zaczął je analizować.

– Jak to wygląda? – spytał dziennikarz.

– Normalnie – odparła Ultra. – Zwykle wykopaliska, jedenaście stanowisk, typowi ludzie.

– Myślisz, że większość z nich nic nie wie?

– Jeżeli rzeczywiście są wplątani w to, o co ich podejrzewamy, to sądzę, że zdaje sobie z tego sprawę garstka wtajemniczonych. Rozmawiałam z dziewczyną, która tam pracuje. Opowiedziała mi o wszystkim, co robią, bez chowania głowy do dupy. Żadnego kręcenia. Tak raczej niczego nie znajdziemy.

Kniewicz przeszedł się po pokoju. Kroki stawiał wolno, pocierając palcami o spódnie, co wyraźnie pomagało mu w myśleniu. Od czasu do czasu zerkał na Roberta, oglądającego uważnie kolejne zdjęcia, a następnie podchodził do okna, jakby tam mógł znaleźć odpowiedź na to, jak dobrać się do Pretergate.

– Mówiłaś, że jakiś facet oprowadzał cię po tych wykopaliskach... – odezwał się wreszcie po dobrych kilkudziesięciu sekundach.

– Tak. Nazywa się Kuc, doktor archeologii. Wszystko się zgadza, sprawdziłam jeszcze w Warszawie.

– Nie odniosłaś wrażenia, że coś przed tobą ukrywa, że nie chce, żebyś chodziła w jakies określone miejsca?

Ultra nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

– Nie, Adaś, niczego przede mną nie ukrywał. Pokazał mi kilka dołów, poopowiadał o sprawach, które guzik mnie obchodziły, i zataszczył do dusznej stodoły, którą nazywał stołówką. Tam zrobiłam te zdjęcia.

– Nikt się nie zorientował?

– Na pewno nie. Te akurat – wskazała fotografie leżące na stole – robiłam wyzwalaczem ukrytym w kieszeni spodni. Aparaty były w sprzączce paska i jednym z guzików. Bezszelestne, nie do wykrycia.

– Co on tu robi?! – odezwał się nagle Czechowicz.

Ultra i Adam szybko podeszli do stołu.

– Poznajesz kogoś? – spytała agentka.

– To chyba dość oczywiste, skoro mówi „Co on tu robi?” – zauważył Kniewicz.

– To ten Kostecki z przyjęcia, na które wyciągnęła mnie Jola. – Robert wskazał mężczyznę z małym talerzykiem w ręku stojącego w rogu sali. Towarzyszyło mu dwóch dragali odwróconych niestety tyłem do obiektywu.

– To facet, o którym nam opowiadałeś? – spytała dziewczyna.

– Tak. Psychiatra, specjalista od hipnozy. Miał świra na punkcie go, pamiętacie?

– Pamiętamy. – Adam kiwnął głową, po czym wziął do ręki zdjęcie. – Kojarzę gościa, był kilka razy na Woronicza.

– Nikogo więcej nie poznajesz? – upewniła się agentka.

– Nie.

Ultra usiadła na krześle, nie spuszczać wzroku z Czechowicza.

– To chyba niezbyt normalne, by uznany lekarz bywał na wykopaliskach firmy archeologicznej – powiedziała jakby do siebie. – Kręcił się po okolicy i jadł w służbowej stołówce...

– Nawet gdyby miał załatwiać z nimi sprawy dotyczące sponsorowania instytutu, nie jest to chyba odpowiednie miejsce – dodał Adam.

– Nikogo z pracujących nie dziwi, że kręci się tam psychiatra, który nie ma nic wspólnego z wykopaliskami?

– Nie – zaprzeczyła Ultra. – Kuc mówił mi, że większość osób nie zna się osobiście. Jedni przyjeżdżają, drudzy wyjeżdżają, normalna sprawa. Tam są ludzie z całej Polski i wielu z zagranicy. To tak, jakbyś wymagał, żeby pracownica Horteksu w Koninie знаła wszystkich pracowników firmy na przykład w Warszawie. Mówiłam wam: to moloch zatrudniający ludzi z całego kraju.

– To jest sposób – zawyrokował Robert.

– Jaki? – zainteresował się Adam.

– Anonimowość. Cokolwiek robisz, kimkolwiek się otaczasz, nikogo to nic nie obchodzi. Każdy robi, co do niego należy, i interes kręci się dalej.

– Na pewno ma też jakiś pretekst tłumaczący jego obecność tutaj.

– Racja – przyznała Ultra.

Kniewicz podrapał się po głowie.

– Jak wiele osób tam pracuje? – spytał agentkę.

– Sto, sto pięćdziesiąt.

– Boże, gdzie czasy Howarda Cartera i lorda Carnavona...

– No dobrze. – Ultra przerwała na chwilę, aby skupić na sobie uwagę obu mężczyzn. – Skoro on tutaj jest, musi im być do czegoś potrzebny.

– A to dlaczego? Żeby przeprowadzać eksperymenty z hipnozą na robotnikach i naukowcach? – Kniewicz wzruszył ramionami.

– Właśnie – dodał Robert. – Jeśli zarabiają na nielegalnych eksperymentach, wykopaliska to przykrywka...

– To nie przykrywka – wtrąciła agentka. – Zarabiają na tym i na tamym, i cholera jeszcze wie na czym. Jedno wspomaga drugie. Mafia nowojorska zarabia na kasynach, burdelach, bankach, oliwie, zabawkach dla dzieci, organizuje imprezy charytatywne, finansuje polityków, artystów, naukowców. Mogłabym ci tak mówić do jesieni.

– Co robimy?

– Jutro postaram się jakoś do niego dotrzeć. Jeśli zjawi się na lunchu, będzie mi łatwiej, jeśli nie, trudno, coś wymyślę. Wy siedzicie tutaj i odbieracie telefony. Myślę, że pan Kostecki zajmuje się nie tylko psychiatrią, ale także biznesem. I czymś, za sprawą czego mógłby mieć duże, duże kłopoty...

– A my... – Adam uśmiechnął się.

– A my je na niego sprowadzimy.

Piotr Krentz siedział w eleganckiej stołówce i powoli, metodycznie rozprawiał się z kotлетem z indyka – specjalnością pani Kazi, zaufanego, ponadstukilowego kobietona szefującego kuchni w agencji niemal od początku jej istnienia. Walka z nałogiem tytoniowym, którą pułkownik prowadził od kilku tygodni, kosztowała go sporo sił, więc w przerwach w pracy starał się maksymalnie odprężyć i oderwać od stresującej rzeczywistości. Obiad był idealny na tego typu odpoczynek, więc z dala od innych Piotr Krentz oddawał się różnorodnym rozmyśleniom i oczywiście wprowadzaniu do organizmu kotleta. Jak zwykle w takich sytuacjach, osoba próbująca rzucić palenie staje się nerwowa i – co skrzętnie zauważył major Bauer – upierdliwa.

Krentz jednak, słynący z opanowania i chłodu dowódca, starał się ze wszystkich sił ukrywać napady złego humoru, ograniczając się co najwyżej do wyzywania się na Bauerze.

Zintensyfikował ostatnio, co zdziwiło nawet majora, kontakty z Janti, przewodniczką duchową grupy braminów, którą znał od dość dawna, ale z którą spotykał się nie częściej niż raz, dwa razy do roku. Janti, specjalizująca się w nauczaniu ludzi spokoju, była idealnym

antidotum na melancholię twardego pułkownika, który wolał już porady owiniętej od stóp do głów w białe prześcieradła braminki od wizyty u jakiegokolwiek psychologa. Janti stosowała medytację, co według Krentza ograniczało się do wzajemnego patrzenia sobie w oczy do czasu, aż jedna z medytujących osób padnie ze zmęczenia. Metoda, mimo że drakońska, dawała jednak pewien skutek, chociaż w chwilach twórczego zamyślenia, jak to nazywała Janti, pułkownik zdaniem podwładnych stawał się nieco dziwny. Tymczasem terapia nie przeszkadzała mu pożerać kotletów w stołówce pani Kazi, gdy przewodniczka duchowa zdecydowanie odradzała jedzenie mięsa. Jak jednak wiadomo, terapia wybiórcza jest najlepszą z metod kształtowania u siebie dobrego humoru, z czego doskonale zdają sobie sprawę nie tylko rzesze odchudzających się czy walczący z nałogami, ale także ludzie tak zwanych wielkich idei, na przykład politycznych czy religijnych. Szczególnie te dwie ostatnie grupy wypracowały w naszym kraju niemal genialny system ochrony swojego życia przed większością nakazów głoszonych przez siebie, a kierowanych agresywnie do ogółu populacji.

Piotr Krentz jednak rewelacyjnie wyczuwał granice hipokryzji, jakie narzuca przyzwoitość, i Janti o tym wiedziała. Jego uczciwość nie ulegała kwestii, co zdaniem przewodniczki duchowej było czynnikiem decydującym. Jak to powiedział niegdyś pewien generał (choć w zgoła innych okolicznościach): „Są granice, których przekroczyć nie wolno”. Być może warto pamiętać o tej prostej prawdzie – uważał Krentz – tak samo jak warto zapomnieć o kontekście, w jakim została wypowiedziana przez wspomnianego generała.

Do stołówki wkroczył Bauer. Jego spojrzenie nie zapowiadało nic dobrego. Szybko podszedł do stolika Piotra Krentza, z zadowoleniem odnotowując, że ostatni kęs kotleta zniknął w ustach pułkownika.

– Co jest? – spytał dowódca niezadowolony, że przeszkadza mu się w posiłku.

– Telefon do ciebie.

– Od kogo?

Major podał mu aparat.

– Od Maliniaka.

– Teraz?! Tutaj?!

– Lepiej odbierz – nalegał Bauer.

Pułkownik wziął słuchawkę.

– Tak?

– Pan Tadeusz Malinowski na linii – usłyszał damski głos.

– Przełącz. – Wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł nią czoło. – Co się stało? – spytał, kiedy tylko w słuchawce zabrzmiał znany mu dobrze głos.

Bauer obserwował uważnie szefa. W pewnym momencie ręka trzymająca chusteczkę opadła bezradnie na stół, a wyraz twarzy wskazał, że stało się coś, co w najwyższym stopniu wytrąciło go z równowagi. Otworzył szeroko oczy, jakby nie potrafił zrozumieć tego, co przed chwilą usłyszał, i szybko wstał.

– Kurwa, teraz mi to mówisz?! – nie wytrzymał, ruszając do drzwi. Dał znać majorowi, aby szedł za nim, i ponownie skupił się na rozmowie.

– Sam dopiero teraz się upewniłem. Mam niezbite dowody – przekonywał Malinowski.

– I ja mam w to uwierzyć?! – warknął Krentz do słuchawki.

– Tym razem nie żartuję, Piotr. Przyznaję, badaliśmy sprawę od dawna, ale ciężko było...

Chyba mnie rozumiesz?

– Możesz mi powiedzieć, co ja mam teraz zrobić?!

– Może nie jest za późno. Masz kontakt?

– Nie wiem, pogadamy później. – Krentz się rozłączył. Pędził bez słowa korytarzem, aż w końcu zatrzymał się przy schodach.

– Krzysiek... – Popatrzył na oczekującego od dawna wyjaśnień Bauera.

– Powiedz wreszcie, do cholery, co ci powiedział – rzekł major.

Pułkownik układał przez chwilę w myślach plan działania, a następnie położył rękę na ramieniu zastępcy.

– Skontaktuj się jak najszybciej z Ulrą, jeśli to jeszcze możliwe, i każ jej stamtąd spieprzać.

– Wiedzą o niej?!

– Tak.

– Skąd?!

– Później pogadamy, szkoda czasu. Jeśli nie będzie z nią kontaktu, zadzwoń do Kniewicza, wreszcie do czegoś się przyda.

Bauer zacisnął mocno usta.

– Jesteśmy po pachy w gównie?

– Po pachy... to mało powiedziane.

Robert Czechowicz leniwie otworzył oczy.

– Teraz ty idziesz po kebaba – mruknął do Adama.

– Ja byłem wczoraj – oznajmił kategorycznie Kniewicz.

– Rano, a wieczorem pogoniłeś mnie.

Dziennikarz machnął ręką.

– Niech ci będzie – rzekł wielkodusznie i podniósł się ciężko. – Na ostro, jak zwykle?

– Tak. I niech dadzą więcej tego białego.

– Jasne. Coś jeszcze? Ostrygi, kawior, courvouasier?

– Zrzędzisz jak stara pielęgniarzka – mruknął sennie Czechowicz.

Kniewicz wzruszył ramionami i wyszedł z pokoju. Zszedł wolno po schodach i wyczłapał leniwie na zewnątrz. Mimo że hotel stał przy głównej ulicy miasteczka, samochody jeździły tu stosunkowo rzadko. Sporo za to było turystów zmierzających na plażę bądź z plaży na lunch. Pogoda była upalna, a nocny wiatr oczyścił niebo z chmur. Powietrze dosłownie stało.

Budka z kebabami, hot dogami, zapiekankami i innymi paskudztwami, w której obaj się żywili, stała względnie niedaleko. Adamowi droga tam i z powrotem nie zajmowała nigdy więcej niż dziesięć minut. Mijając opalone ciała, żałował trochę, że nie może spędzić czasu nad morzem, ale Ultra wyraźnie prosiła, by do jej powrotu siedzieli na wszelki wypadek w pokoju. Pominąwszy wszelkie sprawy związane z bezpieczeństwem, łatwiej było – na przykład w razie konieczności natychmiastowej ewakuacji – znaleźć dwóch facetów w hotelu, niż biegać za nimi po plaży.

Przy okienku z kebabami stała kobieta z dzieckiem oraz młody czerwonoskóry, któremu już teraz należało współczuć przeżyć, jakie z okazji opalenizny czekają go w nocy. Adam postanowił wystawić twarz do słońca, szczególnie że właściciel budy ostrzegł uczciwie, iż mięso nie jest jeszcze gotowe i trzeba będzie poczekać kilka minut. Kniewiczowi nigdzie się nie spieszyło, bo mimo sennej atmosfery spania w hotelu miał już raczej dość.

– Dwa kebaby na ostro – powiedział po angielsku, gdy dotarł do okienka, na chwilę tylko odwracając się od słońca. – I poproszę dużo tego białego sosu – przypomniał sobie.

Wysoki, chudy Grek o pociągłej twarzy z wiecznie przyklejonym uśmiechem pokiwał głową i zniknął na jakiś czas w kuchni. W tym czasie obok przejechały dwa wypełnione młodymi ludźmi samochody z pootwieranymi oknami, dzięki czemu mieszkańcy Platamonas mogli bez trudu przekonać się, jak fatalny gust muzyczny mają rozbawieni pasażerowie. Chwilę później na Adama wpadła młoda, ciemnowłosa dziewczyna zawzięcie całująca się ze swoim chłopakiem, co nie tylko nie przeszkodziło jej kontynuować, ale także iść dalej chodnikiem.

– Proszę! Dwa kebaby! – ogłosił Grek i wychylił się z okienka.

– Dziękuję. – Kniewicz wziął dwie kanapki zawinięte w serwetki i ruszył w stronę hotelu.

Szedł wolno, rozkoszując się mijającymi go dziewczynami w kostiumach; musiał przyznać, że przynajmniej kilka z nich zasługuje na miano wyjątkowych dzieł natury. Minął już zakręt i od hotelu dzieliło go najwyżej 30 metrów, gdy niemal instynktownie stanął w miejscu. Przed drzwiami, nad którymi widniał napis HELLAS, stał duży czarny mercedes. Robert Czechowicz wsiadał właśnie do niego, trzymany mocno przez dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn. Wszyscy trzej usiedli z tyłu, natomiast idący tuż za nimi elegancki jegomość zatrzymał się na chwilę, rozejrzał, obszedł samochód i zajął miejsce obok kierowcy. Ubrany był w nienaganny biały garnitur, a w prawej dłoni, ukrytej w kieszeni marynarki, ścisnął prawdopodobnie pistolet.

Kniewicz schował się szybko za narożnik. Miał nadzieję, że w tłumie turystów żaden z mężczyzn nie rozpoznał go – na szczęście mogli go znać najwyżej ze zdjęć. Nigdy nie widział tych ludzi i nie wiedział, kim są. Ogarnął go strach spotęgowany faktem, że nie miał pojęcia, jak się zachować w tej sytuacji. Mimo gwaru ulicy rozpoznał dźwięk uruchamianego silnika. Jednak dopiero gdy wóz ruszył, odważył się wyjrzeć zza rogu. Przez chwilę rozważał powrót do hotelu po telefon i pieniądze, ale po krótkim namyśle zrezygnował. Był niemal pewien, że

ktoś tam na niego czeka, więc w ten sposób nie mógł ostrzec Ultry. W kieszeni miał zaledwie kilka monet, co mogło wystarczyć na trochę kebabów, ale z pewnością nie na pociąg czy autobus. Mógł jeszcze dotrzeć do samochodu zaparkowanego na tyłach hotelu, ale wiązało się z tym kolejne ryzyko, którego w tej chwili nie chciał podejmować. Poza tym i tak nie miał na benzynę, więc gra nie była warta świeczki. Ruszył zatem szybko w przeciwnym kierunku na poszukiwanie budki telefonicznej, choć przeczuwał, że na ostrzeżenie Ultry jest już za późno.

Lunch nie był specjalnie smaczny, więc Ultra tkwiła w dusznej stołówce jedynie dlatego, że Leszek Goźlakow, prawa ręka braci Gęślickich w polskim oddziale Pretergate, obiecał jej pięć minut rozmowy, choć wpadł do Grecji tylko na dwa dni. Poinformował ją o tym uroczy jak zwykle doktor Wojciech Burchard, wyraźnie niezadowolony, że musi przekazać dobrą wiadomość „tej aroganckiej doktorantce”. Ultra o wizycie Goźlakowa dowiedziała się rano, gdy tylko przyszła, i od tego czasu usilnie starała się o spotkanie. Niełatwo było wymyślić powód, bo niby czego może chcieć młoda doktorantka wydziału geologii od szefa firmy archeologicznej? Zależało jej na poznaniu Goźlakowa, więc postanowiła nakarmić go głupotami o swoich marzeniach dotyczących pracy dla Pretergate. Dotarła do niego nadszpiewanie szybko dzięki wstawiennictwu doktora Kuca, który odkąd tylko się poznali, miał do niej wyraźną słabość.

Układała właśnie w myślach kilka pierwszych zdań, kiedy podszedł do niej wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna w jasnozielonych spodniach i czarnej koszuli z długim rękawem, co biorąc pod uwagę temperaturę na zewnątrz, było czystym idiotyzmem. Miał kompletnie bezmyślną twarz, dzięki czemu Ultra szybko zrozumiała, jaką pełni tu funkcję.

– Proszę za mną – burknął zamiast wstępu.

Agentka szybko rozejrzała się, gdzie mogłaby zostawić talerzyk z paskudztwem wyprodukowanym dzisiaj przez tutejszych kucharzy. Pobliski stolik pełen był już talerzyków z nietkniętym lunchem, co wywołało rozbawienie dziewczyny.

– Idzie pani? – rzucił niecierpliwie mięśniak.

– Idę – odparła i ruszyła za nim szybkim krokiem.

Biuro terenowego kierownictwa wykopalisk znajdowało się dość daleko, więc spędzili kilka minut w lesie, zanim dotarli do sporego drewnianego budyneczku przypominającego reklamowane ostatnio domki letniskowe do zbudowania w tydzień.

Mięśniak wskazał Ultrze drzwi i puścił ją przodem. Domek pozbawiony był sieni, a pierwszym pomieszczeniem okazało się stosunkowo duże biuro. Prócz biurka i kilku krzeseł nie było w nim właściwie żadnych mebli. Ochroniarz ustawił się pod drzwiami i kazał jej czekać. Dziewczyna usiadła na krześle, założyła nogę na nogę i zrobiła przyjazną minę, przygotowując się do rozmowy. Domyśliła się, że Goźlakow jest za drzwiami prowadzącymi do dalszej części domku, choć na razie żadne dźwięki stamtąd nie dochodziły. Mięśniak nie pofatygował się do tej pory, aby powiadomić kogo trzeba, że mają gościa, ale być może

spodziewali się jej, więc czekała spokojnie. Dopiero po kilku minutach usłyszała, że ktoś schodzi ze schodów, otworzyły się drzwi i wszedł niewysoki, szczupły, ubrany na sportowo mężczyzna około czterdziestki, a za nim przystojny młody blondyn w białym garniturze. Elegancik stanął przy biurku, natomiast starszy z mężczyzn podszedł do niej, aby się przywitać.

– Leszek Goźlakow. – Podał jej rękę.

– Miło mi. – Ultra uśmiechnęła się. – Anna Jędrzejczak.

Goźlakow wskazał elegancika.

– To pan Grzegorz Marat, zajmuje się bezpieczeństwem w naszej firmie. Niech pani siada.

Agentka, nieco zaskoczona obecnością szefa ochrony, ponownie spoczęła na krześle, starając się, aby jej uśmiech był jak najbardziej wiarygodny.

Goźlakow usiadł za biurkiem.

– Zatem przyjechała pani do nas prowadzić badania nad biochemiczną koncentracją wanadu w tym regionie?

– Tak – odparła szczerze zdziwiona jego wiedzą na jej temat.

– Opowie nam pani coś o tym?

– Chętnie – powiedziała bez namysłu. – Badam podkoncentrowanie wanadu w systemach korzeniowych roślin, starając się ustalić, które gatunki wykazują szczególną tendencję do gromadzenia tego pierwiastka i związek między tym a rodzajem podłoża... i oczywiście głębokością zwierciadła wód gruntowych.

– Dlaczego akurat to panią szczególnie zainteresowało?

– Mówiąc szczerze, od dawna interesuje mnie diagenetyczny etap wędrówki pierwiastków. To praca na pograniczu geochemii i biologii. – Uśmiechnęła się.

– Dlaczego wybrała pani za teren swoich badań wykopaliska?

– Bo podczas wykopalisk odkrywa się profil glebowy, co bardzo ułatwia pracę. Poza tym tylko tu mogę wydatować głębsze partie profilu.

– Interesujące – mruknął Goźlakow.

– Dziękuję. Prosiłam o to spotkanie i chciałam pana poznać...

– To się świetnie składa – przerwał jej nagle, rozpierając się na krześle. – Bo akurat moja krótka wizyta tutaj ma właściwie tylko jeden cel.

– Jeden cel? – powtórzyła nieco zmieszana.

– Pani – oświadczył spokojnie Goźlakow, wbijając w nią wzrok. – I oczywiście dwaj pani przyjaciele, z których zwłaszcza jeden jest dla nas wyjątkowo interesujący.

Nastąpiła krótka, ale bardzo wymowna cisza. Ultra szybko przebiegła wzrokiem po pokoju, starając się ocenić swoje szanse, po czym błyskawicznie zerwała się z krzesła. Niemal niedostrzegalny gest Goźlakowa w kierunku drzwi stojący przy nich mięśniak zrozumiał doskonale. Ruszył szybko w kierunku Ultry i pchnął ją brutalnie na biurko.

– Może przedstawi nam się pani teraz prawdziwym imieniem i nazwiskiem – zaproponował beztrząsco przystojniak w białym garniturze.

Ochroniarz chwycił ją tymczasem za lewy nadgarstek. Spodziewała się tego. Wykręciła błyskawicznie rękę w prawą stronę, wyzwalając się z uścisku. Zaskoczony mężczyzna zamarł na sekundę. Ultra najsilniej jak potrafiła uderzyła go w wątrobę, a następnie kopnęła w krocze. Zawył z bólu i zgiął się wpół, ale nie upadł. Agentka obiema rękami złapała jego potylicę i uderzyła silnie twarzą zdezorientowanego mięśniaka o blat biurka. Krew z rozbitego nosa zachlapała mebel. Elegancik, który do tej pory przyglądał się temu obojętnie, pokiwał z uznaniem głową. Dziewczyna dopadła drzwi i wybiegła na zewnątrz.

– Ruszaj za nią – warknął Goźlakow. – Ludzie nie mogą jej zobaczyć, a ci kretyni na zewnątrz jej nie zatrzymają.

Ultra wiedziała, że musi dobiec do mostka nad rozpadliną, którym przechodziła, idąc tutaj, bo inaczej nie będzie miała szans. Jednak po kilku metrach od strony lasu zastąpili jej drogę dwaj ochroniarze. Z pewnością nie dorównywali siłą mięśniakowi z biura, ale dziewczyna nie chciała ryzykować. Zamiast uciekać w inną stronę, ku ich zdziwieniu dobiegła do nich. Metr przed pierwszym padła na ziemię i podcięła go silnie. Mężczyzna zwałił się na plecy, wydając głucho stęknięcie. Agentka wiedziała, że przez pewien czas będzie mu brakować oddechu, więc całą uwagę poświęciła drugiemu z napastników. Szybko podniosła się z ziemi, ale było już za późno. Jego cios udało jej się tylko zamortyzować, lecz niestety doszedł policzka i zachwiał nią. Na szczęście odruchowa kontra wymierzona precyzyjnie w podbródek, najczulsze miejsce na twarzy, odniosła skutek. Ochroniarz zachwiał się wyraźnie zamroczony. Ultra cofnęła się o krok, obróciła błyskawicznie na lewej nodze i potężnie uderzyła mężczyznę piętą w prawą skroń. Padł jak kłoda niezdolny do dalszej walki.

Grzegorz Marat, obserwując kątem oka, co się dzieje, przemieszczał się szybko w stronę mostka. Wiedział, że w ten sposób przetnie drogę dziewczynie. Kiedy Ultra znowu zaczęła biec, był dziesięć metrów przed nią. Pistolet wymierzony w jej głowę ostatecznie przekonał ją, że właśnie nadszedł koniec i nic już nie da się zrobić. Nie miała oczywiście broni, a mężczyzna w białym garniturze wyglądał na zawodowca. Zatrzymała się i czekała na strzał.

– Nie warto ginąć – powiedział spokojnie Marat.

– A lepiej wpaść w twoje łapy?

– Nie chcemy zrobić ci krzywdy. Jeśli uspokoisz się i przestaniesz uczyć naszych ludzi tych fikołków-koziołków, wszystko ci wytłumaczymy.

Ultra oddychała ciężko i starała się zebrać myśli.

– Mamy Czechowicza – ciągnął Marat, opuszczając broń. – Wiemy, co tu robisz, choć nie dowiedziałem się jeszcze, dla kogo pracujesz. Jedno jest jednak dla mnie pewne: nie narazisz go. I dlatego teraz spokojnie wrócimy do biura i pogadamy. Mam rację?

Dziewczyna pokiwała głową, nie spuszczając z niego oczu.

- Gdzie on jest?
- W domku, z którego uciekłaś. Na piętrze.

Nagle usłyszeli sygnał telefonu komórkowego Ultry. Leżał gdzieś w trawie. Agentka zgubiła go podczas walki. Marat pokręcił głową.

- Nie mogę pozwolić ci odebrać.
- Wiem. Co teraz? – zapytała spokojnie.
- Połóż się twarzą do ziemi. Wiem, że nie masz broni, ale muszę cię przeszukać.

Piotr Krentz jechał szybko samochodem. Jego zachmurzone czoło i zaciśnięte usta wskazywały, że nie może być bardziej zdenerwowany. Spojrzał na zegarek. Minęła piąta, ale liczył, że zdąży na czas. Willa, do której zmierzał, powinna lada chwila pojawić się po prawej stronie szosy, w głębi. Raz jeszcze sięgnął po swój telefon komórkowy i nacisnął odpowiedni klawisz.

- Tak – usłyszał głos Bauera.
- I co? – spytał bez wstępów.
- Nic, cisza.
- A Kniewicz?
- Tak samo.
- Zadzwoń później – rzucił na zakończenie i rozłączył się.

Droga do potężnej willi, w której odbywało się przyjęcie, ukazała się w zasięgu wzroku, więc zwolnił. Skręcił w prawo, przejechał pięćdziesiąt metrów i stanął przed bramą. Na żądanie strażnika wyjął odpowiednią legitymację, po czym wjechał do środka. Zatrzymał się na parkingu i szybko wyskoczył z wozu. Podeszedł do ochroniarza i wręczył mu wizytówkę, na której widniało tylko nazwisko.

– Zanieś to Tadeuszowi Malinowskiemu i powiedz, że czekam tu na niego – rzekł tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Ochroniarz chwilę się wahał, ale widząc zimne spojrzenie Krentza, wszedł do środka bez zadawania pytań. Po dwóch, może trzech minutach w drzwiach pojawił się Malinowski.

– O, miło mi, że pan wpadł! – Uśmiechnął się szeroko, odciągając pułkownika w stronę parkingu. Gdy przeszli kilkadziesiąt metrów, jego uśmiech zniknął.

– Co ty wyrabiasz?! – syknął, rozglądając się uważnie. – Wpadasz tu nieproszony, odrywasz mnie od ministra i machasz ochroniarzom przed oczami wizytówką. Wiesz, co będzie, jak któryś z tych kretynów ze środka zobaczy nas razem?!

– Mam to w dupie. Gdzie jest moja agentka? – spytał groźnie pułkownik.

Malinowski chwilę stał bez ruchu.

- Nie zgłosiła się?
- Próbuje się z nią połączyć od ponad trzech godzin!
- W porządku, daj mi trochę czasu. Skontaktuję się z tobą. Jeszcze nie wiem wszystkiego,

ale jak się dowiem, będziesz pierwszym, do którego zadzwonię.

Krentz złapał go silnie za ramię.

– Ty chyba nie słyszysz, co do ciebie mówię! Moja agentka i dwaj cywile umierają być może właśnie dwa tysiące kilometrów stąd, bo najpierw wpakowałeś nas w to gówno i zapomniałeś wspomnieć o kilku faktach, a teraz chcesz mnie spławić i wrócić tam, by poklepywać się po plecach z mordercami!

– Cicho! – jęknął Malinowski.

– Mam tam wejść i spytać premiera o szczegóły?

– Dobrze, pogadam z tobą, tylko już przestań. Chodź do mojego samochodu.

Ruszył w stronę dużego, granatowego volvo stojącego niemal na samym końcu parkingu. Krentz ponownie zrobił spokojną, wyrachowaną minę. On również uważnie się rozejrzył, ale na parkingu oprócz nich nie było nikogo. Najbliższą osobą był kręcący się sto metrów dalej ochroniarz.

Malinowski otworzył pilotem samochód i wsiadł. Krentz zajął miejsce pasażera.

– Jesteś pewny, że tu jest bezpiecznie? – zapytał na wszelki wypadek.

– Na sto procent. Sprawdzam codziennie.

– No dobrze – westchnął Krentz. – Co ma z tym wszystkim wspólnego rząd i dlaczego nie chciałeś rozmawiać o tym przez telefon?

– Słyszałeś o facecie, który nazywa się Roman Giertychowski?

– Jasne. Tajny doradca ministra obrony narodowej.

– Właśnie. A wiesz, czym się teraz zajmuje?

– To nie moja działka.

– Jest specjalistą od wszelkiego rodzaju nowości dotyczących broni, nie tylko konwencjonalnej zresztą. Ma dbać, aby minister jak najwcześniej wiedział o wszystkich nowinkach. Oczywiście zajmuje się też projektami badawczymi i eksperymentami. Bada i opisuje, ma do tego sztab ludzi.

– Chciałeś powiedzieć: szpiegów?

– Też, ale nie tylko.

– Sam nie dałby rady.

– Oczywiście, że nie – przyznał Malinowski. – Jednak nie jesteśmy sami. Amerykanie, Brytyjczycy i cała reszta z NATO robią przecież to samo i nie ma w tym nic dziwnego.

– To dlaczego o tym rozmawiamy?

– Bo wszystko było wspaniale, dopóki nasi chłopcy nie wyszli przed szereg.

– Żartujesz... Chyba nie mówisz o „tym”...?!

– Nasza tajna komórka, kierowana przez Giertychowskiego, zaczęła finansować pewne eksperymenty prowadzone przez grupę wybitnych psychiatrów i neurologów pod kierownictwem znanego ci już chyba profesora Lecha Wasylszyna.

– Na Boga, po co?!

– Bo żołnierz doskonały to najgroźniejsza konwencjonalna broń, Piotr.

Krentz uważnie przyjrzał się Malinowskiemu.

– Tadiusz, naczytałeś się komiksów czy mnie straszysz?

– Nie udało nam się dowiedzieć, na czym polegają te eksperymenty, ale z pewnością dotyczą zmian osobowości, i to w bardzo szerokim zakresie.

– Agresja, fanatyzm? – spytał z niepokojem pułkownik.

– Nie o to chodzi. Nie wiem, jak to robią, ale mamy dowody na to, że za pomocą specyficznego typu hipnozy potrafią zaszczyć w żołnierzu dodatkowe umiejętności, wyrobić w nim cechy, których wcześniej nie miał, a nawet wpływać na jego zmysły. Taki żołnierz, na razie na krótko, ale przynajmniej na okres walki, potrafi błyskawicznie przyswoić sobie kilka języków obcych, ma lepszy refleks, jest inteligentniejszy, bardziej opanowany, a nawet lepiej przygotowany fizycznie.

– To znaczy?

– Nasze ciało właściwie uzależnione jest od sprawności umysłu. Jeśli potrafisz odpowiednio sterować umysłem, możesz lepiej słyszeć, widzieć, mieć lepszy węch, a jedynym ograniczeniem stają się wówczas możliwości twoich narządów zmysłów.

Pułkownik pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Sami nie daliby rady. Nie ukryliby tego przed ministrem.

– To prawda.

– O Boże... Kto jeszcze jest w to zamieszany?

– Sądzimy, że prawie wszyscy. Cała góra.

– A premier? Reszta rządu?

– Jestem pewien, że powiedzą mu dopiero wtedy, gdy wszystko będzie już gotowe. Na razie nic nie wie. Wojskowi też chyba nie wiedzą, a jeżeli nawet któryś z nich został wtajemniczony, to należy do mniejszości. To chwilowo sprawa cywili.

– Wiedziałeś o tym od dawna, prawda? – mruknął Krentz.

– Były poszlaki, ale pewności nabrałem dopiero po tym, jak próbowali zlikwidować Olenę. Tylko oni mogli się dowiedzieć, że umieściłem ją w instytucie.

– Zagrożeni są wszyscy twoi agenci...

– Teraz rozumiesz, dlaczego musiałem was na nich napuścić?

– Bo jesteście agencją rządową... – Krentz zastanowił się chwilę. – I chcieliście to załatwić rękami kogoś z zewnątrz.

– Gdyby nie wpadka z Czechowiczem, przekazalibyśmy wam sprawę w dużo bardziej zaawansowanym stanie. Nie zdążyliśmy. Ultra, nie wiem jakim cudem, błyskawicznie znalazła Olenę i nie było wyjścia, trzeba było improwizować.

– Czechowicz przyszedł do Kniewicza, faceta z telewizji, który znał Ultrę. Dlatego tak szybko trafili do Sil – wyjaśnił pułkownik.

Malinowski pokiwał głową.

– No to wszystko jasne.

– Nie mogłeś, do cholery, zwyczajnie przyjść i pogadać?! Musiałeś koniecznie wszystko robić po swojemu?

– Musiałem, i dobrze o tym wiesz. Nie chcę myśleć, co by było, gdyby się to nam wymknęło spod kontroli.

– Czy to sprawa międzynarodowa?

– Obawiam się, że tak, ale w takim zakresie jak u nas, czyli pod stołem. Kiedy my posprzątam u siebie i damy odpowiedni cynk, inni zrobią to samo.

Krentz wypuścił głośno powietrze.

– Od kogo zaczniemy?

– Od Pretergate.

– Skąd oni ich wytrzasnęli?!

– Instytut Wasylyszyna i Pretergate współpracowali od dawna, a eksperymenty prowadzone były na długo przed tym, nim wyłoniono obecny rząd. Dopóki Giertychowski nie wpadł na ich ślad, wykorzystywali te badania do zupełnie innych celów. Ale nasz tajny doradca, zamiast ujawnić aferę, wszedł w cały układ. Stwierdził, że to świetna okazja, i wykorzystał ją.

– Nonsens. Po co mu nowa „żywa” broń? Nikt nam nie zagraża, mamy doskonałe stosunki z Amerykanami, nic na tym nie zyskamy.

– Mylisz się. – Malinowski wyjął z kieszeni paczkę papierosów. – Pamiętasz wojnę w Iraku? Tylko za to, że poparliśmy Amerykanów w niepopularnej początkowo sprawie i wysłaliśmy paru chłopaków na front, dostaliśmy całą strefę. Zawiało mocarstwem, i to tak, że Niemcy i Francuzi mieli pianę na ustach. Nie było źle, nie sądzisz?

– Mam swoje zdanie na ten temat – odparł pułkownik, patrząc z niechęcią, jak Malinowski wyjmuje papierosa z paczki.

– Tak. Tylko że niektórzy potraktowali to poważnie i rzeczywiście chcą mocarstwa nad Wisłą. Już im nie wystarcza, że zwiększyła się nasza rola na arenie międzynarodowej, i sądzą, że sposób, w jaki działają, nam to zapewni. Wierzą, że są patriotami.

– Jest szansa, że nie będziesz palił? – spytał nagle Krentz.

– A ty co? Rzucasz?

– Tak.

Malinowski wybuchnął śmiechem i schował paczkę do kieszeni marynarki.

– Wybacz, nie miałem pojęcia.

– Wybaczam. Mów, jaką rolę odgrywa w tym Pretergate.

– Świetna zasłona dymna, a poza tym genialna płaszczyzna bezpiecznych kontaktów między takimi jak Giertychowski w całym NATO.

– Myślisz, że aż tak daleko to zaszło? Wszyscy?

– Na razie jeszcze nie, ale sprawy są na dobrej drodze. On szuka. I to szybko. Świrów nie

brakuje na całym świecie.

Krentz przetarł oczy i nie odzywał się kilkanaście sekund.

– Jak premier się o tym dowie, zmiecie ich z powierzchni Ziemi – rzekł po chwili.

– Tak myślisz? A ja sądzę, że kiedy zobaczy, jak eksperymenty przełożyły się na sukcesy Pretergate i jak daleko zaszły sprawy... najpierw wyczyści brudy, a później wystawi Amerykanom pierś do orderu.

– Nie wierzę.

– A ja nie chcę ryzykować. To on desygnował tego ministra i odpowiada za to, co robił przez ostatnie dwa lata.

– Na Boga, to przecież twój szef!

– Coś ty dzisiaj taki religijny? Masz tego samego zwierzchnika od prawie ośmiu lat. Kadencja prezydenta jest długa, a ten ciągnie już drugą. Ja w tym samym czasie zmieniłem trzech szefów.

– Ciekawe, że żaden z nich nie próbował zmienić ciebie – parsknął Krentz.

– Prędzej czy później ktoś spróbuje, ale chyba nie będzie to rozsądne.

– Masz teczki na wszystkich?

Malinowski uśmiechnął się tajemniczo.

– Nie zgrywaj świętoszka. Zresztą chyba nie dlatego pozbawiasz mnie łososia w galarecie i resztek bordeaux.

– Daj mi Sil.

– Nie jest ci potrzebna. Robi swoje, zapewniam cię. Teraz musisz zaczekać.

– Chcę ich ratować – naciskał Krentz.

– Nic im nie zrobią. Czechowicz jest im potrzebny, Ultrę będą chcieli przeciągnąć na swoją stronę.

– A Kniewicz?

Malinowski przez chwilę nic nie mówił.

– Musisz być cierpliwy. Jeśli teraz wejdiesz do instytutu, wykopiesz całej trójce grób, a w Pretergate niczego nie znajdziesz. Wierz mi, to już kwestia dni. Mam ludzi w Pretergate, którzy mają stały kontakt z Oleną. Też są zagrożeni. Daj mi działać, a możesz mi wierzyć, na końcu zbierzesz wszystkie laury.

– Mam w dupie laury.

– Podobnie jak ja, ale nie psuj roboty wielu ludzi. Mówiłem ci, że jeszcze nie wiem wszystkiego.

– Co z gliniarzami?

– Panuję nad sytuacją. Prowadzą śledztwo w sprawie śmierci tego komisarza z CBS przed domem Czechowicza, i dobrze. Na razie drepczą w miejscu, ale kiedy przyjdzie czas, podrzucimy im co trzeba. Jedyne kłopot to właśnie pan doktor. Jest potrzebny jako świadek. Musimy go im dostarczyć, zanim sprawa zacznie za bardzo śmierdzieć. Na razie przekonałem

chłopaków, żeby chwilę zaczekali. – Zauważył, że Krentz uważniej zagląda mu w oczy. – Nie patrz tak – obruszył się. – Udowadniam ci w ten sposób, że mnie również zależy na tym, aby maksymalnie przyspieszyć sprawę.

Chwilę niezręcznej ciszy przerwał dźwięk telefonu Krentza.

– Piotr? – usłyszał głos Bauera.

– Tak. Coś się stało?

– Dzwonił Kniewicz. Udało mu się uciec, jeszcze się skontaktuje. Wracaj tu.

– Będę za dwadzieścia minut. – Pułkownik rozłączył się i uśmiechnął do siebie. – To sukinsyn. – Klasnął w ręce.

– Co jest grane? – spytał Malinowski.

– Kniewicz im zwiął.

– Więc dowiemy się, co się stało z resztą!

Krentz położył Malinowskiemu rękę na ramieniu.

– Bądź cierpliwy, przyjacielu. Jak tylko dowiemy się, czego trzeba, i to przeanalizujemy, natychmiast do ciebie zadzwonimy. Bo, widzisz, na razie nie wiem jeszcze wszystkiego.

– Humor ci się wyostrzył. Tyle że ja naprawdę chcę ich wszystkich dorwać.

Pułkownik spoważniał.

– Wiem, Tadziu – uspokoił go, klepiąc przyjaźnie po ramieniu. – Wiem także, że szczególnie teraz dołożysz wszelkich starań, by przyspieszyć sprawę. A później dorwiemy ich wszystkich. Razem.

ROZDZIAŁ 10

Drzwi otworzyły się i Marat wpuścił Ultrę do środka. Pomieszczenie było nieduże, przypominające nieco pokój górskiego schroniska, skromnie wyposażone, ale przytulne, co zważywszy na okoliczności, miało zdaniem dziewczyny posmak gorzkiej ironii. Robert Czechowicz siedział nienaturalnie wyprostowany. Widok agentki nie ożywił jego spojrzenia, wręcz przeciwnie – pogłębił rezygnację, bo właśnie przysła jego ostatnia szansa. Ultra zachowała spokój. Weszła do środka, usiadła na krześle wskazanym przez szefa ochrony i obojętnie oczekiwała na rozwój wypadków.

– Za minutę wracam – oznajmił Marat i wyszedł.

– Co z nim? – spytała natychmiast agentka, wykonując równocześnie uniesionym palcem kółko w powietrzu i licząc na to, że Czechowicz zachowa ostrożność w związku z możliwością podsłuchu.

– Nie było go w pokoju, kiedy przyszli – odparł Robert.

Ultra uśmiechnęła się szeroko, unosząc kciuk.

– Nic ci nie jest? – spytała.

– Nie, nic mi nie zrobili. A tobie? – W tym momencie dostrzegł w kącie jej ust zaschniętą krew. – Chodź, obejrzę to.

– Daj spokój, powinienes obejrzeć tego, kto mi to zrobił.

Czechowicz wreszcie się uśmiechnął.

– Byłaś niegrzeczną dziewczynką?

– Oczywiście.

– Nareszcie. Zabijają nas?

– Ciebie na pewno nie, a do mnie też chyba mają jakiś interes.

Drzwi ponownie się otworzyły i do pokoju wszedł Marat, a za nim Kamil Kostecki.

– Widzę, że nie dziwi pana mój widok, doktorze – stwierdził psychiatra, podsuwając sobie krzesło.

Marat ustawił się przy drzwiach i wyglądało na to, że nie zamierza usiąść.

– Japońskie cięcie? – spytał ponuro Czechowicz.

Kostecki szeroko uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Zapamiętał pan?

– Jakoś mi się teraz przypomniało – odparł gorzko Robert.

– Podczas naszego ostatniego spotkania – wyjaśnił psychiatra Maratowi – zwierzyłem się doktorowi Czechowiczowi z mojej fascynacji starochińską grą strategiczną go. Japońskie cięcie, czyli hasami to okrążający pojedynczego wojownika, w niektórych wypadkach nawet dość podstępny ruch. Taki pion ma bardzo małe szanse przeżycia.

Marat pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Obawiam się, że nasz nowy kolega poczuł się wyraźnie osaczony, a może nawet opuszczony przez swoją drużynę.

– Hasami to standardowy ruch w joseki – wtrąciła nagle Ultra – a osaczony często prowokuje, aby go okrążyć, bo pozwala to załatwić na planszy ważniejsze sprawy. I, jak to często bywa w go, ten, który osaczał, nagle widzi, że sam jest okrążany, ale wtedy najczęściej jest już po partii. Myśliwy staje się zwierzyną. Jako doświadczony gracz musi mi pan przyznać rację. – Agentka chłodno zajrzała Kosteckiemu w oczy.

– Widzę, że w pani, jak już mi opowiadano, ciężko wykrzesać nutkę romantyzmu – zauważył zawiedziony psychiatra.

– Przyzna pan, doktorze, że chwila ku temu nie jest zbyt odpowiednia.

– Tylko pozornie. W rzeczywistości mamy wam do zaproponowania znacznie więcej, niż podejrzewacie.

– Czy to propozycja nie do odrzucenia? – spytała kwaśno agentka.

Kostecki zrobił przyjacielską minę.

– Proszę tak tego nie traktować. Rozumiem wasz brak zaufania, a nawet pewną obawę, ale szybko zorientujecie się, że możecie dzięki temu osiąść wiedzę wykraczającą o lata świetlne poza to, z czym macie do czynienia na co dzień. Chcemy się nią z wami podzielić.

– Chcecie, żebyśmy się do was przyłączyli? – ożywił się Robert.

– Wbrew temu, co myślicie, to trzeźwy i realny pomysł. Nie robimy nikomu nic złego.

– Widziałem w Warszawie – rzekł z wściekłością Czechowicz. – Trup ścielił się tak gęsto, że w pewnym momencie ciężko było utrzymać rachubę!

– To wynik agresji osób, które nie rozumiały, o co nam chodzi, i nie chciały pojąć, do czego dążymy. Każdy krok postępu wymaga ofiar, to nieuniknione. To, co się stało w Warszawie, było niefortunnym zbiegiem okoliczności. Ludzie giną w wypadkach samochodowych, samoloty spadają, statki toną. Ale to jeszcze nie oznacza, że nie mamy podróżować. Konstruktorzy raket kosmicznych doskonale wiedzieli, że wszelkie środki transportu bywają niebezpieczne, a jednak postanowili pójść krok dalej. Taką już mamy naturę. Chcemy zdobywać i coś, co dzisiaj być może wydaje się kontrowersyjne, jutro będzie standardem, normą, codziennością.

– Dlaczego wam na nas zależy? – zapytał spokojnie Czechowicz.

Kostecki nabrał głęboko powietrza, przez chwilę rozważając, na ile może być szczery na tym etapie.

– Pan – zaczął wolno – jest jedną z tych osób, które są dla nas szczególnie cenne.

– Jedną z „tych” osób? – podjął Czechowicz.

– Jest grupa ludzi, w pewien sposób podobnych do pana, z którą współpracujemy...

– „Współpracujemy”?

– Można to tak nazwać... – Kostecki zastanawiał się jakiś czas. – Chodzi o to, że osoby te, podobnie jak pan, mają ukryte głęboko w umysłach niezwykle drogie informacje. Są one tyle warte, że bardzo potężni ludzie potrafią dać za nie pieniądze, o których ja i pan możemy tylko śnić. Oczywiście nie zdaje pan sobie z tego sprawy, ale znamy sposób, dzięki któremu bez najmniejszego uszczerbku na pańskim zdrowiu tajemnica tkwiąca w pańskim mózgu ujrzy światło dzienne.

Czechowicz zamarł, nie będąc w stanie wydobyć z siebie słowa. Dłonie, które oparł na łóżku, chwyciły mocno materac, jakby z lęku przed tym, że w jakiś niewytłumaczalny sposób mogą stracić kontrolę.

– Natomiast pani – ciągnął Kostecki – zbliżyła się do nas w tak imponującym tempie, nie mówiąc już o dzisiejszych popisach, że ciężko wątpić w jej profesjonalizm. Jest pani doskonałym agentem, choć nie pracuje dla rządu, co do czego nie mamy wątpliwości. Na razie o nic nie pytamy. Mówimy tylko, że ludzie pani pokroju są u nas na wagę złota. Chcemy, żebyście zastanowili się nad naszą propozycją. Rozumiem, że wymaga to czasu, ale będzie go sporo w drodze do Warszawy.

– Chcecie nas przerzucić do Polski?! – spytała nerwowo Ultra.

– Tak.

– Kiedy? Jak?

– Na panią już od pewnego czasu czeka samolot w Larisie. Wyjazd za pięć minut, w samochodzie są pani rzeczy z hotelu wraz z dokumentami. Będę pani towarzyszył. A pan... pozostanie jeszcze jakiś czas gościem pana Goźlakowa, lecz z pewnością niedługo się zobaczymy.

– A jeśli w czasie podróży się rozmyślę? – Ton, jakim Ultra zadała to pytanie, był dość prowokujący.

– Liczymy na to, że nie narazi pani swojego przyjaciela, którym ma się opiekować – wyjaśnił dość chłodno Marat.

Dziewczyna zatopiła w nim wzrok, wyrażając pogardliwą dezaprobatę, po czym wstała z krzesła.

– Dlatego lecimy osobno?

Marat uśmiechnął się szeroko.

– Proszę za mną.

Policjant wygrzewający się w popołudniowym słońcu przed posterunkiem pewnie nie zwróciłby uwagi na Adama Kniewicza, gdyby ten się nie odezwał. Minęła już osiemnasta, ale upał wciąż rozleniwił nie tylko turystów.

– Sir! – powiedział głośno dziennikarz.

Policjant otworzył oczy. Obejrzał uważnie cywila, ale nie uważał za stosowne się przywitać.

– Potrzebuję pomocy. Mogę wejść do środka i zadzwonić? – spytał Kniewicz po angielsku.

Grek rozłożył bezradnie ręce i pokręcił głową, dając do zrozumienia, że nie ma pojęcia, o co chodzi.

– *Do you speak English?* – spytał Adam.

– *No.*

Dziennikarz zwiesił z rezygnacją głowę. Stał tak przez chwilę, zastanawiając się, co robić dalej. Wreszcie ponownie spróbował wyjaśnić, o co mu chodzi, tym razem na migi, od czasu do czasu tylko używając poszczególnych słów.

– *Help... telefono... dangerous...* – mówił, bogato gestykulując. – *Enter?* – Wskazał na drzwi.

Policjant podejrzliwie przyjrzał się mu, po czym niechętnie skinął głową

– *Enter, enter.* – Machnął ręką, ale nie wstał. Ku zdziwieniu Kniewicza, ułożył się wygodnie na leżaku, rozpiął koszulę i uważając rozmowę za zakończoną, postanowił kontynuować kąpiel słoneczną.

Adam nacisnął klamkę i wszedł do środka. Dwa kroki za drzwiami, po prawej stronie, dostrzegł balustradę, za którą najwyraźniej mieściło się biuro dyżurnego. Młody, chudy Grek czytał kolumnę sportową w gazecie.

– Potrzebuję pomocy, muszę zatelefonować – spróbował Adam kolejny raz.

Młody funkcjonariusz uśmiechnął się uprzejmie, ale również rozłożył ręce.

– *No angle, no angle.* – Wyszczrzył nie umyte najwyraźniej tego dnia zęby.

– Do cholery, jesteście policjantami! Jak możecie nie znać angielskiego?! – nie wytrzymał dziennikarz. – Wiesz, kolego, że jesteście w Unii Europejskiej?!

– *Pronto?* – Policjant zaniepokoił się podniesionym tonem gościa.

– Znasz portugalski? – zainteresował się Kniewicz. – Hiszpański?

– *No angle, no angle.* – Funkcjonariusz powrócił do dawnej śpiewki i ponownie zaprezentował swój poźółkły uśmiech.

– W porządku. – Dziennikarz próbował się uspokoić. – *Telefono.* – Wskazał aparat stojący na biurku. – *I must... telefono. Very importante...*

Greki przyglądał się z zainteresowaniem cudzoziemcowi, nie wiedząc za bardzo, co ma z nim począć, ale dostrzegłszy jego zdesperowany wzrok, postanowił być wspaniałomyślny.

– *Telefono OK* – zakomunikował i postawił aparat na balustradzie.

Adam odetchnął z ulgą i modląc się w duchu do wszystkich świętych, aby ten gruchot łączył międzynarodowe, wykręcił numer.

– Tak? – usłyszał po pewnym czasie damski głos.

– Tu Kniewicz – odpowiedział szybko.

– Łączę.

Niemal natychmiast odebrał Krentz. Dziennikarz poznał go bez trudu. Charakterystyczny ciemny baryton pułkownika łatwo było rozpoznać nawet po tak długim czasie od ich ostatniego spotkania.

– Słucham.

– To ja, Adam Kniewicz.

– Doskonale. Gdzie pan jest?

– Na posterunku policji. Wcześniej dzwoniłem z budki, ale zabrakło mi forsy. Nie mam paszportu, pieniędzy i jestem w krótkich spodenkach!

– Spokojnie. – Głos Krentza rzeczywiście działał uspokajająco. – Proszę szybko opisać, co się stało.

Kniewicz odetchnął głęboko dwa razy i na wszelki wypadek uśmiechnął się do najwyraźniej coraz bardziej zainteresowanego policjanta.

– Ultra poszła znowu na wykopaliska, a Roberta, wie pan, tego lekarza, zabrali jacyś faceci.

– A pan?

– Przypadkowo nie było mnie akurat w hotelu. Poszedłem po jedzenie.

– Doskonale. Wie pan coś jeszcze, co mogłoby się nam przydać?

– Uciekłem, nic więcej nie wiem. Skąd oni mogli się dowiedzieć, że tu jesteśmy? To miała być zwyczajna wycieczka do Grecji!

– Niech pan się nie przejmuj, wyciągniemy pana z tego. Chwilę – dziennikarz usłyszał trzask w słuchawce – Krzysiek, daj tę mapę! Dobrze, już nieważne, mam pomysł.

– Jest pan tam? – upewnił się Kniewicz.

– Jestem. Proszę posłuchać. Zanim do pana dotrzemy, upłynie kilka godzin, a w tym czasie musi się pan ukryć. Z tego, co pamiętam, ma pan to już przerobione.

– Ale w Polsce!

– Niech pan się nie denerwuje, będzie dobrze. Na drodze z Platamonas do autostrady, mniej więcej kilometr od skrzyżowania, jest niewielki stary kościół greckokatolicki. Stoi niemal na pustkowiu.

– Wiem, jechaliśmy tamtędy. Skąd pan wie takie rzeczy?

– Jestem tajnym agentem. Niech pan się tam pojawi, ale nie wcześniej niż o siódmej rano. Nasz człowiek rozpozna pana ze zdjęcia, podejdzie i powie... pamięta pan kryptonim akcji, w której towarzyszył Ultrze rok temu?

– Oczywiście.

– To hasło, dzięki któremu będzie pan miał pewność, z kim ma do czynienia. Celowo nie mówię go przez telefon. Niech pan nie jedzie autostopem i omija ludzi. Za trzynaście godzin będzie pan bezpieczny.

– Jestem na posterunku. Może poczekam tutaj?

– Zaraz po naszej rozmowie proszę go opuścić. I niech się pan nie zwraca do policjantów o żadną pomoc.

– Ale dlaczego?

– Adam, posłuchaj mnie. – Kniewicz zauważył, że pułkownik zrezygnował z oficjalnych ceregieli, i sprawiło mu to przyjemność. – Tam nie będziesz bezpieczny. Zrywaj się stamtąd jak najszybciej, a gdy się spotkamy, wszystko ci wytłumaczę.

– W porządku. Będę tam gdzie trzeba o siódmej.

– Adam... skąd masz ten numer?

– Od Ultry. Kazała mi zadzwonić w razie kłopotów.

– Mądra dziewczyna. Powodzenia.

– Będzie mi potrzebne. – Kniewicz odłożył słuchawkę.

Policjant wziął telefon, postawił na biurku i zaczął coś mówić po grecku.

– Szkoda, że nie byłeś taki gadatliwy, kiedy tu przyszedłem – mruknął dziennikarz pod nosem i zwyczajem obu funkcjonariuszy rozłożył bezradnie ręce. Następnie wyszedł szybko z posterunku, bojąc się, że dyżurny będzie chciał wyciągnąć od niego pieniądze za międzynarodową rozmowę. Opalający się na zewnątrz policjant nawet nie otworzył oczu.

Krentz odłożył słuchawkę i przez chwilę siedział zamyślony, raz jeszcze analizując przebieg wypadków. Następnie sięgnął po kawę i pociągnął duży łyk.

– Jestem tajnym agentem – powtórzył Bauer. – Kazałeś zbadać to Platamonas?

– Coś ty... – Pułkownik się uśmiechnął. – Wszystkie biura podróży w mieście wciskają wczasy w Platamonas, byłem tam z żoną dwa razy. Kościółek jest romantyczny do bólu.

Major parsknął śmiechem.

– Co robimy?

– Wyślij tam Cichego i Kaja. Nie chcę robić teraz międzynarodowego zamieszania, więc niech lecą normalną maszyną rejsową. Samolot do Aten jest o 22.20, będą na miejscu o 1.55. Zadzwoń do kogo trzeba, żeby czekały już tam na nich samochód i broń. A... i każ kupić dziennikarzowi jakieś spodnie. Ile nam zostało czasu?

– Niecałe cztery godziny.

– Zdasz załatwić Kniewiczowi paszport?

– Bez problemu.

– A z pieczęcią wjazdową?

– Koniecznie?

- Na wszelki wypadek.
- Postaram się.
- Powiedz im, że mają zacząć kontakt od słowa „Zygzak”.
- Słyszałem. Fajnie jest w tym Platamonas?
- Do dupy, ale mojej żonie się podoba.

Ultra tkwiła na tylnym siedzeniu między mięśniakiem a doktorem Kosteckim. Z przodu jechał ponadto nie znany jej ochroniarz.

Mięśniak miał minę zbitego psa, co biorąc pod uwagę krótki, ale bolesny kontakt z dziewczyną, nie było niczym dziwnym. Niewątpliwie szukał pretekstu do rewanzu i Kostecki natychmiast to wyczuł. Złamany nos spuchł mężczyźnie niemiłosiernie, czego nie mógł ukryć nawet solidny opatrunek, a genitalia po bezlitośnie precyzyjnym ciosie wciąż mu dokuczały.

Doktor doskonale zdawał sobie sprawę, że każdy nowy problem będący skutkiem nadszarpnięcia męskiej dumy może poważnie zaszkodzić całemu przedsięwzięciu, więc trzymał rękę na pulsie.

Ultra siedziała spokojnie, zatapiając wzrok w przestrzeni za przednią szybą. Wyglądała, jakby przez chwilę nie myślała o niczym, odpoczywając lub pogrążając się w letargu podobnym do medytacji, której uczyła jej niegdyś stara przyjaciółka Janti. Były to jednak tylko pozory – agentka najsprawniej jak potrafiła analizowała wszystkie sytuacje, możliwy przebieg wypadków, szanse na stawienie oporu lub ucieczkę. To ostatnie oczywiście nie wchodziło na razie w rachubę. Dopóki Robert był w Platamonas, nie mogła ryzykować. Zresztą, aby próbować go odbić, musiałyby zlikwidować wszystkich, którzy z nią jadą, i liczyć na to, że Goźlakow nie zorientuje się na czas. Bez szans. Nie miała broni, przeciwko sobie czterech mężczyzn, a w dodatku nie wiedziała, gdzie jest Adam. Musiała czekać i uważnie obserwować. Prawie na pewno ani jej, ani Czechowiczowi nic nie grozi, dopóki nie znajdą się w instytucie. Cały wysiłek, jaki ci ludzie wkładali w przetrwanie ich do Polski, dawał nadzieję, że Kostecki mówił prawdę. Nie znaczyło to jednak, że to, co niemożliwe tutaj, nie będzie wykonalne w kraju. Ultra wierzyła, że okazja prędzej czy później się nadarzy. Tylko gdzie jest Adam? Była pewna, że nie wrócił do hotelu, nawet jeśli nie miał przy sobie pieniędzy ani dokumentów. Liczyła w duchu, że zdążył zadzwonić do Krentza, a jeśli tak, to była ogromna szansa, że nie wpadnie w łapy Marata. Człowiek Goźlakowa nie zdąży go znaleźć, a chłopcy pułkownika zjawią się w kilkanaście godzin.

Wjechali do miasta. Kątem oka dziewczyna zauważyła, że Kostecki daje dyskretny znak mięśniakowi, pochylając się do przodu.

- Mój nesaser! – zażądał, klepnawszy w ramię ochroniarza siedzącego z przodu.

Mężczyzna natychmiast podał mu teczkę. Równocześnie mięśniak złapał silnie Ultrę za nadgarstki. Zaskoczona próbowała się wyrwać, lecz jego potężne cielsko uniemożliwiło jakikolwiek opór.

– Proszę o spokój – powiedział Kostecki, wyjmując z neseseru strzykawkę z nałożoną igłą. W środku dziewczyna dostrzegła dwa mililitry żółtawego płynu.

– Co to jest?! – warknęła przez zęby.

– Za chwilę pani wyjaśnię. – Psychiatra chwycił ją mocno lewą ręką za łokieć, po czym zręcznie znalazł igłą żyłę i wstrzyknął specyfik. Następnie schował strzykawkę do teczki, a tę podał siedzącemu z przodu ochroniarzowi.

Agentka kilka razy odetchnęła głęboko, starając się odzyskać równowagę.

– To substancja, dzięki której będziemy pewniejsi, że nasza przyjaźń się nie zachwieje, kiedy na przykład znajdziemy się na lotnisku – wyjaśnił Kostecki.

– Przecież macie Czechowicza!

– Och, droga pani, ludzie różnie reagują na stres, a nasz plan musi się powieść. – Doktor się uśmiechnął.

– Jak to działa? – Ultra odzyskała miarowy oddech.

– Nie wdając się za bardzo w chemiczne rozważania, substancja, którą pani wstrzyknęłam, może przez pewien czas bez szkody dla organizmu krążyć po krwiobiegu, jak na przykład kontrast do badań diagnostycznych, ale po mniej więcej sześciu godzinach rozkłada się do prostszych, bardzo groźnych związków. Podsumowując, jeśli do tego czasu nie wstrzyknę pani antidotum, nastąpi krytyczna tachykardia i śmierć. Tak więc – puść do niej oko – trzymajmy się razem.

– MSX-8? Taherouraksin?

– Hmmm – mruknął z podziwem doktor. – Na chwilę zapomniałem, kim pani jest. Żaden z tych środków, choć działa podobnie. Ten specyfik opracowali nasi naukowcy. – Podkreślił słowo „nasi”. – Jestem pewien, że go pani nie zna.

– Dojeżdżamy – rzucił przez ramię kierowca.

– Zatrzymaj się na chwilę – rozkazał Kostecki.

Mężczyzna zjechał na pobocze i zahamował.

– Zostańcie tu – mruknął psychiatra, wysiadając z samochodu. Zatrzasnął drzwi i przeszedł kilka kroków. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wystukał numer.

– Tak?

– Znaleźliście tego trzeciego? – spytał.

– Jeszcze nie.

– Pospieszcie się, to zaczyna się robić niebezpieczne.

– Szefie, on niczego nie wie. Nie ma żadnego zagrożenia.

– Wolę być ostrożny. Zadzwoń do Kostasa, niech ruszy swoich gliniarzy.

– Już to zrobiłem.

– Dobrze. Chcę, byście go znaleźli do zmroku.

– To tylko przestraszony cywil. Nie ma szans. Jest bez forsy i paszportu. Będzie się starał dotrzeć do ambasady albo konsulatu, a wtedy go zdejmujemy.

- Obstawcie najbliższe posterunki policji.
- Właśnie to robimy. Może być pan spokojny.
- Będę spokojny, jak wrócimy z nimi do domu.

Kostecki rozłączył się. Schował telefon, wyjął paczkę tic-taców, włożył do ust dwie pastylki i ruszył z powrotem do samochodu.

Lech Wasylszyn obudził się bardzo wcześnie. Nie wrócił tej nocy do domu. Zasnął w swoim białym fartuchu w wygodnym fotelu i choć kozetka stała dwa metry dalej, tak właśnie spędził noc w gabinecie. Przetarł oczy i spojrzął na zegarek. Wskazywał kilka minut po szóstej, co oznaczało, że spał tylko pięć godzin; najczęściej jednak tyle mu wystarczało. Wstał powoli i podszedł do czajnika, aby przygotować sobie kawę. Żaluzje były rozsunięte, ale podwinął je jeszcze, by móc obserwować wstający dzień. Czekał, aż zagotuje się woda, przyglądając się rezolutnemu gilowi spacerującemu po gałęzi rosnącego nieopodal potężnego dębu. Zapowiadał się ciężki dzień, a być może i noc.

Wsypał dwie łyżeczki kawy do szklanki i zalał je wrzątkiem. Podszedł do biurka i wziął do ręki niewielką gipsową rzeźbę – podarunek od wdzięcznego studenta Akademii Sztuk Pięknych kończącego leczenie w instytucie. Rzeźba przedstawiała siedzącą postać młodego mężczyzny skupionego na malutkim drzewku, które dopiero co wyrosło z trawy. Podpis na podstawie brzmiał: „*cras ingens iterabimus aequor*” – „Jutro ruszamy w rejs na bezkresne morze”.

Profesor raz jeszcze uważnie przyjrzał się prezentowi, uśmiechając się pogodnie.

- Obyś miał rację, Horacy – mruknął do siebie.

Kobieta była zbyt daleko, aby Robert mógł ją usłyszeć. Mimo ogromnego wysiłku nie był w stanie zrobić nawet jednego kroku. Stał na wielkiej pustyni krwistoczerwonego piasku. Gęste sine chmury całkowicie zakryły niebo, a ponure kontury skał wyrastających co kilkadziesiąt metrów wydawały się ostre jak brzytwa, groźne i zarazem smutne, jakby było w nich życie, ukryte i przyczajone, lecz gotowe do walki. Robert słyszał już wyraźnie tętent koni za plecami, ale nie był w stanie się odwrócić. Zapadał się wolno w piasek, patrząc na kobietę w białej sukni, której słów już nie słyszał. Konie były coraz bliżej. Robert niemal namacalnie poczuł, że nadchodzi śmierć. Wydawało się to naturalne, ale równocześnie bardziej smutne niż przerażające. Przestał się bronić. Czekał i patrzył, jak biała suknia znika powoli za czerwoną mgłą, która spowiła pustynię. Jeszcze przez moment widział, jak lekki wiatr zawiewa jej włosy na twarz, i po chwili został sam...

Ultra zauważyła, że jej ciało od pasa w dół jest nieprzyjemnie odrętwiałe, a nogi zupełnie bezwładne. Obudziła się zaledwie przed minutą, ale odkrycie to zdążyło ją już gwałtownie, obezwładniająco wręcz przerazić. Podniosła nerwowo głowę. Leżała na łóżku w dużej,

pomalowanej na zielono sali. Pomieszczenie pozbawione było mebli, jeśli nie liczyć umieszczonych pod ścianą krzeseł. W pobliżu drzwi stało kilka dziwnych urządzeń składających się z rurek, dużych menzur, przewodów i elektrod. Dwa metry od Ultry stało łóżko, na którym twarzą zwróconą prosto do sufitu leżał Robert Czechowicz. Oczy miał zamknięte, ale agentka dostrzegła, że oddycha. Oboje znajdowali się niemal na środku sali. W narożnikach zamocowane były niewielkie kamery od czasu do czasu zmieniające pole obserwacji. Panowała przerażająca cisza. Nie było tu okien, ale dzięki lampom na suficie można było bez problemu się rozejrzeć.

– Robert! – wyszeptała Ultra, nadludzkim wysiłkiem starając się wykonać choćby najmniejszy ruch nogą.

Czechowicz nie reagował.

– Robert! – powtórzyła błagalnie.

Po kilku sekundach jego powieki drgnęły. Otworzył na chwilę oczy i ponownie je zamknął. Poruszył głową, uniósł ciężko ręce i przetarł powieki. Obrócił głowę w stronę agentki.

– Ultra – mruknął sennie.

– Obudź się! Nie zasypiaj!

– Nie zasypiam, cholera... Ten sen... Co się dzieje?

– Jesteśmy chyba w instytucie. – Dziewczyna odetchnęła z ulgą, widząc przytomnego Czechowicza. – Jaki sen?

Robert uniósł się na rękach.

– Nieważne... Boże, to instytucie?

– Kiedy cię przywieźli?

– Nie pamiętam, chyba w nocy. Po drodze coś mi podali.

– Możesz ruszać nogami?

Czechowicz przesunął stopy na prześcieradle.

– Tak.

– A ja nie! – jęknęła niemal płaczliwie Ultra. – Co oni mi zrobili?!

Robert był już zupełnie przytomny.

– Z rękami nie masz problemów?

– Nie.

– Dotknij ud. Są tak nieprzyjemnie odrętwiałe?

– Tak.

– Masz głupie wrażenie, że nie leżą bezpośrednio na pościeli, tylko są jakby w górze?

– Dokładnie. Co oni mi zrobili?!

– Wstrzyknęli ci marcinę albo coś podobnego. Pamiętasz cokolwiek?

– Wylądowaliśmy, dali mi dwa zastrzyki, usnęłam. Kiedy to przejdzie?!

– Niedługo. – W drzwiach niemal niezauważenie pojawił się Kamil Kostecki. Wszedł do

sali w towarzystwie starszego, siwego mężczyzny w białym fartuchu. – Jak samopoczucie?

– Gdzie jesteśmy? – spytał Czechowicz.

– Zostaw nas samych – powiedział starszy lekarz cicho, ale tonem nie przyzwyczajonym do sprzeciwu.

– Oczywiście. – Kostecki zniknął za drzwiami i cicho je zamknął.

– Nazywam się Lech Wasylyszyn, a państwo są w instytucie, którym kieruję – wyjaśnił spokojnie lekarz, biorąc krzesło spod ściany i ustawiając je między łózkami.

– Wiele o panu słyszałem, profesorze. – W głosie Roberta dawało się wyczuć lęk, ale i podziw.

– Cieszę się, doktorze – odparł Wasylyszyn. – Ja również wiele o panu słyszałem, głównie dobrego. Jest pan doskonałym chirurgiem, choć wiem, że zaczynał pan od interny.

Czechowicz spojrział na Ultrę, mając nadzieję, że nie zostawi go samego podczas konfrontacji z profesorem.

– Dziękuję – rzekł po chwili. – Dlaczego właściwie nas pan tu ściągnął?

– Czego od nas chcecie? – rzuciła Ultra, unosząc się z wysiłkiem na łokciach.

Profesor usiadł wygodnie na krześle i założył nogę na nogę.

– Doktor Kostecki z pewnością już mówił, że proponujemy wam udział w przedsięwzięciu, którego skala, jak sądzimy, niedługo przekroczy wszelkie granice dotychczasowej wiedzy medycznej – zaczął Wasylyszyn. – Chcę teraz szczerze opowiedzieć o tym, co tu robimy, licząc, że to docenicie.

– Szczerze? – spytała z niedowierzaniem Ultra.

– Może być pani tego pewna. Nie wiem, czego się pani spodziewa po tej rozmowie, ale obiecuję, że dam wam godny materiał do przemyśleń.

– Zanim nas pokroicie, a narządy sprzedacie na czarnym rynku? – Agentka szybko pożałowała, że to powiedziała.

Na twarzy Wasylyszyna pojawiło się rozbawienie.

– Jest pani jeszcze młoda, ale wykonuje odpowiedzialny zawód, więc nie powinna dawać się ponieść nerwom – skarcił ją dobrodusznie.

– Wydarzenia ostatnich godzin raczej nas usprawiedliwiają. – Robert przyszedł z pomocą dziewczynie.

– Być może – przyznał profesor – ale my tu nie zajmujemy się czarnym rynkiem, handlem narządami ani żadnego rodzaju, jak to pani ujęła, „krojeniem” kogokolwiek. Jestem psychiatrą, a w tym instytucie leczone są nerwice, depresje, psychozy, czasem uzależnienia.

– Tylko? – upewnił się Robert.

– Ja bym powiedział „aż”! – Wasylyszyn przerwał na chwilę, jakby się zastanawiał, od czego zacząć. – Słyszał pan kiedyś, doktorze, o tak zwanych eksperymentach Johanssona?

Czechowicz zastanawiał się jakiś czas.

– Tylko plotki, jak większość kolegów ze studiów.

– No właśnie. Mało kto zna prawdziwy ich przebieg i wyniki.

Ultra próbowała podciągnąć trochę nogi, by usiąść, ale wkrótce zrezygnowała.

– Profesor Johansson – ciągnął Wasylyszyn – wybitny szwedzki naukowiec, pracował w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku w ośrodku Kierbystrud, kilkanaście kilometrów od Sztokholmu. Prowadził tam badania nad tak zwaną hipnozą wsteczną. Na czym polega zwykła hipnoza, pewnie nawet pani wie, ale tamte badania dotyczyły czegoś dużo głębszego.

Wasylyszyn ponownie przerwał, aby dać odpocząć swoim słuchaczom. Robert usiadł na łóżku, Ultra zaś – wciąż leżąc – zmrużyła oczy i nie spuszczała wzroku z profesora.

– Hipnoza wsteczna – kontynuował – wyprowadzała pacjentów nie tylko poza ograniczenia wywołane stałą kontrolą i logiczną analizą docierających do mózgu przesłanek, ale także poza czas, w którym mózg pacjenta powstał i egzystował. Mówiąc prościej, pacjent cofał się do czasów sprzed swoich narodzin, przy czym niekiedy potrafił niezwykle precyzyjnie opisywać tę rzeczywistość. Osoby biorące udział w eksperymentach umiały z niepodważalną historycznie wiarygodnością opowiadać o czasach sprzed kilkuset, a nawet kilku tysięcy lat. Wyglądało to tak, jakby współcześnie żyjący człowiek dzięki metodzie profesora Johanssona przenosił się w przeszłość i wcielał w szesnastowiecznego szlachcica, egipskiego chłopca z czasów szóstej dynastii lub rycerza ze średniowiecznej Polski.

– Jak to możliwe? – zapytała Ultra, spoglądając z niepokojem na Roberta.

– Tym właśnie się tutaj zajmujemy, droga pani – wyjaśnił profesor.

– Reinkarnacja? Wędrowka dusz? Przenoszenie się do poprzednich wcieleń? Wierzy pan w takie rzeczy? – Czechowicz kręcił z niedowierzaniem głową. – To dylematy religijne, może filozoficzne, ale nie naukowe. Ci ludzie mogli być doskonale poinstruowani, badania mogły być fałszowane, aby dawały odpowiedni efekt.

– Nie, doktorze – zaprzeczył Wasylyszyn. – To już nie są rozważania filozoficzne, domniemania, plotki czy domysły. To fakty. Jak pan wytłumaczy to, że prosta szwedzka chłopka nagle zaczyna mówić płynnie po aramejsku, nie myśląc się w żadnym szczególe dotyczącym Mezopotamii sprzed dwóch i pół tysiąca lat? Czy że osiemnastolatek z Norwegii opowiada w średniowiecznym francuskim o nieznanym konflikcie Ludwika V i Alfreda Wielkiego, a kobieta z Mozambiku, studiująca wówczas w Szwecji, modli się w staro-cerkiewno-słowiańskim? Nieprawdopodobne? A jednak. Ogromna ilość wiedzy historycznej przekazanej przez tych ludzi nie była w ogóle znana, ale nijak nie dało się jej logicznie wykluczyć. Słowem, wszystko się zgadzało. Brakujące ogniwa układanki pasowały jak ulał. Wyniki były rewelacyjne.

– Gdyby to się dało udowodnić, Kościół katolicki ległby w gruzach – zaproponowała Ultra.

– Niekoniecznie. – Wasylyszyn podniósł palec, jakby chciał zwrócić szczególną uwagę na to, co zaraz powie. – Wędrowka dusz to tylko jedno, w dodatku najbardziej fantastyczne wytłumaczenie. A co powiecie o genetyce? Cechach przekazywanych z pokolenia na pokolenie, o informacjach tkwiących dzięki temu gdzieś w najbardziej tajemniczych partiach

naszego mózgu, partiach do tej pory nie poznanych, a pamiętających niewyobrażalnie dalekie czasy? Nieco rzecz upraszczając, z naukowego punktu widzenia wszyscy mamy przecież wspólnego przodka.

– Co się stało z Johanssonem? – spytała dziewczyna.

– Na polecenie rządu badania przerwano, a ośrodek zamknięto. Wszystko zostało utajnione, a większość taśm z nagrań, notatek, dzienników ukryta w sejfach rządowych. Dwa lata później profesor Johansson zmarł. Jego zespół rozsypał się, ale jeszcze długo wszyscy członkowie byli obserwowani. W końcu sprawa, podobnie jak jej twórca, umarła śmiercią Roswell i wielu im podobnych.

– Dlaczego tak zrobili?! – Czechowicz pokręcił z niedowierzaniem głową. – Przecież to mogło być kolosalne odkrycie!

– Właśnie, dlaczego... – Profesor uśmiechnął się dobrotliwie. – A dlaczego do tej pory nie odtajniono akt sprawy Kennedy’ego? Dlaczego tak skrzętnie ukrywano wszelkie dowody lądowania UFO we wspomnianym już Roswell? Dlaczego taśmy z ostatnich rozmów z zaginioną ponad sześćdziesiąt lat temu nad trójkątem bermudzkim eskadrą myśliwców zapuszkowane są w sekretnych archiwach FBI? Bo rządy i tajne służby większości państw są przekonane, że mają patent na nieomyślność i same wiedzą najlepiej, co jest potrzebne i co powinni wiedzieć ich obywatele. Reszta jest *top secret*. Mam rację, droga pani? – Przeniósł wzrok na Ulrę.

– Skoro kontynuuje pan te badania, profesorze – odparła agentka, ignorując pytanie – musiał pan mieć dostęp do wyników Johanssona.

– To prawda. Zespół, poza obsługą, liczył osiem osób pochodzących z kilku krajów. Tworzyło go troje Szwedów, Fin, Amerykanka, Szwajcar, Czech i Polak. I właśnie ten Polak przywiózł do kraju kopię dziennika Johanssona. W czasach komunistycznych kontynuacja badań była niemożliwa, a gdyby nawet się to udało, bardzo ryzykowna. Ale po 89 roku pojawiła się szansa.

– To pan był tym Polakiem – stwierdziła Ultra pewna swojego podejrzenia. – To pan sprowadził ten dziennik do Polski i czekał na odpowiedni moment. Pewnie trudno było znaleźć po latach starych przyjaciół, ale takie instytucje jak ten powstały już, jak sądzę, w Czechach, Szwajcarii, USA, a może nawet w Finlandii i Szwecji. Mam rację?

– Widzę, że odzyskuje pani siły – rzekł z uznaniem Wasylyszyn. – Nie myliłem się co do pani, chcąc, aby pracowała dla mnie.

– Tylko że ja już pracuję, i to dla legalnie wybranych władz, a pan, profesorze, ukrywa przed wszystkimi swoje eksperymenty, co najgorsze zaś, również przed tymi, którzy są pańskimi królikami doświadczalnymi.

– To nie są króliki doświadczalne – zaproponował Wasylyszyn. – To przyszli bohaterowie. Gdybym teraz ogłosił, co tu robimy, stałoby się to co w Szwecji! Bardzo chciałbym się podzielić z wszystkimi tą wiedzą, ale nie mogę.

– Czyżby? A chciałby się pan podzielić charakterem swojej współpracy z Pretergate? – Ultra była uparta.

Profesor zachmurzył czoło.

– Nie rozumie pani całości sprawy.

– Niech mi pan da szansę. Na przykład wyjaśniając, do czego tak bardzo potrzebujecie Roberta Czechowicza.

Wasyłyszyn, mimo iż agentka podniosła głos, zachował stoicki spokój. Nie od razu odpowiedział, ale widać było, że na razie nic nie wytrąciło go z równowagi.

– Dobrze – rzekł po chwili. – Zaszliśmy znacznie dalej niż profesor Johansson. Nie tylko potrafimy wprowadzać pacjentów w stan hipnozy wstecznej, ale także poznaliśmy działające w mózgu mechanizmy, które przekierowują świadomość do obszarów, gdzie zgromadzone są informacje o osobowości, jak to nazwaliśmy, „predominującej”.

– Czy to odwracalny proces? – spytał na wszelki wypadek Czechowicz.

– Całkowicie, czego jest pan najlepszym przykładem.

– Tych osobowości mogą być w naszym mózgu tysiące!

– Niewykluczone, ale z powodów, których nie potrafimy jeszcze wyjaśnić, za każdym razem pacjent przybiera konsekwentnie tylko jedną, tę samą postać. Dlatego nazwaliśmy to zjawisko „pobudzaniem osobowości dominującej”. Wniosek z tego wysnuliśmy taki, że oprócz podstawowego, nieustannie poszerzającego się zbioru informacji, dzięki któremu każdy z nas jest tym, kim jest, istnieje być może jeszcze mnóstwo innych, z których jeden z niewyjaśnionych powodów zdecydowanie dominuje. Jak wspomniałem, znamy mechanizmy biochemiczne działające w mózgu podczas, jak to nazywamy tu potocznie, próby, ale oczywiście poznanie mapy umysłu jest raczej niewykonalne. Dlatego wiemy, jakie reakcje wywołać, aby proces zapoczątkować, ale później rządzi się on już własnymi prawami. To jednak wystarczyło, aby mógł powstać haerotex, środek, który inicjuje reakcję.

– Umiecie produkować lek, który bez ingerencji lekarza wywołuje stan hipnozy wstecznej?

– Tak, ale to już więcej niż hipnoza. Pacjent nie leży na łóżku z zamkniętymi oczami i nie opowiada o otaczającej go rzeczywistości, w której żył ktoś, kogo pamięć, konstrukcję psychiczną i osobowość przechowuje w swoim mózgu. Pacjent wstaje, otwiera oczy i po prostu jest tym kimś! Chodzi, działa, rozmawia i nie wie, że bardzo dawno temu umarł!

– Ale taki człowiek w którymś momencie swego życia musi się „budzić” – wtrąciła Ultra.
– Jeśli, jak pan powiedział, pacjent „jest” tą osobą sprzed setek lat, musi pamiętać swoje życie z przeszłości i nie wiedzieć, co jeszcze go czeka. Jak to pogodzić z pańską teorią, że zbiór informacji, z których korzysta wówczas mózg, przekazywany genetycznie z pokolenia na pokolenie, jest zamknięty? Jeśli nawet przyjmiemy, że zjawisko to powoduje nie pamięć genetyczna, lecz duchowa, wynikająca z reinkarnacji, problem pozostaje. Taki człowiek nie może wiedzieć, jaka będzie jego przyszłość.

– Ma pani rację – potwierdził profesor. – W żadnym z instytutów, prowadzonych, jak słusznie się pani domyśliła, przez moich kolegów z zespołu Johanssona, nie zdarzył się przypadek, aby pacjent poddany próbie pamiętał, co go czeka w przyszłości. Jednak w ciągu dziesięciu lat kilkakrotnie już udało nam się natrafić na „predominanta” odnotowanego dość dokładnie przez historię. Za każdym razem wchodziliśmy w niego tuż przed jego śmiercią.

– Czy w każdej próbie wchodzicie w ten sam moment życia dominanta? – spytał Czechowicz.

– Tak, ale co ciekawe, wszystkie poprzednie spotkania są zapamiętywane i wprowadzeni w trans pacjenci powołują się na nie. Wyszliśmy więc nie całkiem jeszcze udowodniony wniosek, że osobowość dominująca budzi się dla nas w momencie swojej naturalnej śmierci. Dlatego pamiętają całe swoje życie i nie wiedzą, że umarli. Potwierdza też to sporo przypadków dominantów ludzi starych, chorych, rannych...

– Rannych?

– O tak. Mieliliśmy kilka takich prób. Zachowywali się tak, jakby byli śmiertelnie ranni. Leżeli na stole i cierpieli, mimo że nie widać było żadnych uszkodzeń ciała.

– Zdarza się, że pacjent wywołuje osobowość kogoś, kto zmarł niedawno, powiedzmy, pięćdziesiąt lat temu?

– Nigdy nie było takiego przypadku, ani w Szwecji u profesora, ani później. Najmłodszy dominant, jeśli można to tak określić, urodził się około trzystu lat temu. Ale to rzadkość. Ciekawe jest to, że wywoływane osobowości zwykle są bardzo stare, często z czasów starożytnych. Dlatego jest to tak niezwykle i fascynujące. Proszę sobie wyobrazić, że mają państwo kontakt z kimś, kto urodził się dwa i pół tysiąca lat temu! Jak ogromną ilość informacji można od kogoś takiego uzyskać! Jaką wiedzę!

Ultra nagle poczuła, że zimny strumyczek potu spływa jej po karku.

– Boże... do tego potrzebujecie Pretergate – jęknęła przerażona. – Przy pomocy poliglotów dowiadujecie się od dominantów o ukrytych skarbach, kosztownościach, grobowcach, zaginionych księgach, dokumentach. I dlatego firma zawsze wie, gdzie kopać...

– Na każde przedsięwzięcie potrzebne są pieniądze, czasem dość duże – powiedział chłodno Wasylyszyn.

– Ale to kradzież, profesorze! Czynicie ich złodziejami i sami czerpicie z tego zyski.

– Nie zgadzam się z panią – zaprzeczył Wasylyszyn. – Wszystko to robimy dla nauki, a także dla historii. Pretergate daje światu niedostępną do tej pory wiedzę. Oni mają więcej szczęścia od nas, nie muszą ukrywać wyników swojej pracy. A my nie mamy wyjścia.

– Doskonale wiadomo, że wiele znalezisk Pretergate, przeważnie kosztowności, sprzedawanych jest na czarnym rynku. Zysk z tego jakoś nie trafia na muzea czy stypendia dla studentów archeologii. Napycha kiesę i tak już bogatym biznesmenom. Z osobami, na których prowadzi pan doświadczenia, też nikt się nie dzieli pieniędzmi. Wie pan, co myślę? Utrzymywanie wszystkiego w tajemnicy jest wam zdecydowanie na rękę. Gdyby nawet

ktokolwiek zaakceptował pańskie metody, stracilibyście ogromne pieniądze na podatki i pozwolenia czy skutek działań konkurencji świadomej nowych możliwości. Niech pan wreszcie będzie z nami szczery. Nigdy nie pozwoli pan na upublicznienie tych badań!

Wasyłyszyn rozłożył ręce.

– Proszę pomyśleć rozsądnie. Ma pani moralne wątpliwości co do sposobu zdobywania i wykorzystywania wiedzy archeologicznej. Ale czy te kilka zdobytych nielegalnie dolarów lub fakt, że coś dzieje się w tajemnicy, ma jakieś znaczenie, kiedy w tym instytucie rodzi się historia wielkiego odkrycia? Odkrycia o nieprawdopodobnym wręcz wpływie na wiele dziedzin naszej egzystencji w przyszłości? Ile dowiemy się o naszej historii i o nas samych! Ile zagadek uda się nam rozwikłać, ile problemów rozwiązać! Z tego nie zdaje sobie pani sprawy i nie chce w ten sposób o tym pomyśleć. – Profesor spojrział na zaniepokojonego Czechowicza, a następnie ponownie na Ultrę. – Nie ma pani racji – ciągnął. – Jestem naukowcem i całe życie marzyłem, aby ogłosić wyniki swoich badań. Być może już niedługo będzie ku temu okazja.

– Niemożliwe... – jęknął Robert.

– Możliwe, doktorze. Nasze sukcesy mogą służyć nie tylko wiedzy medycznej i archeologii.

Ultra popatrzyła z podejrzliwym zaciekawieniem na Czechowicza.

– Osiągnięciom instytutu od pewnego czasu przyglądają się ludzie znacznie bardziej wpływowi niż szefowie Pretergate, ale o tym nie mogę rozmawiać – rzekł spokojnie Wasyłyszyn.

Agentka znowu poczuła zimny pot na szyi.

– Czy ma to związek z tym, do czego potrzebny jest wam doktor Czechowicz? – spytała najspokojniej jak potrafiła.

– Zapewniam panią, że nie. Obiecałem szczerść i będę wobec państwa szczery. Zarzucała nam pani nielegalne działanie, utrzymywanie w tajemnicy przed pacjentami eksperymentów. Wasza obecność tutaj jest przykładem pierwszych zmian. Dokładnie opowiem, jak wyobrażamy sobie współpracę z doktorem, i chętnie podzielimy się zyskami.

Ultra uznała to za próbę przekupstwa, ale nie zareagowała, licząc, że Robert również tego nie zrobi.

– Niemal każdy przypadek łączy się w naszych badaniach z bardzo interesującą opowieścią historyczną. Między nami mówiąc, przez te wszystkie lata stałem się już historykiem amatorem. – Profesor uśmiechnął się. – Ale do rzeczy. Jak mówiłem, do tej pory rzadko udawało się nam trafić na postać odnotowaną w historii, ale już kilkanaście razy nawiązaliśmy kontakt z predominantami znającymi, i to dość blisko, wybitne postacie historyczne. Pan przechowuje w sobie informacje jednego z nich.

Czechowicz przełknął głośno ślinę. Wasyłyszyn wyczuł jego przyspieszony oddech.

– Takie postacie – ciągnął – mogą być nawet bardziej przydatne niż te znane nam z

historii. Dlatego jest pan tak cenny. Przy okazji jest pan lekarzem, a to jeszcze zwiększa pańską wartość.

Drzwi sali otworzyły się i w progu stanął nie znany Ultrze ani Robertowi młody człowiek w białym fartuchu, ale profesor, nie odwracając się, uniósł znacząco palec i chłopak błyskawicznie zniknął, zamykając za sobą cicho drzwi.

– Historia pańskiego predomianta sięga szesnastowiecznej Turcji, w której rządził sułtan Kanuni, znany historii jako Sulejman Wspaniały. To jeden z najwybitniejszych władców osmańskich, za jego panowania imperium osmańskie osiągnęło chyba największe rozmiary.

– Znałem Sulejmana Wspaniałego?! – wyrwało się Czechowiczowi.

– Nie. Znał pan... to znaczy, pański predomiant znał niejaką Roksolanę, wziętą w jasyr Ukrainkę, późniejszą ukochaną żonę Kanuniego. Roksolana była piękną kobietą, która niespodziewanie zawładnęła całkowicie uczuciami sułtana, odsuwając w cień wszystkie rywalki. Delikatna kochanka stała się z czasem bezwzględny politykiem torującym synowi Selimowi drogę do tronu po Sulejmanie. Proszę sobie wyobrazić, że ten wielki władca, którego rządy były na ogół mądre i sprawiedliwe, kazał pod wpływem Roksolany zamordować swojego syna Mustafę, aby Selim mógł bez przeszkód objąć tron. Nie była to jedyna ofiara ponętnej Ukrainki. Stojący na jej drodze wielki pasza, jak i kilku innych, również zginęli, starając się zapobiec dojściu do władzy Selima. Mimo ogromnych wpływów Roksolana chciała mieć pewność. Jak się chyba domyślacie, przez lata spędzone na dworze zdążyła zgromadzić ogromny majątek i ukryć go, aby mógł zostać wykorzystany do walki o tron po śmierci sułtana.

– Kim wobec tego był mój predomiant? – spytał niepewnie Czechowicz.

– Za chwilę – uspokoił go profesor. – Najpierw o tak zwanej międzynarodowej działalności Roksolany. Żona sułtana ochoczo korespondowała z polskim królem Zygmuntem II Augustem, ale nie to jest najważniejsze. Najważniejsza jest tu osoba polskiego posłańca, który dostarczał te listy, a był nim właśnie pański predomiant, czy, jak wolą niektórzy, pan w jednym ze swoich poprzednich wcieleń. Zdążyliśmy się już dowiedzieć, że z czasem zdobył on niezwykle zaufanie Ukrainki i być może jako jedyny wiedział, gdzie ukryty jest jej majątek. Dał też kawalerskie słowo honoru, że gdyby Roksolana zmarła przed swoim mężem, dopilnuje, aby Selim miał środki do ewentualnej walki o tron.

– Sny... – westchnął cicho Robert.

– Wiem – przytaknął niespodziewanie Wasylyszyn. – Pacjenci, którzy przeszli próby, miewają dziwne, niezwykle wręcz realne sny. To efekt uboczny, ale niegroźny dla zdrowia. Podejrzewamy, że pobudzona świadomość predomianta przebija się do podświadomości pacjenta, eksponując się w marzeniach sennych.

– Roksolana... – powiedział wolno Czechowicz, patrząc nieruchomo na przeciwległą ścianę, jakby w ogóle nie zwrócił uwagi na to, co mówił przed chwilą profesor.

– Zdumiewające było – ciągnął Wasylyszyn – że zaufała polskiemu szlachcicowi.

Poniekąd mogło to być jeszcze zrozumiałe. Jej ojczyzna była wówczas podzielona między Polskę a Litwę i właściwie stanowiliśmy z większością Ukrainy jedno państwo. Najbardziej jednak zadziwiający był fakt, co wiemy z prób z panem, doktorze, że o swoim skarbie nie powiedziała głównemu zainteresowanemu, czyli Selimowi. Zobowiązała posłańca do przekazania mu tej wiadomości dopiero po śmierci Sulejmana, gdyby oczywiście sama umarła przed nim.

– To trochę dziwne – zauważyła trzeźwo Ultra.

– Możliwe, ale jest kilka przesłanek świadczących o tym, że postępowała słusznie. Selim był utracjuszem i człowiekiem miłkiego charakteru. Roksolana dobrze o tym wiedziała. Być może liczyła, że z czasem dorośnie i dojrzeje. Na razie jednak chciała, aby pieniądze były bezpieczne. – Profesor przerwał na chwilę. Spojrzał na nieruchomą wciąż twarz Roberta i pokiwał nieznacznie głową. – Niestety – podsumował – jej nadzieje spełzły na niczym. Zmarła pięć lat przed mężem, a pamięć posłańca sięga tylko roku po jej śmierci. Wnioskujemy z tego, że musiał umrzeć lub zginąć niedługo po niej. Na ile się zorientowaliśmy, był niezwykle honorowym szlachcicem i nikomu nie wyjawiał tajemnicy. Niestety, nie chce jej wyjawić także nam. Skarb Roksolany wciąż czeka więc na swojego odkrywcę. Selim, mimo że w końcu odziedziczył tron, najprawdopodobniej nigdy o majątku matki się nie dowiedział. Gdy został władcą, wbrew temu, co sądziła Roksolana, nie był mu on zresztą potrzebny. Był fatalnym sułtanem, za jego panowania Turcja poniosła szereg klęsk i straciła większość wpływów w Europie. – Widząc, że zarówno Ultra, jak i Robert chcą coś powiedzieć, Wasyłyszyn uniósł rękę i dobrotliwie się uśmiechnął. – Wiem, co myślicie – powiedział szybko – ale proponuję, byśmy dali sobie trochę czasu. To niesamowita okazja, w dodatku bardzo młody predominant, co zwiększa szansę znalezienia skarbu. Wiecie wszystko, co was dotyczy. Nie rozmawiajmy już teraz o tym. Proszę was tylko, żebyście dokładnie wszystko przemyśleli.

– Nie wiemy wszystkiego – zaprzeczył zdecydowanie Czechowicz, czym wyraźnie zaskoczył Ultrę. Odczekał chwilę, mierząc wzrokiem Wasyłyszyna, i spokojnie, ale z wyczuwalną determinacją spytał: – Jak do was trafiłem, profesorze? Skąd mnie wzięliście? Nigdy nie byłem z własnej woli w tym instytucie.

Wasyłyszyn nie odpowiedział od razu. Po raz pierwszy w trakcie tej rozmowy wstał i wolno przeszedł się po sali z rękami założonymi z tyłu.

– Mam 74 lata – rzekł, ponownie odwracając się w ich stronę. – Nie zostało mi wiele czasu. Aby badania mogły dać efekt, potrzeba było jak najwięcej prób. Pacjenci zgłaszający się z dolegliwościami nerwicowymi czy depresyjnymi nie wystarczali. Musieliśmy mieć ich więcej, w dodatku zachowując dyskrecję. Tak więc jedyną możliwością były...

– Zabiegi operacyjne – dodał lodowato Robert, czując, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

– Jak to?! – Ultra ponownie utkwiała wzrok w Czechowiczu.

– Musieli mieć zaufanych ludzi w niektórych szpitalach – wyjaśnił z rezygnacją. – Najprawdopodobniej zawożono nieświadomych niczego pacjentów na salę operacyjną, ale zamiast propofolu czy fluotanu podawano im dożylnie haerotex i robiono doświadczenia, a dopiero potem przeprowadzano właściwą operację. Nikt się nie zorientował, bo pacjent po prostu tracił przytomność, a budził się już po wszystkim. Mam rację, profesorze?

Wasyłyszyn przytaknął, podchodząc bliżej.

– Być może teraz jest to dla was szokujące, ale bez tego nie byłoby mowy o postępie.

– A średni personel? Instrumentariuszki, asystenci... wszyscy?!

– Nie jest nas aż tak wielu, ale mamy kilka grup pracujących w zespołach operacyjnych, choć na razie tylko w jednym szpitalu. – Profesor zatrzymał się na chwilę, aby spojrzeć Czechowiczowi w oczy. – Pańskim.

– Tak byli dobierani do pracy w instytucie – wtrąciła Ultra. – Terapia wielotorowa – dodała z gorzką ironią.

– Jak mogliście?! – jęknął Czechowicz.

– Nikomu nigdy nie stało się nic złego! – Głos Wasyłyszyna stał się bardziej stanowczy.

Robert opadł na poduszkę.

– Moja operacja usunięcia „żabki” przyżuchwowej rok temu? – spytał cicho.

– Tak – odparł spokojnie profesor. – Ma pan to już za sobą, doktorze. Teraz możecie dokonać razem wielkich rzeczy, w pełni świadomi swojego w nich udziału. Od was również zależy, czy kiedyś to, czego tu będziecie świadkami, ujrzy światło dzienne! Czekają was tu nie tylko sława i ogromne pieniądze, ale jeszcze to coś, o czym nigdy się wam nie śniło! Pomyślcie, odkrywanie niedostępnych tajemnic, a w przyszłości być może pełna władza nad historią! – Wolno podszedł do drzwi. – Zastanówcie się nad tym. Wrócę tu za kilka godzin i oczekuję, że otrzymam odpowiedź. – Nacisnął klamkę, wolno wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

W pokoju kontrolnym, kilkanaście metrów dalej, doktor Andrzej Korwin i szef ochrony Gorec obserwowali uważnie monitory podglądu sali, z której przed chwilą wyszedł Lech Wasyłyszyn.

– Myślisz, że to kupili? – spytał psychiatra.

– Nie wiem – odparł Gorec. – Ale co będzie, jak się dowiedzą, że w czasie prób były ofiary śmiertelne?

– Nie muszą tego wiedzieć. Przynajmniej na razie.

– Po rozwiązaniu sprawy z Czechowiczem musimy ich zlikwidować – stwierdził chłodno ochroniarz.

– Profesor się nie zgodzi.

– Trzeba będzie coś wymyślić.

Podporucznik Kamil Koziejuk biegł korytarzem, trzymając białą, złożoną wpół kartkę. Dotarł do schodów, wspiął się szybko dwa piętra i po kilkunastu sekundach stanął przed gabinetem pułkownika.

– Wejść! – usłyszał, nim jeszcze przebrzmiało pukanie. Nacisnął klamkę i wkroczył do środka. Krentz, jak codziennie rano o tej porze, rozmawiał z majorem Bauerem i nie lubił, kiedy mu przeszkadzano, ale sprawa była wyjątkowa. Obaj dowódcy doskonale wiedzieli, że jeśli zdyszany Koziejuk wpada do tego gabinetu, to z pewnością stało się coś, co wymaga natychmiastowej reakcji.

– Mów! – rzucił pułkownik.

– Panie pułkowniku, panie majorze... Ultra jest w Warszawie!

– Co?! – Bauer natychmiast podszedł do telefonu.

– Poczekaj! – Krentz skinął w jego stronę. – Dawaj! – poprosił o meldunek widoczny w ręku Koziejuka.

– Przyleciała wczoraj wieczorem prywatnym samolotem.

– Miała paszport na nazwisko Anna Jędrzejczak. Jesteście pewni?

– Chłopcy na dole analizują zdjęcia z lotniska. To na pewno ona.

– Dobrze. Chcę mieć jak najdokładniejsze portreciki tych, którzy z nią przylecieli. A Czechowicz?

– Też przyleciał, ale innym samolotem, kilka godzin później.

– Dziękuję, możesz odejść.

Koziejuk zniknął za drzwiami.

– Sprytne – mruknął Bauer. – Nawet nie pomyśleliśmy, że będą ich sprowadzać do Polski, i to tak szybko.

– To błąd, Krzysztof. Powinniśmy to przewidzieć. – Krentz był wyraźnie rozdrażniony. – Ale skoro grają nam na nosie, paradując po lotnisku, to znaczy, że albo są bardzo pewni siebie, albo bardzo ich potrzebują.

– A ty nie byłbyś pewny siebie, mając poparcie potężnych ludzi z ministerstwa?

– Mam poparcie potężnych ludzi i jakoś nie jestem aż tak pewny siebie. Dowiedz się, co z Kniewiczem, a ja pogawędzę sobie z Malinowskim. – Wyjął z kieszeni telefon i wystukał numer. – Wiesz, że przylecieli? – spytał bez wstępów, gdy tylko usłyszał jego głos.

– Wiem. Są w instytucie.

– Jesteś pewien?

– Tak. Instytut jest pod stałą obserwacją, tak jak się umawialiśmy.

– Dobrze. Wkraczamy?

– Przygotuj ludzi, ale poczekaj. Muszę zdobyć jeszcze kilka informacji ze środka.

– Jak chcesz. To twoja akcja, ale nie narażaj Ultry i Czechowicza.

– Teraz to już nasza akcja, a robię wszystko właśnie po to, aby nikogo nie narażać.

– Nie będziesz miał kłopotów?

– Zaryzykuję. Obecnie nie ma już nic do stracenia. Zbieraj ludzi i jedziemy tam. Oczywiście po cichu.

– Jasne. – Krentz się rozłączył.

– I co? – spytał Bauer.

– Wchodzimy. Dodzwoniłeś się?

– Tak. Kniewicz jest bezpieczny z chłopakami w Atenach. Wsiadają do najbliższego samolotu.

– To dobrze. – Pułkownik spoczął na fotelu. – Ale bagno – mruknął, kręcąc głową.

– Prezydent nie będzie zbyt szczęśliwy.

– Daj mu wrócić spokojnie ze Stanów, jakoś to przełknie.

– A co z premierem?

– To już sprawa Malinowskiego. – Krentz uśmiechnął się pod nosem. – Ale chciałbym być przy tej rozmowie.

Mikry głośno wypuścił powietrze z płuc. Raz jeszcze spojrzął na Kostyrę i Kostka, a następnie ponownie zaczął się bawić sygnetem. Po tym, co dziś od nich usłyszał, nie spieszył się z odpowiedzią. Na długim stole, przy którym siedział w towarzystwie swoich ludzi naprzeciwko chłopców Kostyry i Kostka, stało kilka butelek Johnny’ego Walkera, talerze ze stosami kanapek, kilkanaście kokilek z sałatkami oraz całe mnóstwo przekąsek, najczęściej w formie koreczków serowych.

– Jak u mamy w domu – odezwał się wreszcie, podnosząc wzrok na spacerującego po przeciwnej stronie Kostyrę.

Kostek uśmiechnął się pod nosem. Stał niedaleko drzwi, trzymając ręce w kieszeniach spodni. Jego krostowata, chuda twarz wyrażała coś na kształt nonszalanckiej ironii. Szrama na prawym policzku dodawała mu swoistej powagi, ale elegancki czarny garnitur źle na nim leżał, i nie była to raczej wina krawca. Nie lubił szopek w rodzaju spotkań rodzin z *Ojca Chrzestnego* oraz pełnego hipokryzji blichtru i głupawych konwenansów obowiązujących w takich momentach.

Mikry sięgnął po szklanę whisky i pociągnął duży łyk.

– Szanuję cię, Kostyry – zaczął ospale. – Przestrzegasz zasad, wiesz, co to dane raz słowo. – Podniósł ciężko swoje studwudziestokilogramowe ciało i również zaczął się przechadzać. – Twój brat zagwarantował nam, że będziemy rozmawiać poważnie i to spotkanie coś wniesie. Ale martwię się, bo to, co tu usłyszałem, dziwi mnie do tego stopnia, że zaczynam wątpić w twoją szczerłość.

Kostyry spokojnie przyjrzał się puciołowatej, spoczonej twarzy Mikrego i rozłożył ręce.

– Co cię niepokoi, przyjacielu? – spytał pogodnie.

– Pokój między nami to rzecz bardzo ważna – odpowiedział niemal natychmiast gangster.

– Z tym się zgadzam. Zrobimy wszystko, żeby nasze interesy układały się jak najlepiej.

– Mądre słowa.

– Ale – Mikry uniósł filozoficznie palec – tak długa przerwa w jakichkolwiek interesach... To źle brzmi. Dlaczego chcesz, żebym zamknął się w domu i zerwał na wiele miesięcy kontakty z Kortiakowem?

– Chodzi mi tylko o te interesy, które prowadzimy razem – wyjaśnił pospiesznie Kostyra.

– Z Kortiakowa korzystamy i my, i wy i do tej pory nie spieraliśmy się w tych sprawach. Co do reszty, tylko radzę się wstrzymać.

– Będę szczery, przyjacielu. – Mikry wyszczerzył zęby, wierząc, że ten uśmiech jest aktem dobrej woli. – Nie wiem, co kombinujesz, ale nie mam gwarancji, co ty będziesz robił przez ten czas. Jak dużą osiągniesz przewagę, jakie interesy zechcesz przejąć...

– Tu nie o to chodzi, Mikry! – Kostyra był wyraźnie zaniepokojony. – Masz moje słowo! Nie będę nic robił. Nie nawiążę żadnych kontaktów. Zawieszę wszelkie działania, tak jakbym na pewien czas zniknął.

– I wpuścisz tu w ten sposób Mysłowice?

Kostyra pokręcił z dezaprobatą głową.

– Przy tych, którzy naprawdę nam zagrażają, Mysłowice to zwykła banda alfonsów!

– Jakoś nie wyczuwam zagrożenia, a zwykle mam nosa do takich spraw i pewnie dlatego dość długo żyję. Przy okazji, zapraszam cię serdecznie na moje pięćdziesiąte urodziny we wtorek.

– Dziękuję – odparł ponuro Kostyra.

– Jesteś młody, przyjacielu, i choć długo współpracujemy, trzeba przeżyć swoje, aby wszystko zrozumieć.

Kostek skrzywił się, unosząc oczy. Nie podobała mu się ta lekcja życia udzielana towarzyszowi.

– Mówię szczerze. – Kostyra wypowiedział te słowa szczególnie poważnie. – Ludzie, którzy mnie odwiedzili, są bardzo niebezpieczni. W przeszłości wielokrotnie to udowadniali. To nie są chłopcy z sąsiedztwa.

– Gliniarze chętnie dzielą się z nami zyskami z wielu interesów.

– To nie są gliniarze...

– Tym bardziej politycy! – zaznaczył z naciskiem Mikry.

Kostyra rozłożył bezradnie ręce.

Emil Szymański przysłuchiwał się temu z dużym niepokojem. Siedział na narożniku stołu i choć nie brał udziału w rozmowie, żywo reagował na każde zdanie, poprawiając się co chwila na krześle bądź spoglądając nerwowo w stronę drzwi.

– Posłuchaj, Mikry. – Kostyra przestał się uśmiechać. – Jeśli nie skorzystasz z mojej rady, sprowadzisz na nas wszystkich nieszczęście. A wtedy interesy skończą się nie na kilka miesięcy, ale na zawsze. Miasto przejmie kto inny i to, co budowaliśmy tyle lat, legnie w gruzach.

– Tak ci powiedzieli ci szalenie groźni ludzie z Warszawy? – spytał ironicznie Mikry.

– Oni mi nic, kurwa, nie mówili! – Kostyra zacisnął zęby. – Ale wiem, co jest grane. Musimy się przyczać, uwierz mi, Mikry, bo obudzimy się w gównie po pachy.

Desperacja Kostyry zastanowiła Mikrego, ale nie wydawał się przekonany. Usiadł ciężko na swoim krześle i sięgnął po kanapkę.

Emil Szymański spoznał na zegarek. Wstał cicho od stołu.

– Gdzie idziesz? – spytał Kostyra.

– Do kibla.

– Nie musisz wychodzić, masz tutaj. Chłopcy go sprawdzili. – Wskazał boczne drzwi.

– Dzięki. – Emil uśmiechnął się uprzejmie i po kilku sekundach zniknął w ubikacji.

Mikry ponownie zaczął się bawić sygnetem, wykorzystując chwilę ciszy na skonstruowanie rozważnej wypowiedzi. Kolejny raz rozejrzył się po salonie. Zrobił to oczywiście odruchowo, kiedy tylko przyjechał, i trzeba przyznać, że nawet na nim miejsce to wywarło wrażenie. Salon musiał mieć siedemdziesiąt metrów. Z wysokiego sufitu zwisał ogromny kryształowy żyrandol. W rogach umieszczono specjalne stoliczki i szafki przystosowane do obsługi jedzących gości, pośrodku zaś znajdował się ogromny stół, przy którym teraz siedzieli. Dębowa podłoga lśniła, a wielkie obrazy na ścianach robiły wrażenie cennych, choć Mikry oczywiście nie miał pojęcia, kto je namalował. Na korytarz pałacyku, w którym odbywało się spotkanie, prowadziły wielkie podwójne drzwi. Mikry właśnie się w nie wpatrywał.

Kiedy potężny wybuch wyrwał oba skrzydła z zawiasów, zaskoczenie przykleiło go wręcz do krzesła. Stojącego przy drzwiach Kostka podmuch rzucił na stół, a większość mężczyzn siedzących po tej stronie znalazła się na podłodze. Kostyra, trafiony w plecy kawałkiem wyrwanej cegły, również padł na intarsjowany blat, po czym ściągając część obrusa, osunął się na podłogę. Pył, który w jednej chwili wypełnił salon, na pewien czas kompletnie wszystkich zdezorientował. Część oszołomionych wybuchem wciąż trzymała się za głowy, ale kilku ludzi, zarówno Kostyry, jak i Mikrego, zdążyło się podnieść i wyciągnąć broń. Jękom rannych towarzyszyło kasłanie zaskoczonych gangsterów. Nim Mikry zdążył zerwać się z krzesła, do sali wbiegło pięciu ubranych całkowicie na czarno mężczyzn w kominiarkach. Dokładnie wymierzili karabinki i krótkimi seriami likwidowali zdezorientowanych gości. Żaden z obecnych nie miał najmniejszych szans. Mikry, trafiony prosto w pierś, a następnie w głowę, opadł ciężko na stół. Ochroniarze ścinani precyzyjnymi seriami wypuszczali broń, której nikt nie zdążył użyć. Charakterystyczny zapach rozlanej whisky zmieszał się z wonią prochu i tynku. Rzeź trwała najwyżej kilkanaście sekund. Piątka ubranych na czarno mężczyzn przestała strzelać, jednak trzymała w gotowości uniesione karabinki. Drzwi ubikacji otworzyły się i wyszedł z niej przerażony Emil Szymański. Łzy w jego oczach zirytowały najwyższego z napastników, co dało się zauważyć mimo zasłaniającej częściowo twarz kominiarki. Szymański zatrzymał się na chwilę, by przyjrzeć się

pobojowisku, a następnie podszedł szybko do leżącego Kostyra.

– Grzesiu... – jęknął, ujrawszy zrezygnowaną twarz umierającego brata. Klęknął obok niego i dotknął jego czoła, jakby nie mógł uwierzyć w to, co się stało.

Kostyra z trudem otworzył usta. Krew spływała mu po brodzie, ale wzrok utkwiał w oczach Szymańskiego. Nagle nadludzkim wysiłkiem złapał go za koszulę i nieznacznie unióśł się z podłogi.

– Emil... – wyszeptał, krztusząc się krwią.

– Tak, Grzesiu...?

– Skąd oni... wiedzieli, że my... tu jesteśmy?

Kostyra upadł z powrotem na podłogę. Jego martwy wzrok utkwiony był w twarzy Szymańskiego. Klatka piersiowa przestała się unosić i Emil zorientował się, że nie oddycha. Oparł dłoń na twarzy brata, aby zamknąć mu oczy.

– Bóg tak chciał, Grzesiu... Bóg tak chciał – wyszeptał niemal bezgłośnie.

Najwyższy z mężczyzn opuścił wreszcie broń, podszedł do Szymańskiego i poklepał go po ramieniu.

– No i całe miasto twoje – rzucił z lekceważącym uśmiechem, po czym dał znak pozostałym do odwrotu.

Pokój kontrolny dzieliło od schodów najwyżej dziesięć metrów, Sil miała więc drzwi jak na dłoni i bez problemu mogła je obserwować. Rozejrzała się raz jeszcze po pustym korytarzu i ruszyła w ich stronę, ale już po drugim kroku zamarła, widząc, że klamka drgnęła. Błyskawicznie wbiegła z powrotem na trzeci stopień schodów, chowając się za róg. Z pokoju wynurzył się Andrzej Korwin i poszedł w przeciwnym kierunku. Sil wychyliła się ostrożnie, ale dała mu odejść. Gdy zniknął za zakrętem, niemal bezszelestnie podbiegła do drzwi. Ze środka nie docierały żadne dźwięki, więc poprawiła trzymany w prawej dłoni pistolet i jak najciszej, ale zarazem dość szybko otworzyła drzwi. Potężny mężczyzna odwrócił się dopiero po chwili, spodziewając się zupełnie kogo innego. Zaskoczenie na jego twarzy ułatwiło Sil zadanie. Wymierzyła w niego broń, szybko lustrując pomieszczenie w poszukiwaniu ewentualnych niespodzianek.

– Gorec, jak miło... – mruknęła, zerkając na ekrany.

– Co ty tu robisz?! – jęknął przerażony.

– Wróciłam do pracy. Znajdzie się coś dla mnie?

– Jak się tu dostałaś?!

– Normalnie, jak każdy porządny bandyta. Znaie się na ochronie jak ja na tańcach mandżurskich. Łapy do góry i wychodzimy.

Gorec zrobił krok naprzód, ale zauważył, że dziewczyna zerknęła w stronę korytarza, i rzucił się na nią, wytrącając jej broń. Wypadli na zewnątrz. Sil uderzyła o przeciwległą ścianę i osunęła się na podłogę. Leżąc, najszybciej jak potrafiła, kopnęła ochroniarza w okolicę

kolana. Gorec również upadł, co pozwoliło agentce sięgnąć po drugi pistolet, umieszczony na prawej łydce. Trafiła próbującego wstać przeciwnika w głowę. Huk słychać było wszędzie. Tłumik zamontowany był tylko przy hecklerze, który Gorec wytrącił jej przed kilkoma sekundami.

Strzał nie wywołał chwilowo żadnej reakcji, ale Sil wiedziała, że teraz ma znacznie mniej czasu. Schowała szybko pistolet do kabury na łydce, podniosła hecklera i wpadła do pokoju kontrolnego. Rozejrzała się po ekranach, naciskając kolejno kilka guzików.

– W porządku – mruknęła do siebie i wybiegła na korytarz.

Szybko dotarła do odpowiednich drzwi i pchnęła je z impetem.

Czechowicz zerwał się z łóżka.

– Jola?!

– Wstawajcie, zrywamy się stąd! – krzyknęła, podbiegając do nich.

– Nie mogę jeszcze ruszać nogami – jęknęła z wysiłkiem Ultra, próbując unieść się na rękach.

– Co jej jest?! – wybuchnęła Sil.

– Ma chyba blokadę zewnątrzoponową, trzeba będzie ją nieść. Pomóż mi!

Robert zarzucił sobie rękę Ultry na ramię. Z drugiej strony podobnie zrobiła Sil. Podnieśli ją.

– Trzymaj się mocno – rzucił Czechowicz i na znak Oleny ruszyli do przodu. Nogi Ultry bezwładnie ciągnęły się po podłodze.

Wydostali się na korytarz.

– Gdzie jesteśmy? – spytał Czechowicz.

– Dwa piętra pod ziemią. Tu rzadko kto bywa, kiedy nie ma prób. Jeśli szybko dotrzemy do windy, będziemy blisko wyjścia. Najbliższy pokój ochroniarzy jest dość daleko.

– Takie to proste? – mruknęła Ultra.

– No, niezupełnie. Trzeba jeszcze mieć klucz od windy i kraty do bocznego korytarza.

– Masz te klucze?

– Mam.

– Skąd?

– Od recepcjonistki.

Ultra pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Dobrze znasz ten instytut – rzekł ponuro Robert. – Oszukałaś nas wtedy. O wszystkim wiedziałaś!

Z niemałym wysiłkiem dotarli do windy. Sil nacisnęła guzik.

– Jesteś boski w łóżku, miśku, i podobno jesteś świetnym lekarzem – powiedziała, zaglądając Czechowiczowi w oczy. – I niech tak zostanie. Nie próbuj iść w ślady moje czy jej. Źle ci to wpłynie na trawienie.

Winda stanęła na ich piętrze. Sil wyjęła klucze i otworzyła drzwi. Weszli w milczeniu do

środku i bez przeszkód wjechali na parter. Po wyjściu z dźwigu skręcili w prawo, by po kilkunastu metrach natrafić na żelazną kratę. Agentka ponownie wyjęła klucze i otworzyła przejście. Dwadzieścia kroków dalej był już główny korytarz. Nagle tuż przed nimi wyrosła przerażona starsza kobieta w szlafroku.

– Co pani tu robi?! – krzyknęła do niej Olena. – Tu nie wolno przebywać pacjentom! Proszę wracać do swojej sali i powiedzieć wszystkim, żeby na razie nie wychodzili!

Widząc broń w ręku Sil, kobieta odwróciła się i zaczęła biec w stronę głównego korytarza. Po chwili zniknęła za zakrętem. Niestety sekundę później wyłonił się zza niego mężczyzna z pistoletem i błyskawicznie w nich wycelował. Sil bez problemu rozpoznała Rosłona, najbardziej zaufanego człowieka Gorca. Mężczyzna nacisnął spust, ale nie mając czasu na przygotowanie, zerwał strzał. Kula minęła o milimetry szyję Sil i trafiła w ramię Ultry. Ta, odrzucona do tyłu, upadła wraz z Robertem na posadzkę. Rosłon wymierzył dokładniej w Olenę, ale agentka była szybsza. Trafiła go w środek klatki piersiowej. Ochroniarz zdążył jeszcze strzelić, ale pocisk ugrzązł gdzieś w suficie. Mężczyzna osunął się po ścianie, wypuszczając broń z ręki. Sil podbiegła do niego, by strzelić raz jeszcze – w głowę.

Robert odwrócił się przerażony.

– O Boże! – jęknął.

– Pomóż mi wstać – powiedziała z trudem Ultra.

Nachylił się nad nią, przerzucił jej zdrową rękę przez swoje ramię, objął wpół i unióś z wysiłkiem. Nogi agentki nadal były bezwładne. Sil kiwnęła na nich, obserwując główny korytarz, z którego prawie wszyscy pacjenci i lekarze zdążyli już uciec. Gdy Czechowicz z Ultra dotarli do miejsca, gdzie stała, zobaczyli leżącą na podłodze nieprzytomną recepcjonistkę oraz klęczącego przy niej Korwina. Z czoła kobiety sączyła się krew po uderzeniu, jak sądził chirurg, chwytem pistoletu.

– Widzę, że metod raczej nie zmieniałaś. – Ultra mówiła z wysiłkiem, ciężko oddychając.

– Takie czasy. Idźcie do wyjścia – rzuciła szybko Sil. – Reszta ochroniarzy będzie tu lada chwila.

– A ty? – spytał Czechowicz.

– Muszę wrócić po Ewę Morawiecką.

– Boże...

– Nie martw się, wiem, że żyje. Spieprzajcie stąd.

Tymczasem Korwin wstał z kolan i zastąpił im drogę.

– Widzę, że nawet marcaina nie jest w stanie przywiązać pani do łóżka – mruknął ponuro.

– Jestem dość żywotna – wyjaśniła Ultra ochryple.

– Zejdź nam z drogi – powiedział spokojnie Robert.

Sil wymierzyła w niego broń.

– Nie róbcie tego. – Korwin zwiesił głowę, ale po chwili wbił wzrok w Czechowicza. –

Jeśli teraz stąd wyjdiesz, wszystko zaprzepaszczysz. Tyle lat pracy, wysiłków... pójdzie na marne.

– A co proponujesz w zamian? – spytał ponuro Czechowicz. – Dręczenie nieświadomych niczego ludzi? Życie w takiej hipokryzji jak ty? Zabijanie świadków i policjantów?!

– To był wypadek. Kostecki ściągnął cię wtedy przy jej pomocy – wskazał na Sil – na to przyjęcie, bo poprzednie próby nie dawały rezultatu. Wiesz, jak ryzykowne było za każdym razem przewożenie cię do instytutu i z powrotem? Kostecki był zdania, że eksperymenty można przeprowadzać u ciebie w domu. Chciał spróbować. Zaproponował ci zabawę w zwykłą, niegroźną hipnozę. Podobało ci się, prawda? Już wtedy chciał cię przeciągnąć na naszą stronę. W czasie seansu podał ci wziewny środek wywołujący krótkotrwałe objawy migrenopodobne. Potem dali ci haerotex w opakowaniu panadolu, myśląc, że zaraz po powrocie do domu go zażyjesz. Jak wiesz, podany doustnie zaczyna działać po półgodzinie. To było lekkomyślne, ale byli pewni, że źle się czując, natychmiast pojedziesz do domu i nawet jeśli nie weźmiesz leku, ona – ponownie wskazał Olenę – coś wymyśli, jak zwykle zresztą. Dodałaby to do coli czy nawet do herbaty.

Korwin mówił szybko, rozglądając się nerwowo dokoła.

– Po cholere o tym wszystkim gadasz?! – warknął Czechowicz.

– Żeby ci wyjaśnić, że to był wypadek. Kto mógł wiedzieć, że z tak cholernym bólem głowy będziesz jeszcze do kogoś jechał? Oddałeś haerotex Morawieckiemu i nieszczęścia się posypały... Zrozum, jesteś lekarzem. Kończyliśmy tę samą uczelnię.

– Być może – przyznał Robert – tylko że ty chyba opuściłeś te kilka wykładów, na których mówiono, że to my jesteśmy dla ludzi, a nie ludzie dla nas. Popieprzyły ci się priorytety. Kariera, którą robisz, jest gównem warta.

– Nie! – krzyknął niemal histerycznie Korwin. – Nie masz racji. Jeszcze nie wszystko stracone. Pomyśl, jakie to pieniądze...

– Popatrz dokoła! – przerwał mu Czechowicz. – To już koniec. Koniec, rozumiesz?! Zejdź nam z drogi.

Drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem i do środka wpadło dwóch mężczyzn w antyterrorystycznych uniformach. Krótkie karabinki wycelowali natychmiast w głąb korytarza.

– Sil! – krzyknął jeden z nich.

– W porządku – odparła agentka. – Zajmijcie się nim. – Wskazała na Korwina. – Ja idę po resztę.

Wyższy z mężczyzn podszedł szybko do psychiatry i rzucił go brutalnie na ścianę.

– Ręce w górę! – krzyknął, przeszukując go.

Sil pobiegła w głąb korytarza. Strzał z tamtej strony zaskoczył wszystkich. Drugi mężczyzna z karabinkiem odruchowo wycelował w postać, która mignęła dwadzieścia metrów od nich, przekraczając korytarz, by zniknąć za rogiem. Sil chwiała się jakiś czas, a

następnie padła na podłogę. Kilka metrów za nią pojawiło się czterech ochroniarzy, ale ujrawszy antyterrorystów, rzucili się na ziemię i starali odczołgać w bezpieczne miejsce.

– Jola!!! – wrzasnął Robert.

– Wszyscy padnij! – rozkazał ten, który trzymał Korwina.

Jego kolega posłał serię w kierunku napastników, po czym kiwnął, że idzie do nich. W drzwiach pojawiło się kolejnych czterech mężczyzn w czarnych uniformach. Ultra poznała wśród nich Zelwera, kolegę z agencji.

– Oślaniaj go! – rozkazał natychmiast mężczyzna przytrzymujący Korwina, wypychając lekarza na zewnątrz.

Ultra z Robertem przyłgnęli do posadzki.

– Kim oni są? – spytał szeptem Czechowicz.

– To nasi ludzie, nie ruszaj się.

Trzej agenci zniknęli im z pola widzenia. Ci, którzy pozostali, zajęli bez słowa stanowiska. Wkrótce usłyszeli wymianę strzałów, później jeszcze jedną, a potem zapanowała cisza. Po kilku sekundach znowu rozległy się krzyki i odgłosy walki. Przez drzwi wpadali kolejni antyterrorysty. Widząc gesty stojącego przy wejściu dowódcy, zajmowali stanowiska lub biegli w głąb korytarza.

– Jeszcze się nie ruszaj – wyszeptała Ultra.

Minęły przynajmniej dwie minuty, zanim usłyszeli kroki. Zelwer wracał biegiem w ich stronę. Ultra spytała go wzrokiem, co mają robić.

– Na razie czysto, ale uważajcie – odparł zdyszany. – Powoli do drzwi.

– Co z Jolą? – spytał szybko Czechowicz.

– Z kim?

Ultra wskazała leżącą kilkanaście metrów dalej Sil. Zelwer pokręcił tylko wolno głową, po czym spojrzał raz jeszcze w głąb korytarza, sprawdzając, czy jest bezpiecznie.

– Jak to? – spytał osłupiały Robert.

– Nadziała się na jakiegoś gówniarza. Wyglądał jeszcze jak dzieciak, ale skurwysyn zaskoczył ją.

– Przykro mi – powiedziała cicho Ultra.

– Trzeba jej pomóc, ona...

– Ona nie żyje. – Agentka zadrżała Czechowiczowi prosto w oczy. – Naprawdę mi przykro. Musimy uciekać. Pomożesz mi?

Robert zastygł na chwilę na kolanach.

– Musimy się spieszyć – ponagliła go agentka.

Tym razem wziął ją na rękę i ruszył w kierunku drzwi.

– Szybko! – krzyknął w ich stronę mężczyzna zabezpieczający wejście, cały czas celując w głąb korytarza, dopóki oboje nie wydostali się na zewnątrz.

Krentz odłożył słuchawkę i podszedł wolno do swojego fotela.

– Koniec – powiedział głucho do Bauera, który właśnie pojawił się w drzwiach.

– Jak nasi ludzie?

– Bez strat, Ultra lekko ranna. U Malinowskiego trochę gorzej. Sil nie żyje, mają kilku rannych.

– A Malinowski?

– Rozmawiałem z nim kilka minut temu. Jechał właśnie do premiera.

– No, to teraz czeka go prawdziwa przeprawa.

– Niezupełnie. Przyznał mi się, że już wczoraj rzucił wszystkie dowody na jego biurko. Dzisiaj działał na jego polecenie.

Bauer zaśmiał się gorzko.

– Jak zwykle był z nami szczery.

– Tym razem nie dziwię się mu. Nie pamiętam, żeby przez ostatnie kilka lat stapał po aż tak cienkim lodzie. Włącz telewizor, zaraz powinny być wiadomości.

Bauer usiadł na kanapie, sięgnął po leżącego na niej pilota i nacisnął czerwony guzik. Przez dobre kilka minut oglądali notowania giełdowe, wreszcie jednak rozpoczęły się wiadomości. Słuchali ich w ciszy.

– „Odwołanie ministrów zdrowia, pracy i spraw społecznych oraz obrony narodowej – mówiła spikerka – jest kontynuacją działań, jak to określił premier, mających na celu zwiększenie efektywności funkcjonowania gabinetu, który jak wykazują ostatnie badania, ma coraz mniejsze poparcie społeczne. Komentatorzy przewidują, że należy się spodziewać dalszych zmian”.

Bauer wzruszył ramionami.

– Delikatnie to on tego nie zrobił...

– „Tak zwana «afery lekarzy» zdominowała pierwsze strony gazet – usłyszeli kolejną wiadomość. – Znany psychiatra, profesor Lech Wasylyszyn, odmówił jakichkolwiek wyjaśnień dotyczących jego powiązań ze sprawą...”

– Nie mógł ryzykować – odparł spokojnie Krentz, ignorując wiadomość o lekarzach. – Bez takiej zasłony dymnej pismaki mogłyby coś wywęszyć i mielibyśmy syfu po pachy.

– I tak robota dopiero się zacznie.

Pułkownik pokręcił głową.

– My wracamy do swoich spraw. Pomożemy im rozwiązać jeszcze jeden problem, a dalej Malinowski sam musi sobie radzić.

– To? – Bauer wskazał leżącą na biurku teczkę, z której wystawało kilka zdjęć mężczyzny w białym garniturze.

– Tak. To akurat, moim zdaniem, powinniśmy załatwić my.

– Idziesz coś zjeść? – spytał major.

Krentz chwilę się wahał.

– Właściwie to rzeczywiście zgłodniałem. Mam ochotę na porządnego kotleta z indyka.

Lech Wasylszyn podszedł do łóżka, na którym leżała jego żona, i usiadł tuż przy niej.

– Coś się stało, Leńku? – spytała, chwytając go za rękę.

Profesor uśmiechnął się do niej ciepło.

– Jak minął dzień?

– Ta pani mi dzisiaj czytała...

– To twoja córka Ania – wyjaśnił cierpliwie. – Jesteś głodna?

– Zjadłabym ciastko – powiedziała zmieszana.

– Ania zaraz ci przyniesie.

– Poczytasz mi, Leńku?

– Dzisiaj nie mogę.

– Dlaczego? – Maria była szczerze zdziwiona.

Profesor pogładził ją po głowie.

– Muszę wyjechać, Marysiu.

– Na długo?

– Tak... na bardzo długo.

Starsza pani spojrzała mu z niepokojem w oczy.

– Nie wyjeżdżaj teraz, chcę iść jutro na spacer.

Wasyłszyn pokiwał głową, wciąż uśmiechając się do niej.

– Jutro – przerwał na chwilę – jutro pójdzie z tobą na spacer Ania.

– Ona mi będzie teraz czytać?

Profesor spojrzał w kierunku drzwi. Dwóch policjantów czekało na niego cierpliwie.

– Tak. Ania będzie ci teraz czytać, a ja... muszę już iść.

– Męczyli cię w pracy, Leńku, prawda? Jak ci dziś poszło?

– Nie najlepiej, Marysiu.

Powoli wstał i podszedł do okna, aby na moment wyjrzeć na zewnątrz.

„Jutro ruszamy w rejs na bezkresne morze...”, przypomniał sobie.

Gdy Tadeusz Malinowski wkroczył do gabinetu Piotra Krentza, ten wstał i z szerokim uśmiechem pokiwał znacząco głową.

– Spory zaszczyt, Tadziu – rzekł z szacunkiem. – Nie pamiętam, kiedy ostatnio tu byłeś.

– Bo jest ku temu okazja – odparł wesoło Malinowski, wyciągając zza pleców butelkę koniaku. – Nie będziemy chyba tego pili na ławce w parku.

– Dlaczego? Przypomnielibyśmy sobie trochę szczeniackie lata.

– Masz rację – przyznał z pewnym rozrzewnieniem Malinowski, stawiając butelkę na biurku.

Krentz wyjął kieliszki z szafki. Wskazał gościowi miejsce na kanapie, a następnie chwilę

mocował się z prezentem.

Malinowski usiadł i przyglądał się Krentzowi rozlewającemu alkohol do kieliszków.

– Dziękuję za Marata – powiedział poważnie. – Bardzo liczymy na to, że przy jego pomocy uda się dobrać do Goźlakowa i całej reszty.

– Mówi? – spytał Krentz, podając Malinowskiemu jeden z kieliszków.

– Jeszcze nie, ale jest zaskoczony. To dobrze. Skąd wiedziałeś, że akurat o tej porze będzie wracał do Polski?

– Hmm – mruknął pułkownik z tajemniczym uśmiechem, siadając obok na kanapie.

Malinowski nie wypytywał go więcej, tylko podniósł kieliszek.

– Za lepsze czasy! – rzekł uroczyście.

– Dobry toast – stwierdził Krentz, podnosząc swoją porcję koniaku.

– Dawno nie widziałem Krzysia Bauera – powiedział Malinowski, posmakowawszy trunku.

– Nie ma go dzisiaj. Kończy pewne sprawy.

– Prezydent zażądał pełnego raportu? – spytał gość jakby nigdy nic.

Pułkownik nie odpowiadał kilka sekund.

– Tak – przyznał w końcu. – I nie dziwię się mu. Boi się, czy sprawy nie zaszły za daleko. Po dzisiejszym aresztowaniu Giertychowskiego jutrzejsza prasa będzie aż grzmieć.

– Nie martw się tym – rzekł poważnie Malinowski. – Został oskarżony o kontakty ze światem przestępczym, podobnie jak Martynowski, Zajdel i Rosimiak. Świadców będzie sporo, ale lekarzy nie możemy w tym kontekście ruszyć.

Krentz dość chłodno przyjął to wyjaśnienie.

– Czy mamy rację, znów decydując o tym, co ujrzy światło dzienne, a co nie? – spytał cicho.

– Piotr – Malinowski pociągnął głębszy łyk koniaku – ten kraj, ci ludzie, ci politycy... nie są jeszcze gotowi. Nie poradzą sobie z takim gównem. Do tej pory to działało, więc nie bądźmy mądrzejsi od historii.

Pułkownik machnął ręką.

– Ale nam się zebrało na filozofowanie.

– Czasem tak trzeba. To pomaga. Zresztą sam doskonale wiesz. Jednak dyscyplina to dyscyplina. Musimy trzymać się zasad, taki mamy zawód.

– No dobrze. – Krentz podniósł się, aby napełnić puste kieliszki. – Za jakiś czas, jeśli nie masz nic przeciwko temu, poproszę cię o małą pomoc dotyczącą działalności Giertychowskiego, jak to ładnie kiedyś ująłeś, „na arenie międzynarodowej”.

– Oczywiście – odparł bez namysłu Malinowski. – Możesz tu liczyć na moją pełną współpracę. Jednak z tego, co na razie wiadomo, chyba niewiele zdążył namotać. Premier wyznaczył już grupę ludzi, którzy zajmą się dyskretnym wyjaśnieniem wszystkich „nieporozumień”. Powiadamiam cię o tym oficjalnie, ale na razie nie mogę mówić o

szczegółach.

– A lekarze?

– W prasie, jak wiesz, same domysły. Ale trzeba im będzie w końcu rzucić coś na żer. Do oskarżeń o nadużycia i nieumyślne spowodowanie śmierci można po pewnym czasie dodać związek z zamordowaniem policjanta. Będzie jak wtedy w Łodzi, z pogotowiem i „skórami”. Jednak z całym tym science fiction bym uważał. Powiązania z Giertychowskim i ministerstwem nie mogą na razie wyjść na jaw.

Krentz podał gościowi napełniony kieliszek, swój postawił na biurku i rozłożył ręce.

– Ci lekarze sami w końcu mogą zacząć o tym mówić.

– Nie zaczną. Zresztą wiedzieli o nich tylko Wasylyszyn i Korwin. Tym sam się zajmę, ale ty – Malinowski spojrzał znacząco na pułkownika – pomóż nam z Pretergate. Są cwańsi, niż ktokolwiek mógł podejrzewać. To będzie długa sprawa.

– Umowa stoi.

– Jeszcze jedno...

– Wiem, Tadziu.

Krentz wstał i podszedł do biurka. Wyjął z szuflady jeden z raportów i jakiś czas dokładnie mu się przyglądał.

– Są cztery instytuty, które utrzymywały ściśle kontakty z Wasylyszynem. – Wziął do ręki kieliszek i wypił niewielki łyk. – Najlepiej rozwinięty jest pod Lozanną. Pozostałe to instytut w Jarvepaa w Finlandii, w Żelaznym Brodzie w Czechach i w Salt Lake City w Stanach Zjednoczonych.

– Zgadza się. Powinniśmy ruszyć naszych przyjaciół stamtąd.

– Ruszyliśmy. Nie chcę wychodzić poza przekazanie istotnych informacji.

– Jak uważasz. Ale mieliśmy tu wypadki śmiertelne podczas eksperymentów i zastraszanie rodzin poszkodowanych. Trochę czasu minie, zanim odważą się mówić.

Krentz wziął do ręki kalendarz.

– Smakuje mi ten koniak. – Uśmiechnął się, szukając odpowiedniej daty. – Nie gadajmy na razie o interesach. Spotkanie robocze w stosownych składach proponuję... we wtorek, dwudziestego pierwszego. Pasuje ci?

– Sprawdzę u siebie i oddzwonię. Umówimy się wtedy na konkretną godzinę.

– Przygotuję, co trzeba. A tak przy okazji... wczoraj wieczorem ktoś bardzo sprawnie zlikwidował całą górę krakowskiej mafii. Wiesz coś o tym? Pytam z ciekawości.

– Ach te porachunki gangsterskie. – Malinowski pokręcił głową. – Ciągłe jest z tym kłopot.

– To nie wyglądało na porachunki gangsterskie – zauważył rzeczowo pułkownik.

– Tak myślisz? – spytał obojętnie jego gość, wpatrując się w koniak osiadający na ściankach kieliszka. – Skoro tak, to jeśli czegokolwiek się dowiem, natychmiast ci to przekażę.

- A więc możliwe – ciągnął Krentz – że nigdy się nie dowiemy, kto strzelał...
- Taaak – westchnął Malinowski. – Bardzo możliwe...

Robert Czechowicz uważnie przyglądał się ojcu, usiłując wyczytać z jego tajemniczego uśmiechu, co mogło się stać.

- No powiedz w końcu – nie wytrzymał.
- Zgadnij. – Ojciec był uparty.
- Apelacja? Wprowadzili wam tu wieczorki taneczne?

– Nad tym trzeba będzie jeszcze trochę popracować, ale robimy, co możemy. – Starszy mężczyzna uśmiechnął się.

Widać było, że jest w dobrym humorze, co szczególnie cieszyło Roberta.

– Jak jeszcze trochę potrzymasz mnie w niepewności, to skończy się widzenie i w ogóle się nie dowiem.

– Twoja mama do mnie napisała – powiedział szybko stary Czechowicz, obserwując reakcję syna.

Ten spoważniał i obrócił się w stronę okna.

- Co napisała? – spytał po chwili.
- Chce wrócić do Polski.
- Po co?

– By znów utrzymywać z nami... no wiesz, przyjacielskie stosunki.

– Po tylu latach? Czy przypadkiem trochę na to nie za późno? – Lekarz był zaskoczony i wyprowadzony z równowagi.

– Nie złość się na nią. – Ojciec oparł dłoń na jego ramieniu. – Jak mówiłeś, minęło już sporo lat. Może pora na wybaczenie?

– Tato, ona nas zostawiła i wyjechała. Pamiętasz, co wtedy przeżywaliśmy?

– Tak, ale teraz ty jesteś już dorosły, a ja stary. Nie mam siły być czymkolwiek wrogiem.

Robert pokręcił z dezaprobatą głową.

– Ona chce cię zobaczyć – ciągnął ojciec.

Czechowicz wstał i podszedł do okna.

– Nie wiem...

– Zgódź się. Pamięta cię jako piętnastolatka. Podobno wciąż trzyma w portfelu twoje zdjęcie. Napisała, że codziennie wierzyła...

– Dobrze! – przerwał Robert. – Nie chcę już tego słuchać. – Usiadł z powrotem na krześle.

– Mogę odpisać, że się zgadzasz?

– Skoro tego chcesz – mruknął, raz jeszcze spoglądając w stronę okna.

Siedzieli w ciszy dobre kilka minut, po czym Robert nagle wybuchnął śmiechem. Ojciec zawtórował mu, uderzając z impetem ręką o stół.

– Czemu nie? – Młody Czechowicz wzruszył wesoło ramionami, gdy już się uspokoili.

– No właśnie – przyznał ojciec. – Czemu nie? A tak w ogóle, nic nie mówiłeś, co się ostatnio działo u ciebie.

– U mnie? – Robert uśmiechnął się do siebie. – Nic ciekawego... jak to w życiu. Raz do przodu, raz do tyłu.

– Cóż, a ja myślałem, że to w więzieniu jest nudno.

– No widzisz. Ale podobno lepiej żyć w nudnych czasach.

– Koniec widzenia! – usłyszeli od drzwi.

Czechowicz wstał i pocałował ojca w czoło.

– Do zobaczenia. Niezależnie od wszystkiego widzimy się jak zwykle. – Podali sobie ręce i Robert wyszedł z sali widzeń.

Zbliżała się piąta po południu, ale wciąż było gorąco, więc gdy znalazł się przed bramą, Ultra i Adam opierali się o samochód, wystawiając twarze w kierunku słońca.

– Nadal jesteście głodni? – spytał Czechowicz, kiedy podszedł do nich.

– A czy w Afryce jest ciepło? – odparł dziennikarz.

– Coś się stało? – Ultra zajrzała Robertowi głęboko w oczy.

Czechowicz nie wiedział, jak odpowiedzieć.

– No? – Agentka poklepała się niecierpliwie po brzuchu ręką umieszczoną na temblaku.

– Oszczędzaj to ramię – zbeształ ją Robert.

– Nie zmieniaj tematu.

– Nie. Tylko... do mnie i do ojca odezwał się ktoś z zaświatów.

– Gdzieś już to słyszałem – ożywił się Adam. – To niezły tekst.

– Wsiadajcie już, do cholery, do samochodu – jęknęła błagalnie dziewczyna. – Pogadamy o tym w knajpie, bo umrę z głodu!

– Ponad połowę czasu na tym łez padole tracimy na jedzenie i spanie, szkoda życia – zauważył Czechowicz.

– Kto ci to powiedział? – oburzył się dziennikarz. – Nauczyciel jogi?

– Nie, Jola – szepnęła do siebie Robert, wsiadając do wozu.

Chociaż nikt tego nie usłyszał, zapadła cisza, po której Kniewicz zajmujący właśnie miejsce za kierownicą zdecydował, że należy wprowadzić bardziej rozrywkową atmosferę.

– W porządku! – podsumował władczo. – Kto jest za pomarnowaniem cennego życiowego czasu?

– Ja! – warknęła zniecierpliwiona Ultra, gotowa udusić dziennikarza, jeśli zaraz nie ruszy.

– A ty? – spytał Roberta.

– Zdecydowanie – przyznał Czechowicz po chwili namysłu.